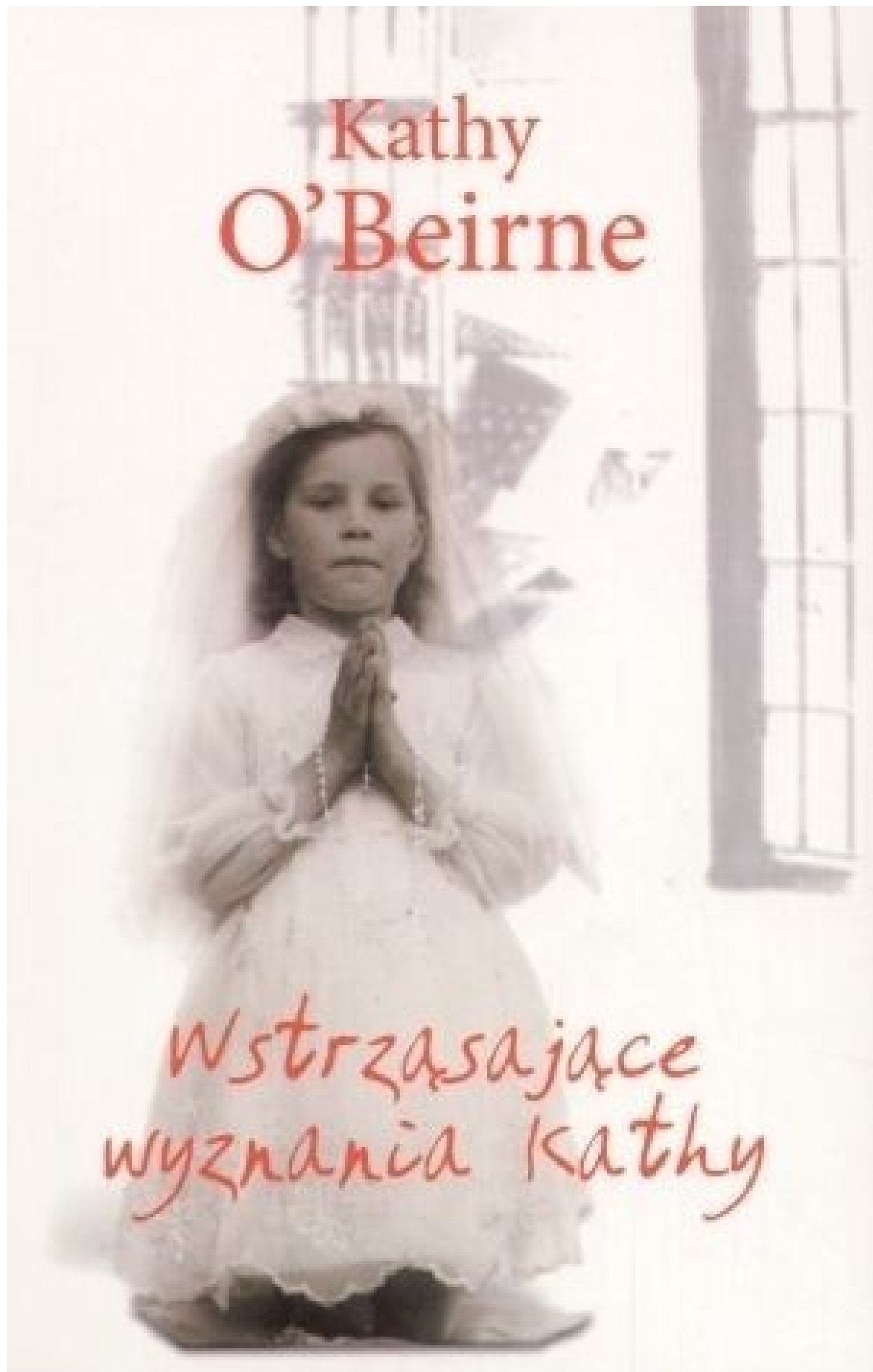


Kathy
O'Beirne

Wstrzasające
wyznania Kathy



Kathy O'Beirne

Wstrząsające wyznania
Kathy

Z języka angielskiego przełożył Paweł Cichawa

Tytuł oryginału: The Kathy's Story

Książkę tę chciałabym poświęcić pamięci mojej zmarłej matki Ann i mojej córeczki Annie.

Chciałabym zadedykować ją także wszystkim - kobietom i mężczyznom - którzy cierpieli w sierocińcach, szkołach przemysłowych, zakładach psychiatrycznych i pralniach magdalenek. Oraz tym, którzy kiedykolwiek w życiu byli wykorzystywani i maltretowani.

Podziękowania

Specjalne podziękowania należą się mojej zmarłej mamie Ann za to, że mnie zachęcała, abym głowę nosiła wysoko i była sobą. Chcę także podziękować mojemu bratu i jego żonie Sandrze za pomoc i wsparcie w najtrudniejszych chwilach mojego życia. Brian pokonywał dziesiątki mil na rowerze, żeby mnie odwiedzać w jednym z zakładów opiekuńczych, wierzył we mnie, nigdy mnie nie zawiódł i po prostu jest dobrym bratem. Dziękuję, Brianie.

Dziękuję Alison za pomoc i wsparcie.

Podziękowania należą się policjantom, którzy zajmowali się moją sprawą i z wielkim oddaniem kroczyli ze mną po tej długiej i bolesnej drodze. Szczególnie dziękuję pani, która kontaktowała się ze mną bezpośrednio, za okazaną cierpliwość i zrozumienie.

Dziękuję też Maggie za wsparcie, którego udziela mi od lat, i za to, że od lat jest moją przyjaciółką. Dziękuję za podtrzymywanie mnie na duchu i dobroć Noel, która zawsze na pierwszym miejscu stawia przyjaciół, choć sama ma poważne problemy. Dzięki niej jakoś sobie przez te wszystkie lata radziłam, a jej wyjątkowa odwaga nieraz pomagała mi „podnieść się i iść dalej”.

Dziękuję ojcu O'Neillowi za dobroć, wsparcie i za to, że znajduje czas dla mnie i moich przyjaciółek. Zawsze możemy do niego przyjść, by usłyszeć słowa dodające otuchy.

Siostra Tess niejednokrotnie udzieliła mi pomocy, spędziła ze mną wiele czasu, dawała dobre rady i zawsze była sobą.

Wносиła trochę światła w moje najczarniejsze dni, za co jestem jej ogromnie wdzięczna.

Dziękuję siostrze Elizabeth za wsparcie w trudnych życiowych chwilach i czas, który mi wtedy poświęciła.

Dziękuję Aileen z Zespołu ds. Opieki nad Dziećmi za ciężką pracę i za wpisywanie przez wiele miesięcy do komputera protokołów ze wszystkich spotkań oraz za troskę okazaną wszystkim współpracującym ze mną ludziom, w tym przedstawicielom policji, opieki społecznej, kleru, zakonów i komisji lekarskiej. Herbata i ciastka podczas każdego lunchu były naprawdę pyszne!

Dziękuję wszystkim członkom redakcji „Irish Crime” za pomoc i wsparcie. Specjalne podziękowania dla Aodhana

Maddena za dobroć okazaną mnie i innym ofiarom systemu.

Przywrócił nadzieję tym, którzy dawno ją utracili.

Pragnę podziękować mojej lekarce, Catherine, która bardzo pomogła nie tylko mnie, ale okazała wiele troski także mojej mamie w czasie długotrwałej choroby. Jej ciepło znaczyło dla nas obu bardzo wiele.

Specjalne wyrazy wdzięczności kieruję do moich przyjaciół Noeleen i Johna oraz małego Jasia. Dziękuję Warn za dobroć i przyjaźń.

Nie mogę pominąć mojej sąsiadki Nancy Buggy niech jej ziemia lekką będzie! To ona zapewniała mi „luksusowe noce”, udostępniając wygodne łóżko w pokoju gościnnym swojego wielkiego domu. Odgrzewała mi ziemniaki i groszek, które zostały z obiadu, i pozwalała czytać komiks Beano. Dziękuję też Ann Buggy i Hillary Wade za to, że odwiedzały mnie w zakładzie wychowawczym i przynosiły moje ulubione toffi. Dziękuję też świętej pamięci pani Jackson, niech jej ziemia lekką będzie, która była bardzo dobra dla mojej mamy i dla mnie. Odwiedzała mnie też, kiedy jako dziecko przebywałam w szkole poprawczej.

Za opiekę psychiatryczną i pomoc dziękuję Patricii. Podziękowania należą się też mojej kancelarii adwokackiej. Jestem wdzięczna Alanowi za

miesiące ciężkiej pracy, której wymagało odnalezienie i wydobywanie z różnych instytucji moich dokumentów.

Michaelowi Sheridanowi oraz mojemu agentowi Robertowi Kirkbyemu jestem ogromnie wdzięczna za pomoc w napisaniu tej książki. Podziękowania kieruję również do pracowników wydawnictwa Mainstream Publishing. Moimi dobrymi duchami byli tam Bili Campbell, Sharon Atherton, Lindsay Farquharson, Emily Bland, Graeme Blaikie, Becky

Pickard, Fiona Brownlee i Karen Brodie.

Wyrazy wdzięczności kieruję do Kitty i Helen za całe tygodnie, które poświęciły na poszukiwanie moich dokumentów.

Na specjalne podziękowania zasługuje Ailsa Bathgate, która tak bardzo mi pomogła podczas ostatnich miesięcy pracy nad książką. Bez jej dobroci, wyrozumiałości i cierpliwości ukończenie tej pracy byłoby niemożliwe. Dziękuję Ci, Ailsa.

Wiele jeszcze osób w ten czy inny sposób mi pomogło.

Nie mogę wymienić tu wszystkich, ale pragnę im bardzo podziękować.

Przedmowa

Rozpoczynając dziennikarskie śledztwo w sprawie maltretowania i molestowania młodych kobiet w obrzydliwych pralniach sióstr magdalenek, nie miałem pojęcia, jak przerażające fakty przyjdzie mi odkryć. Zadawałem sobie pytanie: jak to możliwe, że tak powszechne znęcanie się nad kobietami udało się przez tyle czasu utrzymać w tajemnicy? Czy powodem było tylko przymykanie oczu - typowe dla Irlandczyków przekonanie, że im mniej się widzi, słyszy i mówi, tym wygodniej można żyć dosłownie obok wszystkiego?

Przecież domy magdalenek funkcjonowały w każdym większym mieście kraju. W dodatku te ponure przybytki tkwiły zawsze w samym sercu społeczności. Najwyraźniej owa społeczność wolała w ich stronę nie spoglądać.

Przez większość dwudziestego wieku Irlandia była zacofanym, rządzonym przez księży krajem, w którym nieszczęśników łamiących sztywne prawa moralne karano najciężej.

Mieliśmy swój własny rodzaj teokracji talibów. Młode dziewczyny więziono w szpitalach psychiatrycznych albo w klasztorach magdalenek za to, że padły ofiarą gwałtu! Trzeba je było zamknąć, żeby chronić sprawców. Tysiące dziewcząt wiodło tam nędzny żywot aż do śmierci, a ich ciała wrzucano do zbiorowych mogił.

Pralnie i szkoły przemysłowe zostały już zamknięte, ale ich destrukcyjne i hańbiące konsekwencje dają o sobie znać do dziś. W państwowych szpitalach psychiatrycznych w całej Irlandii wciąż przebywa wiele byłych praczek, prowadząc tam naprawdę politowania godną egzystencję, bo przecież nie życie. Wegetują całkowicie osamotnione, upokorzone i zniszczone przez Kościół i państwo, skazane na niebyt. Nie wszystkie pozostające w tych zakładach kobiety mają problemy ze zdrowiem psychicznym. Rozmawiałem z takimi,

które rozumują całkiem rozsądnie. A wszystkie żywią rozpaczliwą nadzieję, że pewnego dnia odzyskają wolność.

Kathy O Beirne to prawdziwie niezwykła postać. Po wszystkim, co przeżyła w zakładach opiekuńczych i wychowawczych, poświęciła się całkowicie walce o inne ofiary magdalenek. Postanowiła zwrócić uwagę społeczeństwa na zbrodnie, których dokonywano na tych kobietach. Odkąd ujawniła własne doświadczenia z tym upadającym systemem, jest zastraszana i zniechęcana na wiele sposobów.

Ale pozostaje nieugięta. Nie zamierza zaprzestać walki, dopóki wszystkim zapomnianym kobietom nie zostanie przywrócona cześć, dopóki nie wypełni się akt sprawiedliwości i dopóki ona oraz inne ofiary nie uzyskają moralnego zadośćuczynienia.

W wigilię pierwszej komunii Kathy została zgwałcona.

Miała wówczas siedem lat. A potem kilku lekarzy pod przewodnictwem psychiatry orzekło, że jest dzieckiem przysparzającym kłopotów; została umieszczona w prowadzonej przez zakonnice szkole poprawczej w Dublinie.

Spędziła tam dwa lata, jednak niczego się nie nauczyła - opanowała ledwie podstawy pisania i czytania. Była regularnie bita przez zakonnice, a także gwałcona przez księdza sprawującego opiekę duchową nad szkołą. Kiedy w końcu zdecydowała się powiedzieć o tym siostrze przełożonej, została natychmiast przewieziona do państwowego szpitala psychiatrycznego. Dziecko wysuwające oskarżenia przeciw księdzu musiało być przecież niespełna rozumu! Taka wtedy obowiązywała pokrętna zakonna logika. Ale był to także sposób na ukrycie wszystkiego przed światem. Kto da wiarę dziecku leczonemu w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym?

Podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym Kathy służyła za (jak to sama nazywa) królika doświadczalnego. Testowano na niej przeróżne lekarstwa. Poddawano ją bezpośredniej elektrycznej stymulacji mózgu (ECT), czyli terapii elektrowstrząsowej, najpierw pod wpływem środków uspokajających, a potem

bez nich, żeby się przekonać, jak wpłyną na organizm. Otrzymywała też olbrzymie dawki largactilu oraz innych środków psychotropowych. Nie sposób sobie wyobrazić przerażenia bezradnego i bezbronniego dziecka, zamkniętego w towarzystwie upośledzonych psychicznie dorosłych oraz zdanego na łaskę brutalnego i wyzutego z moralności systemu.

Po dwóch latach w tym piekle Kathy została przeniesiona do pralni sióstr magdalenek w Dublinie. Miała dwanaście lat. Jedną z pierwszych rzeczy, które zauważyła po przybyciu, był witraż przedstawiający św. Marię Magdalenę podpisany „Pokutnica”.

Nie dostrzegała wyjścia z tego bezlitosnego i bezwzględnego systemu. Odkąd ojciec podpisał wniosek o umieszczenie jej w zakładzie opiekuńczym, nie było przed tym ucieczki.

Przypadło to na początek lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Irlandia szybko się rozwijała i modernizowała, władze cywilne jednak godziły się na rozpowszechnioną praktykę więzienia młodych dziewcząt i kobiet w prowadzonych przez Kościół instytucjach, w których traktowano je jak niewolnice.

W każdą niedzielę z wykładami dla tych biednych dziewcząt, przeciw którym tak ciężko zgrzeszono, przybywali członkowie Legionów Maryi. Nie brakowało i innych świętoszków, a wielu z nich dobierało się do dziewcząt. Oczywiście, doskonale wiedzieli, że nawet gdy którykolwiek zostanie przez nie oskarżony o seksualne molestowanie, i tak nikt tym bezbronnym istotom nie uwierzy. Zostaną po prostu uznane za wariatki i umieszczone w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym. Gdy rano się okazywało, że którejś z nich nie było, koleżanki doskonale wiedziały, co się zdarzyło: poskarżyła się i została przeniesiona do domu wariatów.

Wiele dziewcząt w prowadzonych przez Kościół zakładach padło ofiarą gwałtu, a jeśli któraś zaszła w ciążę i urodziła, zabierano jej dzieci i sprzedawano bezdzielnym bogatym małżeństwom w Ameryce. Kierowca

taksówki, który przewoził takie dzieci na północ (skąd statkiem wysyłano je do Stanów Zjednoczonych), poinformował o tym publicznie w programie telewizyjnym RTE Joe Duffy Show w 2004 roku.

Kathy jest przekonana, że Kościół, nie licząc się ani trochę z bólem, jaki zadawał naturalnym matkom, prowadził ten lukratywny proceder dla zysku. Wiele dzieci zmarło; ich małe ciała wrzucano do masowych mogił. Na cmentarzu w Glasnevin jest taka potwornie zaniedbana kwatera dziecięca.

Sprawa Kathy jest jedną z wielu, którymi zajmowała się policja. To przerażająca historia i nie przynosi Irlandii chwały. Wprawdzie przestępstwa popełniali księża, zakonnice i niektóre osoby świeckie, w stan oskarżenia jednak należałoby postawić nas wszystkich - milczącą większość, która nie przeciwstawiała się oglądanym potwornościom i udawała, że nic o nich nie wie.

Dublin, luty 2005

Aodhan Madden, szef działu dziennikarzy śledczych „Irish Crime”

Od autorki

Prawne ograniczenia powodują, że nie wolno mi podać ani pełnej nazwy instytucji, w których byłam zamknięta, ani nazwisk ludzi, którzy mnie skrzywdzili. Mam nadzieję, że pewnego dnia ta sytuacja się zmieni i będę mogła opowiedzieć moją historię, nie pomijając niczego ani nikogo.

Zdecydowałam się ujawnić własną przeszłość, choć wiele osób o podobnym do mojego życiorysie wołało uniknąć rozgłosu. Szanuję to i dlatego zmieniłam imiona dziewcząt i kobiet, które poznałam w różnych ośrodkach i zakładach opiekuńczych. Jedyną, której prawdziwe imię i nazwisko przytaczam, jest moja przyjaciółka Liz. Odeszła w ubiegłym roku. Wiem, że bardzo chciała opowiedzieć wszystkim swoją historię. Jestem dumna, że się ze mną przyjaźniła.

Prolog

Biegnę długim korytarzem. Na końcu są przeszklone drzwi, przez które do środka wpada jasny snop słonecznych promieni. Jak światłość niebieska. Za drzwiami jest słońce, błękitne niebo i złota plaża, ciągnąca się bez końca wzdłuż bryzgających białą pianą fal. Tam właśnie chcę się znaleźć, budować zamki z piasku, czuć przyjemne ciepło słońca i pływać w morzu. Tam jest moje szczęśliwe dzieciństwo. Moje niebo.

Dobiegam do drzwi i niemal całkiem oślepia mnie światło. Próbuję je otworzyć, ale nie mogę znaleźć klamki; na szybie zamontowano kraty. Walę pięściami w stalowe pręty i krzyczę, ale nikt mnie nie słyszy. Do uszu dobiega echo wolno zbliżających się w moją stronę kroków. Zamykam oczy, klękam i splatam dłonie jak do modlitwy.

Po policzkach płyną mi łzy. Odgłos kroków cichnie tuż za mną. Światło przygasa, a morze i piasek zastępuje zupełna ciemność bezksiężycowej nocy. Zanurzam się w czarnej otchłani nieszczęśliwego dzieciństwa. Chwytam kraty, krzycząc z bólu, poniżenia, wściekłości i nienawiści. Jestem dzieckiem uwięzionym w bezlitosnych szponach niekończącego się koszmaru.

Dzieci powinny mieć szczęśliwe wspomnienia, takie, które zrównoważyłyby ból dorastania. A ja mam szczęśliwych wspomnień bardzo niewiele, jeśli w ogóle. Nigdy nie dotknęłam nadmorskiego piasku w moim dziecięcym niebie. Za to zamknięto mnie za wysokimi murami, skazując na maltretowanie i molestowanie seksualne.

Łzy zastępowały śmiech, a cierpienie - przyjemność. Miłość została zniszczona przez nienawiść. Zamiast światłości była ciemność. Moje dzieciństwo to jeden wielki krzyk bólu i rozpacz, którego echo ciągnie się za mną w życiu dorosłym.

Chociaż dziś potrafię precyzować swoje uczucia i myśli, to kiedy wspominam najwcześniejsze doświadczenia, zaczynam mówić jak przerażone, torturowane dziecko, jakim wtedy byłam. Wiele kłopotu sprawia mi powrót do najgorszych doświadczeń z tamtego czasu, ponieważ przez całe życie tłamsiłam w sobie te wspomnienia. To naturalny mechanizm obronny dzieci wykorzystywanych seksualnie. O niektórych wydarzeniach wciąż jeszcze nie potrafię mówić.

Dziecko żyjące w ciągłym strachu przed otoczeniem, dziecko, które jest bez przerwy bite i seksualnie molestowane, ma bardzo zawężony sposób widzenia świata. Próbuje za wszelką cenę nie widzieć rzeczy, które powodują strach, a zwłaszcza prześladowców. W moim przypadku były to zakonnice, a także księża i osoby świeckie; bez przerwy stanowili obrzydliwe, ohydne i odrażające zagrożenie nie tylko dla mojego ciała, ale i całego istnienia. Maltretowane dziecko przez cały czas w duchu wije się z przerażenia i z całej siły zaciska powieki. Bo przecież nie chce widzieć narzędzia, którym je torturują - czy jest to rzemień, trzcinowa witka, kawałek gumowej rury, pięść, czy też buty. Takie dziecko chciałoby oślepnąć albo zniknąć na zawsze. Doskonale rozpoznawałam odgłosy przygotowań do tego, co mi robiono, ale bałam się nawet zakryć uszy rękami, bo moi prześladowcy by mi tego nie puścili płazem. Dziecko musiało być im posłuszne w każdym calu. I słuchało ich, choć jego nie słuchał nikt.

Właśnie dlatego moje wspomnienia z dzieciństwa to przebłyski i obrazy nie zawsze ze sobą powiązane, a najczęściej przyprawiające mnie o gęsią skórę. Kiedy próbuję je wyrazić, odżywają we mnie emocje. Głos zaszczutej dziewczynki nieznośnie dudni w mózgu dorosłej kobiety. Niemal zawsze ten głos sprawia mi ból, podobnie jak płacz chorego dziecka rani serce matki. Niewiele można zrobić, by to odczucie złagodzić.

Kiedy zaczęłam korzystać z pomocy psychologa, pytano mnie, czego się w życiu nauczyłam. Odparłam, że nauczyłam się nienawiści, zgorzknienia i

mnóstwa jeszcze innych negatywnych uczuć. Myślałam, że złość i wszystkie te negatywne uczucia to stan normalny, a ja sama normalna nie jestem.

Jednak jakimś cudem jestem przy zdrowych zmysłach, choć przeszłość chwilami pojawia się i znika, pozostawiając ból tak ostry, że doprowadza mnie do szaleństwa.

Czy ktokolwiek zdoła naprawić to, co się stało z moją psychiką, posklejać na nowo wszystko, co się połamało? Nie sądzę. Dlatego z początku sceptycznie podchodziłam do terapeutów i tego, co chcieli dla mnie uczynić. Muszę jednak powiedzieć, że dziś, po kilku latach terapii, jestem w znacznie lepszym stanie. Mam nadzieję, że pewnego dnia całkiem pozbędę się bólu, smutku oraz złości na przeszłość. Może uda mi się kiedyś spojrzeć wstecz bez odczuwania dotkliwej straty? Może uwolnię wreszcie tkwiącą wciąż we mnie małą dziewczynkę? Bo przecież ona miała być wolna, miała otworzyć drzwi na końcu korytarza i cieszyć się ciepłem słońca! Otworzyć oczy, by podziwiać świat, i spojrzeć na błękitne niebo! Poczuć na twarzy słońca bryzę i radować się widokiem spienionych fal, gdy biegnie wzdłuż nich po złotym piasku!

Moja książka jest historią tej małej dziewczynki.

Rozdział pierwszy

Tatusiowa córeczka

Gdzieś we mnie płacze mała dziewczynka.

Muszę jej pomóc, bo ciągle zaprzęta mi myśli.

Wybrałam się w przeszłość, żeby zobaczyć, co jej się stało.

Wtedy odkryłam, że cierpiała o wiele za długo.

Nigdy wcześniej jej nie słuchałam, tej malej dziewczynki gdzieś we mnie.

Tłamsiłam ją, odpychałam, nie dopuszczałam do siebie.

Próbowałam nawet ją skrzywdzić.

Wyrzucić na zawsze.

Bo bałam się wystraszonego dziecka. W sobie.

Teraz bez pośpiechu sprawdzam, jak ją wybawić.

I jak przywrócić jej wolność.

Jestem kobietą po czterdziestce. Byłam piątym z kolei dzieckiem i pierwszą córką w rodzinie, która ostatecznie miała dziewięcioro dzieci: sześciu chłopców i trzy dziewczynki. Mieszkaliśmy w Clondalkin, robotniczej dzielnicy rozciągającej się na przedmieściach Dublina. Nasz dom stał w dużym osiedlu, w którym wielodzietne rodziny stanowiły większość. W jednym z budynków gnieździło się z rodzicami ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia dwoje rodzeństwa.

Pośrodku osiedla znajdował się zieleńiec, na którym spotykała się i bawiła dzieciarnia. A obok za ogrodzeniem stał duży dom miejscowego lekarza. Doktor Keane był cudownie życzliwym człowiekiem i nigdy się nie złościł, że dzieciaki podkładały mu z ogrodu jabłka. W letnie popołudnia, zbierając najświeższe plotecki, pod domami wystawały kobiety. Miało się wrażenie, że są wiecznie w ciąży. Dzieci je przedrzeźniały, wpychając sobie za sweter

ukradzione jabłka i kołysząc się podczas chodzenia jak kaczki.

Moja matka Ann była kobietą delikatną, drobnej budowy i bardzo piękną. Zawsze uważałam, że wygląda jak gwiazda filmowa. Była spokojna i opanowana. Zachowywała się jak prawdziwa dama. Była religijna, ale nie do znudzenia. I zachwycająca - w każdym znaczeniu tego słowa. Harowała dzień i noc, żeby utrzymać w domu ład i porządek. Martwiła się i obawiała tylko o swoje dzieci, a powodów jej nie brakowało.

Mój ojciec Oliver pracował jako robotnik budowlany Światu prezentował oblicze statecznego i godnego szacunku żywiciela rodziny. Był przystojnym i postawnym mężczyzną, ważył ponad dziewięćdziesiąt pięć kilo. Kiedy wychodził w innym celu niż do pracy ubierał się elegancko: nienagannie wyprasowany garnitur, śnieżnobiała koszula i czarne buty wypolerowane tak, że można się było w nich przeglądać jak w lustrze.

Codziennie bywał w kościele i codziennie też przystępował do komunii. Jednak w czterech ścianach naszego małego domu stawał się agresywny i bezlitosny. Maltretował nas psychicznie i fizycznie, zamieniając życie rodziny w prawdziwe piekło.

Pracował od siódmej rano do szóstej wieczorem. Zawsze był na nogach o brzasku i nie pamiętam, żeby opuścił kiedykolwiek choćby jeden dzień pracy. A wieczorami codziennie chodził do pubu, wcześniej wstępując do domu na obiad.

Kiedy zamykały się za nim drzwi, najpierw wszyscy oddychaliśmy z wielką ulgą, że poszedł; po chwili jednak uczucie ulgi zastępował strach przed tym, co wymyśli po powrocie do domu. W jego zachowaniu nie dało się odczytać żadnych prawidłowości, nigdy więc nie wiedzieliśmy, czego się możemy spodziewać. Czasem był wobec nas w porządku, ale nagle coś doprowadzało do wybuchu i musieliśmy znosić jego okrucieństwo przez wiele dni, niekiedy tygodni z rzędu.

Regularnie bił nas pasem. Klamra wbijała się w ciało, zostawiając na nogach rany; często wdawało się zakażenie. Kazał nam wkładać dłonie w szparę

między drzwiami kuchennymi a futryną i nogą przyciskał drzwi. Przystawał dopiero, gdy mdleliśmy z bólu.

Którejś nocy, kiedy wyjątkowo się o coś wściekł, wsadził mi dłonie do patelni z gorącym tłuszczem. Ból był nie do zniesienia. Zamknęłam oczy i zaczęłam przeraźliwie krzyczeć; wówczas wyrzucił mnie z kuchni i kazał siedzieć na drewnianej pomarańczowej skrzyni stojącej za drzwiami na tyłach domu, a sam zabrał się do obiadu. Trzęsłam się cała, bo poparzone dłonie piekły i zaczynała z nich schodzić skóra. Z zimna drżałam jeszcze bardziej, przez co ból stawał się gorszy.

Trzymał mnie na tej skrzynce przez kilka godzin i nie pozwalał matce wpuścić do środka, chociaż błagała go o to wiele razy. Słyszałam jej prośby, ale on pozostał niewzruszony. Jadł obiad, jakby nic się nie stało. Bolało mnie nie tylko ciało, ale i serce. Pragnęłam jednego: umrzeć, żeby już więcej nie mógł mnie skrzywdzić.

Gdy miałam cztery, może pięć lat, sąsiedzi podarowali matce wiklinową skrzynię specjalnie dla mnie, żebym trzymała w niej ubrania. Kiedyś po powrocie z pracy ojciec spuścił mi lanie, nie pamiętam już za co. Potem uderzył mnie pięścią, a ja się zatoczyłam, wpadłam na tę skrzynię i w końcu poleciałam na podłogę. Poczułam dotkliwy ból w okolicy biodra. Oczywiście, ojciec ani trochę nie przejął się moim upadkiem i dalej mnie okładał, choć bardzo krzyczałam. Kiedy skończył, leżałam, wijąc się z bólu; ledwie mogłam wstać.

Po kilku dniach nadal nie byłam w stanie nawet zejść z łóżka, w końcu więc pozwolił mamie wezwać doktora Keanea.

Ten, jak tylko mnie zobaczył, kazał zawieźć do szpitala. Zrobili mi prześwietlenie i okazało się, że mam złamane biodro. Leżałam w szpitalu ponad tydzień i musiałam chodzić o kulach. Mama odwiedzała mnie tak często, jak tylko mogła, i nawet ojciec zdobył się na to, by raz zawitać do szpitala.

Oczywiście, nie powiedział nawet, że mu przykro z powodu tego, co mi zrobił. Za to przy pielęgniarkach urządził wielkie przedstawienie, ubolewając,

że nigdy nie patrzę pod nogi, nie wiem, dokąd idę i ciągle się o coś potykam. Kiedy wróciłam do domu, wszystko potoczyło się zwykłym torem.

Czasem po przyjściu z pubu wyciągał nas z łózek, ustawiał rzędem w korytarzu przy drzwiach wejściowych i kazał tak stać przez całą noc, nawet gdy było przeraźliwie zimno.

Pamiętam zwłaszcza jedną taką noc. Już od progu się wydzierał, że mamy wstawać z łózek i natychmiast schodzić na dół, jeśli nie chcemy napisać sobie biedy. Tak bardzo się go baliśmy, że skoczyliśmy wszyscy na równe nogi i zbiegli na dół, zanim jeszcze całkiem zdołaliśmy się rozbudzić. Pędziliśmy po schodach najszybciej jak tylko to możliwe, żeby go bardziej nie zdenerwować. Kiedy zjawiliśmy się w sieni, kazał nam tam klęczeć przez całą noc, po czym wtoczył się po schodach wprost do ciepłego łóżka, zostawiając nas trzęsących się z zimna w cieniutkiej nocnej bieliźnie.

Na kamiennej podłodze w sieni naszego komunalnego domu nie było dywanu ani chodnika. Klęczenie na twardych i zimnych płytach to prawdziwa tortura, ale baliśmy się ruszyć, żeby nie zrobił nam czegoś jeszcze gorszego. Po chwili usłyszeliśmy, jak głośno chrapie i mamrocze coś przez sen.

W końcu uchyliły się drzwi sypialni i pojawiła się w nich matka; na palcach zeszła po schodach. Szeptem kazała nam wracać na górę i pilnowała każdego z nas, żebyśmy robili jak najmniej hałasu. Kiedy znów znaleźliśmy się w łózkach, przykryła nas dodatkowo wełnianymi kocami, by w ten sposób rozgrzać nasze maleńkie, dygoczące ciała. Dopiero kiedy nas opatulila, udało nam się z powrotem zasnąć.

Oczywiście, następnego ranka ojciec zauważył, że nie ma nas na dole, ale nic nie powiedział. Nie posiadaliśmy się z radości, sądząc, że zapomniał o wymierzonej poprzedniego wieczora karze, a więc nieposłuszeństwo ujdzie nam płazem. Po pracy jak zwykle wpadł na obiad i też nie wspomniał o tym ani słowem. Nabraliśmy więc pewności, że nic nam już nie grozi. Jednak w nocy doszedł nas jego ryk. Zaraz po powrocie z pubu ogłosił, że już on nas nauczy

posłuszeństwa:

- Myśleliście, że uda wam się mnie wykiwać? To ja wam teraz dopiero pokażę!

Znowu ustawił nas rzędem i kazał klęczeć w lodowatej sieni, ale tym razem nie poszedł spać do łóżka, tylko przyniósł sobie poduszkę, koc i położył się w poprzek schodów, żeby matka nie mogła niezauważenie przyjść nam z pomocą. Chociaż ojciec nigdy nie podniósł na nią ręki, potrafił zastraszyć mamę do tego stopnia, że nie znalazła w sobie odwagi, by mu się przeciwstawić po raz drugi. Najpewniej po prostu się obawiała, że mógłby nam wymierzyć jeszcze okrutniejszą karę.

Nie dawaliśmy mu powodów do okrucieństwa. Nie różniliśmy się od innych dzieci: jak one bawiliśmy się, walczyliśmy między sobą i hałasowaliśmy, ale żadne z nas nie było złe. Jeśli cokolwiek mogło uczynić z nas złych ludzi, to właśnie jego brutalne traktowanie. To było naprawdę potworne doświadczenie: słyszeć jęk bólu i krzyk rozpaczony rozlegające się tuż za ścianą we własnym domu i nie móc zrobić nic, by pocieszyć rodzeństwo albo samemu doznać pociechy

Trudno opisać życie w ciągłym strachu przed własnym ojcem, który przecież powinien kochać i chronić, a nie katować i krzywdzić. Zaczęłam się go bać i nienawidziłam jego obecności. Coraz częściej przypominał mi potwora z bajki o Jacku i czarodziejskiej fasolce. Bolały nie tylko obrażenia cielesne, ale poniżenie i świadomość, że jestem niechciana, jestem kimś zupełnie niepotrzebnym we własnym domu.

A ból stawał się tym większy, że nie potrafiłam żadną miarą zrozumieć, dlaczego mnie to spotyka.

Nigdy nie powiedział „przepraszam”, nigdy nie okazał mi miłości ani żadnego ciepłego uczucia. Miałam nadzieję, że pewnego dnia to się zmieni, że przytuli mnie i pocałuje tak jak matka. Ale nigdy to nie nastąpiło. Leżąc wieczorami w łóżku, modliłam się, by ojciec mnie kochał, kiedy obudzę się

następnego ranka. Jednak tego koszmaru nie zdołały przerwać żadne modlitwy.

Nawet w tak młodym wieku doskonale rozumiałam, że moja matka ma ciężkie i smutne życie. Była dobrą, troskliwą i delikatną kobietą, która w zamian za swoje starania dostawała od męża tylko wyzwiska, zgryzoty i udręki. Tak bardzo się go bała, że zaczynała drzeć, gdy tylko któreś z nas powiedziało, że nadchodzi. Czasem ze strachu przed nim chowała się w dużej szafie i spała tam przez całą noc. Walczyła rozpaczliwie, żeby nas przed nim chronić, niewiele jednak mogła zdziałać albo wręcz nic; nie dało się okiełznać jego porywczosci. Z krwawiącym sercem musiała przyglądać się naszym męczarniom.

Jej cierpienie pogłębiało mój smutek. I złość, ponieważ nie mogłam zrobić nic, by osoba, którą kochałam najbardziej na świecie, przestała cierpieć. Matka, jak tylko mogła, starała się moją miłość odwzajemniać, ale ojciec robił wszystko, żeby uniemożliwić nam zbliżenie. Ilekroć chorowałam i musiałam leżeć w łóżku, nie pozwalał jej nawet do mnie zajrzeć.

A przecież choremu dziecku tak bardzo potrzeba matczynej miłości i troski! Jednak ojciec odmawiał mi nawet tego. Kiedy wychodził z domu, matka próbowała mnie utulić. Dobrze wiedziałam, że brak jej sił i odwagi, by mu się przeciwstawić, ale byłam przecież tylko małą dziewczynką. Przez wszystkie godziny, które nieszczęśliwa i zboląła spędzałam sama w pokoju, wpatrywałam się w sufit i zastanawiałam, co takiego mu uczyniłam, że aż tak bardzo mnie znienawidził.

Ojciec chciał mieć pełną władzę nad naszym życiem i jednym z jego wypróbowanych sposobów było głodzenie rodziny. Wychodząc rano do pracy, zostawiał na stole w kuchni dwie kromki chleba, dwa jajka i torebkę herbaty. Miało to wystarczyć pięciorgu dzieciom i dorosłej kobiecie na cały dzień. Matka jadła cokolwiek i większość pożywienia dzieliła między nas. Nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem, a dziewięć porodów dodatkowo ją osłabiło. Niewątpliwie także życie w ciągłym stresie i niedożywienie były przyczyną jej nieustannego zmęczenia i wiecznych chorób.

Kiedy miałam pięć lat, dwóch chłopców (jeden znacznie starszy ode mnie), zaczęło się ze mną zabawiać, podnosząc mi sukienkę i dotykając ciała. Mówili, że to taka zabawa w lekarza. Nie wiedziałam, co się właściwie dzieje, czułam się jednak skrępowana. Powiedzieli mi, żebym nikomu o tym nie mówiła, więc milczałam. Zresztą i tak nie miałam pojęcia, co powinnam w takiej sytuacji zrobić.

Ci dwaj chłopcy stawali się coraz bardziej nachalni. Zaczęli mnie molestować niemal codziennie. To, co mi robili, było obrzydliwe i sprawiało, że czułam się nieprzyzwoicie, chociaż nie rozumiałam, o co chodzi. Odrazę budziły we mnie ich dłonie, kiedy mnie oblepiały, i już na sam ich widok zaczynałam trząść się ze strachu; nie potrafiłam jednak uciec przed ich obrzydliwym obmacywaniem, nie umiałam ochronić swego drobniutkiego ciała. Zagrozili, że jeśli komukolwiek powiem o tym, co mi robią, zostaną zabrana od mamy i umieszczona w specjalnym zakładzie, z którego nigdy mnie nie wypuszczą.

Te obleśne praktyki w połączeniu z prześladowaniami ze strony ojca sprawiły, że stałam się dzieckiem nerwowym i łatwo wybuchałam płaczem. Bałam się bawić poza domem, bałam się chodzić po ulicy i znieawidziłam szkołę, ponieważ czułam się gorsza od pozostałych dziewczynek. Byłam tak roztrzęsiona, że nie potrafiłam zaprzyjaźnić się z nikim i nikomu zaufać. Najchętniej zwinęłabym się w kłębek we własnym łóżku, nakryła głowę poduszkami, zasnęła i nigdy się nie obudziła. Ale kiedy wieczorem kładłam się do łóżka, zwykle nie mogłam zasnąć.

W moim świecie trudno byłoby znaleźć coś pięknego czy cudownego. Zawierał tylko to, czego desperacko chciałam się pozbyć. Nie miałam pojęcia, dlaczego wszystko to przytrafia się właśnie mnie, wiedziałam jednak, że to kara, ponieważ ojciec ciągle mi przypominał, że siedzi we mnie diabeł i skończę w piekle. W szkole zakonnice i księża powtarzali w kółko, że jeśli będziemy dobrzy, anioły zabiorą nas do nieba. Hołdując katolickiej tradycji utrzymywania

dzieci w posłuszeństwie strachem, zadbali także o to, żebyśmy się dowiedzieli, czym jest grzech. Dlatego często przestrzegali nas, że najgorsze nawet cierpienia przeżywane tu, na ziemi, są niczym maleńkie ziarnko piasku w porównaniu z plażą wiecznych cierpień i mąk czekających nas w piekle, jeśli nie odprawimy pokuty za ziemskie grzechy. Panicznie się bałam, że wyląduję w miejscu, w którym moje drobnutkie ciało będzie skwierczało na szatańskim ogniu. Nie rozumiałam, dlaczego mam zostać tak właśnie ukarana, ponieważ w głębi duszy wiedziałam, że jestem dobrym dzieckiem.

Życie stało się nie do zniesienia. Coraz częściej przytrafiały mi się napady płaczu albo złości. Zaczęłam odmawiać pójścia do szkoły, matka więc zabrała mnie do doktora

Keanea. Pamiętam, że zadawał mi pytania dotyczące życia i rodziny, ja jednak nie mogłam mu powiedzieć prawdy. Nie miałam odwagi poskarżyć się na ojca, bo żywiłam przekonanie, że w ten albo inny sposób on się o tym dowie i zostanę ukarana jeszcze dotkliwiej. Nie mogłam też opowiedzieć o tym, co robili mi ci dwaj chłopcy, z obawy przed wysłaniem do specjalnego ośrodka. W domu było gorzej niż źle, ale nie chciałam, żeby mnie rozdzielono z mamą i umieszczono w jakimś zupełnie obcym miejscu. Dlatego zachowałam się niegrzecznie: powiedziałam doktorowi, żeby się zamknął i przestał mnie w końcu wypytywać.

Doktor Keane zapytał wtedy, co mnie dręczy, przed czym się właściwie bronię. Nie odpowiedziałam; po prostu stałam ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Ten miły człowiek nie miał pojęcia o tym, co przeżywałam. Matka natomiast nie wiedziała o seksualnym wykorzystywaniu. No bo jak miałam jej powiedzieć o tym, co robili mi ci dwaj chłopcy? Mogłabym poskarżyć się jej na ojca, ale to przecież nie miało sensu, bo ona także była jego ofiarą.

W czasie tej wizyty doktor Keane stwierdził u mnie stan zapalny nerek. Na koniec matka usłyszała, że jestem kruchego zdrowia i mam niedowagę, że trzeba mnie dobrze odżywiać, jeśli mam odzyskać siły. Oczywiście, nie mogła

powiedzieć, że wypełnienie tych zaleceń jest mało prawdopodobne, ponieważ ojciec wyznacza nam głodowe racje żywnościowe.

Po wizycie u lekarza moje zachowanie się pogorszyło i dla świata zaczęłam być wyjątkowo trudnym dzieckiem.

Była to po prostu moja odpowiedź na straszliwą krzywdę, jaką mi wyrządzano. Żyłam w strachu i poniżeniu. Jak miałam to wyjaśnić rozmawiającemu ze mną lekarzowi? Byłam tylko dzieckiem i nie znałam słów, którymi dałoby się nazwać kłębiące się we mnie uczucia. Reagowałam więc złością i frustracją, rzucając się na wszystkich.

Im dłużej trwało złe traktowanie i seksualne molestowanie, tym bardziej stawałam się niezrównoważona. Wszystko leciało mi z rąk, ciągle wrzeszczałam, z byle powodu traciłam nad sobą kontrolę i nikt nie mógł mnie uspokoić, a przede wszystkim ja nad sobą nie panowałam. Pocięłam kiedyś swoje sukienki i lalki. Chciałam zniszczyć wszystko, co lubiłam. Obudziła się we mnie nienawiść do wszystkiego, co kiedyś kochałam. Cały mój świat stanął na głowie. Zamiast miłości dostawałam cięgi i kary, a moje drobne dziewczęce ciało poddawali okrutnym torturom dwaj chłopcy

Miałam w głowie mętlik, byłam przerażona i czułam się bardzo samotna. Nie mogłam liczyć na wsparcie ani zrozumienie braci. Podobnie jak ja, chcieli tylko uniknąć gniewu ojca. Jedynie Brian się o mnie troszczył; oprócz tego stosunki między rodzeństwem mogłyby ilustrować zasadę doboru naturalnego, zgodnie z którą przetrwają najsilniejsi. Ilekroć ojciec nas wołał, walczyliśmy między sobą, żeby dobiec do niego przed pozostałymi, ponieważ ten, kto zjawiał się na końcu, skupiał na sobie cały jego gniew. Byłam najmniejsza i najsłabsza, co ułatwiało braciom spychanie mnie na bok, tak więc to na mnie najczęściej skupiał swoją furię. Matka, choć bardzo mnie kochała, nie mogła temu zapobiec. Byłam małym dzieckiem schwytanym w straszliwą sieć przerażenia, a oblepiająca mnie pajęczyna stawała się coraz gęstsza. W odróżnieniu od muchy, która walczy, żeby wyrwać się z sieci, chciałam umrzeć, ponieważ dalsze życie

oznaczało znoszenie coraz gorszych katuszy nie tylko w tym strasznym domu, ale też poza nim. Dziecko powinno wypatrywać każdego kolejnego dnia, ciesząc się na pełne przygód i zabawy chwile, które ze sobą przyniesie. Ja natomiast zaczęłam bać się każdej chwili mojego życia. Nie było sposobu, który pozwoliłby mi uniknąć tego, co mnie czekało, i wiedziałam o tym doskonale. Moje życie stanowiło pasmo nieludzkiego okrucieństwa i seksualnego wykorzystywania. Nie było w nim miejsca na nic innego.

Jak wszystkie małe dziewczynki, a pewnie nawet jeszcze bardziej ze względu na moją sytuację, nie mogłam się doczekać dnia pierwszej komunii. Zdawało mi się, że to jedyny jasny promyk w ciemnościach mojego życia - szansa na chwilowe choćby oczyszczenie się z brudu, który mnie zewsząd oblepiał.

Mogłam przynajmniej wyglądać jak inne dziewczynki, zakładając przepiękną sukienkę kupioną przez matkę za pieniądze, które odłożyła, odmawiając sobie wszystkiego. Miałam po raz pierwszy przyjąć ciało i krew Jezusa Chrystusa, przeżyć dzień pełen radości, znaleźć się w centrum uwagi, stać obiektem podziwu wszystkich wokół. Okazało się jednak, że nie było mi dane nawet takie jednodniowe powstrzymanie tortur.

Wieczorem w dniu poprzedzającym moją pierwszą komunię jeden z chłopców posunął się dalej niż dotychczas.

Przewrócił mnie, przyciskał do ziemi i najwyraźniej próbował wepchnąć mi się do środka. Był ode mnie znacznie większy i kiedy mnie przygniatał, miałam wrażenie, że zaraz się uduszę. Teraz wiem, że mnie zgwałcił, ale wtedy nie potrafiłam tego ani nazwać, ani zrozumieć. Wiedziałam tylko, że to coś złego i że sprawia ból większy od razów zadawanych mi ciągle przez ojca.

Następnego ranka ubrałam się w swoją przepiękną sukienkę i biały welon. Pamiętam, jak ktoś mówił, że jestem ładna i wyglądam ślicznie. Jednak nie czułam się ani ładna, ani śliczna. Owszem, miałam białą, czystą sukienkę, ale ciało pod nią było skalane, czarne jak węgiel. Dodatkowo odczuwałam

straszliwy ból po tym, co zrobił mi ten chłopak. Nasilał się z każdym krokiem, ale przecież nie mogłam zdradzić, dlaczego ledwo powłóczę nogami. Miałam siedem lat i przez cały czas chciało mi się płakać. I sądziłam, że Bóg o tym wie.

Bo przecież musi wiedzieć, skoro wie wszystko.

Miał to być najpiękniejszy dzień mojego życia, a ja wcale nie czułam się szczęśliwa. Stanu, w jakim się znajdowałam, na pewno nie można było nazwać stanem łaski. Nienawidziłam samej siebie i nie miałam wątpliwości, czy zasługuję na ten piękny biały strój. Oczywiście, matka nie wiedziała, co się ze mną dzieje, i nie rozumiała, dlaczego musi mnie niemal ciągnąć na tę wspaniałą uroczystość. Przez cały czas dopytywała się, co mi jest, a ja odpowiadałam, że wszystko w porządku.

Od czasu do czasu patrzyłam na nią ukradkiem. Wiedziałam, że jest dumna z tego, jak wspaniale wygląda jej mała córeczka, że tak się udała. Tak bardzo chciała, bym w tym szczególnym dniu była szczęśliwa. Nie wiedziała przecież, co wydarzyło się w przeddzień i moje zachowanie ją po prostu złościło. Także i dla niej miał to być dzień szczególny, jeden z niewielu jasnych dni po latach ciemności. Ale wydarzyło się zbyt wiele złego, by promyk światła zdołał rozproszyć mrok.

Uroczystość odbywała się w kościele pod wezwaniem

Niepokalanego Poczęcia w Clondalkin. Do pierwszej komunii przystępowało oprócz mnie czterdzieści dziewczynek i wszystkie były bardzo szczęśliwe. A mnie wewnątrz palił wstyd. Żałowałam, i do dziś żałuję, że nie mogłam uczestniczyć w tym doniosłym wydarzeniu w stanie łaski i niewinności. To przecież jeden z najważniejszych momentów w życiu katolika. Kiedy ksiądz położył mi biały opłatek na języku, najpierw przykleiłam go do podniebienia, ponieważ w głębi duszy bałam się, że go skalam. Jakaś cząstka mnie miała nadzieję, że może ten biały chleb mnie oczyści, ale nie czułam się lepiej po przyjęciu pierwszej komunii, gdy ze wzrokiem wbitym w podłogę wracałam między rzędami ławek na swoje miejsce.

Pragnęłam znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w kościele.

Chciałam uganiać się po łące za jakimś pięknym motylem z kolorowymi skrzydłami i słuchać śpiewu ptaków. Chciałam pójść daleko. Powinnam zapamiętać ten dzień na całe życie, a ja pragnęłam w ogóle zapomnieć, kim jestem i gdzie się znajduję. Inne dziewczynki czuły się w swoich sukienkach wyjątkowo i odświętnie, a ja - jakbym miała na sobie brudne szmaty, co z kolei wywoływało poczucie winy: dochodziłam do wniosku, że jestem niewdzięcznicą. Byłam samotna, inna niż wszystkie; czułam, że jestem niegodziwa i postępuję podle.

Panował wtedy zwyczaj, że po uroczystości pierwszej komunii sąsiedzi dawali dzieciom przystępującym do komunii pieniądze. Otrzymane monety schowałam w łóżku pod kocem, ale ojciec zaraz mi je zabrał. Powiedział, że przydadzą się na ubrania dla mnie, ale ubrań nigdy nie kupił, a pieniądze zatrzymał. Jeszcze jedno upokorzenie, które musiałam ścierpieć. Można by pomyśleć, że strata podarowanych na komunię pieniędzy była okropnym przeżyciem, wcale mnie jednak nie obeszła, ponieważ przyzwyczajona byłam do znoszenia o wiele gorszych rzeczy.

Kilka dni po komunijnej uroczystości ojciec kazał mi spać w szopie na podwórku. Wolno mi było przebywać w domu tylko wtedy, kiedy on wychodził do pracy. Bałam się panującej w szopie ciemności i drżałam ze strachu, gdy dochodził mnie szelest liści czy szum wiatru. W szopie panowało przejmujące zimno. Łzy pociekły mi z oczu, kiedy pomyślałam o ciepłym domu i pościeli rozłożonej na moim łóżku.

Zwinęłam się w kłębek w kącie szopy, a nasza suczka

Teddy położyła się w moich nogach. Kiedy z tej samotności i zimna wybuchnęłam płaczem, Teddy podniosła się, podeszła bliżej i położyła obok mnie. Objęłam ją ramieniem i zasnęłam. Którejś nocy było mi tak zimno, że wsunęłam się na posłanie Teddy i tak spałyśmy, przytulone do siebie.

Czułam, że Teddy wie, co się dzieje, i że mnie kocha. Kiedy byłam

uwięziona w szopie, starszy brat podrzucał mi jedzenie. Wychodząc rano do pracy, przez okno wsuwał do szopy trochę chleba i kubek herbaty.

Kiedy, co było nieuniknione, rozchorowałam się z powodu zimna, ojciec pozwolił mi spać w domu. Odniosłam wrażenie, że wpuścił mnie do nieba. Nie miałam wtedy pojęcia, że przez najbliższy rok więcej czasu spędzę w szopie na podwórku niż we własnym domu. Nie było jakiegoś szczególnego powodu. Nie karał mnie za złe zachowanie. Wyrzucanie mnie do szopy stanowiło dla niego jeszcze jeden sposób okazywania okrucieństwa i kolejną okazję do demonstrowania bezwzględnej władzy nad nami.

Nadeszła zima i śnieg pokrył wszystko grubą warstwą.

Któregoś ranka wstałam wcześniej i cichutko zesłam na dół, żeby wpuścić do domu Teddy. Otworzyłam drzwi kuchenne i zawołałam ją, ale nie przybiegła jak zwykle. Po chwili usłyszałam cichy skowyt gdzieś spod śniegu; zaczęłam kopać w tym miejscu. Kiedy ją znalazłam, cała drżała i była w strasznym stanie. Delikatnie otrzepałam ze śniegu mokre futerko i zaniiosłam Teddy do kuchni. Mama bardzo się zmartwiła jej stanem; wiedziała, że nasza suczka umiera. Kiedy w kuchni zjawiał się ojciec, z miejsca powiedział szorstko, że to tylko pies i on za nic nie pozwoli napalić w piecu dla jakiegoś tam kundla. Serce mi się ścisnęło, ale siedziałam cicho, wiedząc, że dostanę lanie, cokolwiek powiem.

Gdyby to zależało od ojca, nasz dom nie byłby w ogóle ogrzewany. Pozwalał palić w piecu tylko dlatego, że inaczej byłoby zimno także jemu. Dbał wyłącznie o siebie i nikt inny się nie liczył. Nie sądzę, by zareagował inaczej, gdyby umierała żona czy któreś z dzieci. Był człowiekiem złym i okrutnym, nie miał za grosz litości. Często się zastanawiałam, dlaczego był taki, jednak nigdy nie znalazłam odpowiedzi.

Kiedy wyszedł wreszcie do pracy, matka złamała zakaz i rozpałała w piecu. Osuszyliśmy Teddy i zawinęliśmy w stary wełniany koc. Matka zagrzała trochę mleka, a ja przyniosłam z szopy jedną z butelek po porterze, które ojciec

tam składał. Nałożyłyśmy na butelkę smoczek i zabrałam się za karmienie Teddy. Powoli piła ciepłe mleko. Serce mi się krajało na widok jej okropnego stanu. Moja opiekunka w mrocznych chwilach zimna i samotności teraz sama potrzebowała opieki.

Po kilku godzinach przy piecu, w którym trzaskał ogień, otoczona ciepłem, miłością i troską Teddy zmarła.

Byłam tym zdruzgotana jeszcze przez wiele tygodni. Nie miałam pojęcia, czym jest śmierć. Wiedziałam tylko, że Teddy nigdy już nie wróci. I kiedy następnym razem wyląduję w szopie, nie będę miała się do kogo przytulić. Płakałam z żalu nad nią i nad sobą. Nienawidziłam ojca za to, co powiedział i zrobił. Nigdy wcześniej nikt mi nie umarł. Czułam bezsilną złość.

W końcu przypominałam sobie modlitwy i to, co mówili nauczyciele: jeśli jesteśmy dobrzy, idziemy do nieba. Tam właśnie musiała pójść Teddy - do nieba. Mówiono nam także, że powinniśmy się modlić za zmarłych i za tych, którzy wyrządzili nam krzywdę. Oczywiście modlitwy znałyśmy na pamięć. Którejś nocy postanowiłam pomodlić się za Teddy i za siebie. Była to także modlitwa za mojego ojca, choć gdy wypowiadałam jej słowa, nie zdawałam sobie z tego sprawy

Dobrze pamiętam, jak to było. Leżałam w łóżku, nie wiedząc, kiedy znowu wyląduję w szopie albo stanie mi się jakaś inna niezastuzona krzywda. Złożyłam dłonie jak podczas pierwszej komunii i zaczęłam mówić:

Ojcze nasz, któryś jest w niebie: święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi.

Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Amen.

Zasnęłam. Zrobiło mi się lepiej na myśl, że Teddy poszła do nieba. Pewnego dnia miałam nadzieję ją spotkać, choć ojciec ciągle mi powtarzał, że

trafię do piekła. Tamtej nocy śniło mi się, że wokół mojego łóżka zebrały się anioły, podniosły mnie i na białej chmurze zabrały do nieba. W ten sposób znalazłam się w miejscu, w którym byłam szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Jednak gdy się obudziłam następnego ranka, przekonałam się, że wszystko jest po staremu. Usłyszałam, jak ojciec idzie po schodach na dół, i zaczęłam się cała trząść. Nie chciałam iść do szkoły. Nie chciałam w ogóle nic robić. Pragnęłam znaleźć się z powrotem na tej białej chmurze, ale już jej nad moim łóżkiem nie było. Przez kilka kolejnych nocy nie mogłam spać. Modliłam się żarliwie, żeby aniołowie przybyli znowu i zabrali mnie do siebie. Aniołowie mnie jednak nie wysłuchali. Nikt nie słuchał moich modlitw.

Ojciec musiał wiele myśleć o tym, jak znęcać się nade mną, bo miał sposobów bez liku. Kiedyś zimą, gdy nie był w humorze, nie wysłał mnie do szopy, za to kazał mi siedzieć przez całą noc w śniegu na dużej srebrzystej bańce na mleko stojącej w ogrodzie za domem. Przemarzałam na kość, bałam się i czułam opuszczona przez wszystkich. A kiedy światła w domu zgasły zrobiło mi się jeszcze bardziej przykro, ponieważ nie było już Teddy, do której mogłabym się przytulić.

Pewnego razu ojciec pobił mnie wyjątkowo mocno. Naprawdę myślałam wtedy, że umrę. Ten jeden raz pamiętam dobrze, choć przecież pastwił się nade mną wielokrotnie. Na podwórzu za domem okładał mnie pięściami, jakbym była workiem treningowym. Bolało mnie dosłownie wszystko, a ból był nie do zniesienia. Wyglądało na to, że nigdy nie przestanie. Kuliłam się, by ochronić się przed ciosami, i próbowałam jakoś wyrwać, ale był ode mnie znacznie silniejszy

Z doświadczenia wiedziałam, że jeśli położę się na ziemi nieruchomo, zwykle kończy mnie okładać, ale tym razem jakby coś go opętało. Kiedy zebrałam się na odwagę, żeby podnieść wzrok, zobaczyłam jego błyszczące z wściekłości oczy. Wychodziły mu z orbit, zupełnie jakby chciały wyskoczyć z głowy. Na ustach miał pianę, po czole spływał mu pot, a jednak nie przestawał

mnie bić.

Nie mogłam dłużej być cicho. Zaczęłam błagać o litość, ale na próżno. Nie słuchał. Wymierzał mi cios za ciosem i kopniaka za kopniakiem. Każdy fragment ciała piekł wielkim bólem. Złapał mnie za włosy i podniósł z ziemi. Czułam, jak skóra na głowie odchodzi mi od czaszki.

Któryś z sąsiadów musiał zwrócić uwagę na moje wrzaski, ponieważ słyszałam, jak jakiś mężczyzna pytał ojca, co się stało. Ojciec odwrócił się w jego stronę i warknął:

- Wynoś się stąd i pilnuj własnego nosa!

Ale zaraz potem cisnął mną o ziemię i odszedł. Leżałam jak kłoda, dopóki nie ucichły w oddali odgłosy podbitych blaszkami obcasów jego butów. Potem próbowałam wstać, ale najmniejszy ruch sprawiał, że wyłam z bólu. Przez kilka godzin leżałam więc tam, gdzie rzucił mnie ojciec oprawca.

Zapadał zmrok. Zobaczyłam światła w domu. Na twarzy miałam zakrzepłą krew, na rękach i nogach pełno ran i siniaki.

Przewróciłam się na bok i z wysiłkiem podciągnęłam kolana najbliżej brody, jak mogłam. Potem płakałam, ale po chwili musiałam przestać, bo sól w łzach sprawiała, że nieznośnie piekły mnie rany. Z trudem oddychałam i przypawiło mnie to o atak paniki, przez co boki i plecy bolały jeszcze bardziej. Między łapanymi z trudem oddechami trzęsłam się i wydawałam jęki.

Słyszałam, jak matka płacze i błaga ojca, żeby pozwolił wnieść mnie do domu. Odmówił, stwierdzając, że jeśli o niego idzie, to mogę zgnić w piekle. Dodał, że całkowicie zasłużyłam na to, co mnie spotkało. Bo dziecko, które ma w sobie diabła, nigdy się niczego nie nauczy. Ale on go ze mnie wykurzy.

Później dobiegł mnie z kuchni szczek naczyń. Wiedziałam, że za chwilę skończy się wieczorny posiłek, a zaraz potem z głośnym trzaskiem zamkną się drzwi frontowe i ojciec wyjdzie do pubu, gdzie jak zwykle nieskazitelnie ubrany będzie odgrywał przyzwoitego, chodzącego codziennie do kościoła i ciężko pracującego Olivera. Czy ktoś taki nie zasługuje na szacunek ogółu?

Byłam zdrtwiała od panującego na dworze zimna, a w środku aż parzył mnie piekący ból. Oddech zrobił mi się płytki i przy każdym wdechu odczuwałam dwa ukłucia w plecach. Zrobiłam się senna i pewnie z tego powodu przyszło mi do głowy, że umieram. Ale osłabienie oraz ból nie pozwalały mi zareagować. Oprócz tego byłam tak zmaltrętowana fizycznie i psychicznie, że nie sprawiało mi to żadnej różnicy.

Wiedziałam, że mam w kieszeni mały różaniec, ale palcami zeszywniałymi wskutek uderzeń obcasami butów ojca nie mogłam go stamtąd wyjąć. Jakoś udało mi się złożyć zmasakrowane dłonie i zaczęłam się modlić do Boga, żeby wybaczył mi grzechy Prosiłam go nawet, żeby wybaczył ojcu to, co mi zrobił. Wiedziałam, że jeśli umrę, ojciec pójdzie do więzienia, a to już byłaby wystarczająca kara. I najlepsza rzecz, jaka mogła przytrafić się mojej rodzinie, ponieważ uwolniłaby matkę i braci spod jego tyranii i pozwoliłaby im prowadzić w miarę normalne życie.

Modliłam się, żeby Bóg zabrał mnie szybko i bez bólu.

Ale nagle przyszła mi do głowy straszna myśl: a jeśli nie odpokutowałam jeszcze za wszystkie grzechy? Wtedy skończę dokładnie tam, gdzie przepowiadał ojciec. Zatrzęsłam się ze strachu i zaczęłam mamrotać półgłosem, że nie chcę umierać. Ogarnięta paniką nie czułam nawet bólu. Opuściła mnie też senność, ale za nic nie potrafiłam wydobyć z kieszeni różańca. A próbowałam ze wszystkich sił, bo wiedziałam, że różaniec oznacza dla mnie zbawienie.

W końcu usłyszałam trzaśnięcie drzwiami wejściowymi. Wiedziałam, że ojciec jest już w drodze do pubu i za kilka chwil pojawi się koło mnie mama. Przyszła. Tak bardzo przeraziła się moim stanem, że wybuchnęła płaczem. Płakała długo, a ja czułam się tak, jakbym ponosiła całą winę za jej smutek i łzy. Powiedziałam, żeby wróciła do domu, bo ze mną wszystko będzie dobrze, ale podniosła mnie z ziemi, pomogła mi dojść do kuchni i umyć się. Kiedy opatrywała mi rany, krzyczałam z bólu.

Potem położyła mnie do łóżka, tak żałośnie przy tym łkając, że zrobiło mi

się jej bardzo żal. Przez mojego ojca cierpieliśmy wszyscy. Ale to, co robił mnie i reszcie rodziny, najwyraźniej nie przeszkadzało mu, kiedy błagał Jezusa o zbawienie duszy i pochylał głowę podczas Podniesienia na mszy

Tamtej nocy zabrałam ze sobą do łóżka swój mały różaniec.

Trzymałam go w dłoniach i powtarzałam w kółko: „Boże, nie pozwól mi umrzeć! Boże, nie pozwól mi umrzeć!”. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, pewnie błagałabym o rychłą śmierć.

Ojciec zawsze znajdował nowe sposoby, żeby mnie maltretować, a zadawane mi tortury psychiczne były nie mniej bolesne niż jego razy. Powtarzał, że jestem bezużyteczna i beznadziejna. Że do niczego w życiu nie dojdę i potrafię tylko wyprowadzać z równowagi jego oraz wszystkich dookoła.

Mówił, że mam w sobie diabła. Wyzywał mnie od najgorszych. Wykrzykiwał, że mnie nie chce i żałuje, iż mnie nie utopił, jak tylko się urodziłam. Powinno się było zanieść mnie do rzeki w worku, wrzucić do wody i zostawić, żebym utonęła jak niechciany miot kociąt. Nocami prześladowały mnie koszmary, w których spełniała się jego przepowiednia.

Mijały kolejne miesiące, ale nie skończyło się maltretowanie przez ojca i seksualne wykorzystywanie przez chłopców.

Stałam się zamknięta w sobie. Wiedziałam, że matka coraz bardziej się o mnie martwi, ale nic nie mogłam na to poradzić. Nie potrafiłam niczym się cieszyć i nie znajdowałam wytchnienia nawet w szkole. Tak często opuszczałam lekcje ze względu na ślady po torturowaniu i rany, które zadawał mi ojciec, że miałam sporo zaległości i odstawałam znacznie od rówieśników. Wiele myśli kołatało mi się po głowie i nie mogło być mowy o skupieniu podczas lekcji. Zamiast się zastanowić i spróbować dociec, co się ze mną dzieje, nauczycielka uznała, że sprawiam za dużo kłopotów i najczęściej zamykała mnie podczas lekcji do stojącej w klasie szafy.

Któregoś dnia zapomniałaby, że tam siedzę, gdyby nie inne dzieci. Jedna z dziewczynek zapytała: „A co z Kathy proszę pani?”. Kiedy nauczycielka

otworzyła szafę, żeby mnie wypuścić, wypadłam ze środka na podłogę. Trzymała mnie tam tak długo, że zasnęłam.

W wieku ośmiu lat miałam już za sobą kilka wizyt u doktora Keanea, ale on nie potrafił wyjaśnić mojego zachowania.

Matka zabrała mnie więc do przychodni w Ballyfermont. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym czekało na mnie dwóch lekarzy ogólnych i psychiatra oraz pracownik opieki społecznej. Nałożyli mi na głowę całą kupę jakiegoś białego kitu i podłączyli druty, po czym lekarz włączył przycisk i z maszyny przy leżance zaczął wysuwać się papier pokryty śmiesznymi zygzakami. Słyszałam, jak doktor tłumaczył matce, że te zygzaki przedstawiają fale mózgowo i pozwolą ustalić, czy dzieje się ze mną coś złego. Zaczęłam płakać i oblizywać wargi. Pamiętam, jak kobieta z opieki społecznej, która wydawała mi się miłą, żartowała, że mam pewnie strasznie słone wargi.

Kiedy zdjęli mi z głowy wszystkie druty i oczyścili włosy z kitu, psychiatra zadawał mnóstwo pytań o szkołę i dom.

Pytał, czy w moim życiu dzieje się coś niezwykłego i czy czuję się nieszczęśliwa. Oczywiście, skłamałam. Zapewniłam go, że nic niezwykłego się ze mną nie dzieje, ponieważ ciągle pamiętałam groźbę chłopaków, że jeśli się wygadam, zostanę zabrana z domu i umieszczona w ośrodku. Ponieważ badania nie wykazały niczego niepokojącego, a ja nie dostarczyłam lekarzom żadnych powodów, które kazałyby się mną dalej zajmować, psychiatra stwierdził, że jeśli dojdzie do jakichś wniosków na temat mojego dziwnego zachowania, skontaktuje się z naszym lekarzem rodzinnym.

Dopiero wiele lat później dowiedziałam się, że ten psychiatra określił mnie mianem „dziecko przysparzające kłopotów”. Używając tego określenia, dał mojemu ojcu pretekst, którego ten szukał od dawna. Gdyby wtedy ktokolwiek spróbował porozmawiać ze mną w okolicznościach zapewniających mi poczucie bezpieczeństwa, z pewnością dowiedziałby się, że mam wiele powodów, żeby zachowywać się jak „dziecko przysparzające kłopotów”. Mój

ojciec, chociaż nieokrzesany i niedouczony, zapewne też potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak właśnie mnie zaklasyfikowano. Także moja biedna, kochana matka powinna coś niecoś na ten temat wiedzieć, choć winy za to, co się ze mną stało, w najmniejszym nawet stopniu nie można złożyć na nią. Była terroryzowana i maltretowana psychicznie przez mojego ojca tak samo jak ja.

Diagnoza badającego mnie psychiatry była zwykłym opisem stanu, w jakim się znajdowałam, i nie zawierała choćby wzmianki o tym, że należy zbadać, co mnie do takiego stanu doprowadziło. Nikt nie miał zamiaru zadać sobie trudu, by ustalić, co się naprawdę ze mną dzieje.

Mniej więcej dwa tygodnie później bawiłam się na podwórku przed domem z innymi dziećmi, kiedy na chodniku pojawił się ojciec, a wraz z nim zakonnica z klasztoru, w którym wtedy pracował. Pamiętam, że siedziałam na stercie bali i że świeciło ostre słońce. Usłyszałam, że mnie woła, i odwróciłam się. Stał pod słońce i ledwie go widziałam.

- Chodź tutaj. Jedziesz nad morze - powiedział, wskazując na zakonnice. - Siostra jest tak dobra, że zgodziła się zabrać nas tam swoim samochodem.

Jeden z moich braci zapytał, czy też może jechać nad morze, ale ojciec kazał mu się zamknąć.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Słońce świeciło wysoko na niebie i w tej jednej chwili wszystko, co się ze mną dotąd działo, stało się nieważne. Człowiek, który wyrządził mi tak wiele złego i był dla mnie bardzo okrutny, zabierał mnie nad morze! Zabierał mnie tam! W to miejsce, o którym dotychczas tylko marzyłam! Zeskoczyłam ze sterty bali i pobiegłam do domu, żeby przygotować się do podróży Zziajana i radosna podbiegłam do matki. Błagałam ją, żeby pozwoliła mi założyć na tę wycieczkę komunijną sukienkę. Widząc moją radość i podniecenie, wyraziła zgodę na tę prośbę. Dopiero wiele lat później mi powiedziała, że ojciec ją zapewniał, iż wyjeżdżamy na jeden dzień i wieczorem przywiezie mnie z powrotem do domu.

Ostrożnie założyłam moją prześliczną sukienkę, płaszcz, białe skarpetki i

czarne skórzane lakierki. Spojrzałam na Lou, moją szmacianą lalkę leżącą na łóżku. Uśmiechnęłam się, już ciesząc się na myśl, ile po powrocie znad morza będę jej miała do opowiedzenia. Przyszło mi do głowy, że właśnie spełniają się moje marzenia i niebawem będę biegała po złotym piasku nad samym morzem. Nawet nie przeczuwałam, że czeka mnie koszmar o wiele gorszy od tego, który już poznałam.

Piekło u zakonnic

Dziewczynka jest zdruzgotana, rozbita w puch.

Nie rozumie, co dzieje się wokół.

Ruszam jej na ratunek, oferując miłość, odwagę i sens życia. By mogła iść dalej.

Widzę całą jej rozpacz.

Jest jej źle, czuję to przez cały czas, i źle jest mnie, tak bardzo źle.

Wiem, że traci siły, słabnie, nie ma pojęcia, co zrobić.

Wiele się dzieje - jej i mnie.

A ona sobie z tym nie radzi, nie umie tego ogarnąć.

Czuję to wyraźnie gdzieś w sobie.

Ja jestem dorosła, a ona jest dzieckiem walczącym, by żyć.

Wyciąga do mnie rękę, szuka zrozumienia. r?>‘??:?

Zakonnica, ojciec i ja wsiedliśmy do samochodu. Przez półtorej godziny mieliśmy za oknami przepiękne krajobrazy. Przez cały ten czas sądziłam, że celem naszej podróży jest morze i że właśnie spełnia się największe z moich marzeń. Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu i wyrzuciłam z głowy całe zło, które wyrządził mi ojciec. Byłam mu wdzięczna. Cieszyłam się jak mały psiak, któremu właściciel nie żałuje kopniaków, ale w końcu okazuje odrobinę uczucia. Z wdzięczności i radości gotowa byłam lizać ręce, które jeszcze niedawno były mnie bez litości.

Choć traktował mnie z takim okrucieństwem, był przecież moim ojcem i jakoś tam go kochałam. Nienawidziłam go, kiedy mnie bił, głodził i wyrzucał z

domu na mróz, gdy jednak to wszystko się kończyło, w tych bardzo krótkich chwilach wytchnienia, znów zaczynałam go kochać. Był dla mnie autorytetem i sądziłam, że wie znacznie więcej ode mnie. Skoro mnie źle traktował, musiał mieć jakieś powody. Uważałam, że nie jestem złą dziewczynką, ale on najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie. Może to on miał rację, a ja się myliłam? Zresztą ta wycieczka nad morze była rekompensatą za wszystko, co zrobił mi dotychczas.

Myślałam w duchu, że od teraz wszystko się zmieni. Ze wycieczka nad morze to dopiero początek i później ojciec zabierze mnie do kina - na seans filmowy, jak mawiała matka - a może nawet do cyrku, który raz do roku rozstawiał namiot na wielkim placu niedaleko naszego domu. Nagle ta jedna podróż wyrwała mnie z mrocznego świata strachu, przejmującego bólu i chłodnej szopy do życia wypełnionego złotymi promieniami słońca i ciemnoniebieskim połyskiem morza. Smutek miał ustąpić miejsca radości.

Patrzyłam przez okno samochodu i ogarniało mnie poczucie ulgi. Komu zawdzięczałam moje szczęście? Oczywiście, mamie. No i także ojcu. Zastanawiałam się, co spowodowało w nim tak wielką przemianę, choć szczerze mówiąc, jej przyczyna schodziła na drugi plan. Zbyt wiele było we mnie radości i podniecenia, żebym się przejmowała takimi rzeczami. Spojrzałam w dół, na buty z lakierowanej skóry, i w tym momencie poczułam, jak wilgotnieją mi oczy.

Po twarzy popłynęły mi łzy. Kapały na białą sukienkę. Łzy szczęścia.

Na szczycie długiego wzniesienia samochód nagle skręcił w bramę i potoczył się aleją, po obydwu stronach wysadzaną drzewami. Poczułam się niepewnie. W moich wyobrażeniach do morza nie prowadziła żadna wysadzana drzewami aleja. Nie było też wielkiego dziedzińca, który właśnie ukazał się przed nami w całej okazałości. W marzeniach widziałam plażę i piasek, a nie wielkie połacie trawnika. Ze strachu serce podeszło mi do gardła. Szczęście zaczęło powoli się ulatniać.

Skręciliśmy i w przedniej szybie samochodu zobaczyłam budynek z szarego kamienia. Na jego widok wstrząsnął mną dreszcz strachu. Był ciemny, niczym dom jakiegoś potwora.

A kiedy samochód podjechał bliżej, zauważyłam żelazne kraty w oknach. Po co zajechaliśmy do tego domostwa? Strach zaczął się zmieniać w panikę. Wbiłam paznokcie w okładkę bajki z obrazkami, którą trzymałam na kolanach.

Wpatrywałam się w tył głowy ojca, w jego błyszczące od brylantyny włosy. Instynkt mi podpowiadał, że to on właśnie jest odpowiedzialny za przywiezienie mnie do tego przerażającego gmaszyska, choć przecież obiecał wycieczkę nad morze. Potem podejrzania przerodziły się w pewność. To on kazał tu przyjechać. Może wstąpimy tylko na herbatę? A może mieszka tu ta zakonnica? Jednak strach nie ustępował.

Kiedy samochód zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi, budynek wydał mi się jeszcze bardziej ponury i złowrogi. Zastanawiałam się, dlaczego jestem właśnie tutaj zamiast nad morzem. Zrozumiałam, że stanie się coś złego. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, zauważyłam, że w drzwiach czeka na nas kolejna zakonnica.

Ojciec brutalnie złapał mnie za rękę i weszliśmy do środka.

Wielebna matka przełożona, ta, która oczekiwała w drzwiach, poprowadziła nas do swojego gabinetu. Wtedy ojciec odwrócił się do mnie i powiedział:

- Zostaniesz tutaj przez jakiś czas.

Patrzyłam na niego z bezgranicznym zdumieniem.

- Ale przecież nie mogę! Mama będzie mnie szukała.

Odpowiedział, że poinformuje matkę, gdzie się znajduję, i że ona będzie mnie odwiedzać.

- Nie! Chcę do domu! Do mamy! - krzyknęłam. Ledwie zamknęłam usta, puścił moją rękę, spojrzalija mnie złowrogo i powiedział:

- Zostajesz tutaj! - po czym wyszedł z gabinetu.

Dopóki trzymał mnie za rękę, czułam się w jakiś sposób bezpieczna, choć przecież zawsze był dla mnie okrutny. Kiedy wyszedł, zostałam zupełnie sama. I byłam bezsilna. W głębi serca kochałam ojca i zawsze chciałam, żeby odwzajemniał to uczucie. Ale on mnie nie kochał. Gdy byłam młodsza, robiło mi się ciepło na sercu, kiedy mijał mnie z uśmiechem. „Na pewno mnie kocha!” - myślałam, nie pamiętając, że poprzedniej nocy wypędził mnie z domu do szopy, żeby się mnie pozbyć. Wychodząc teraz z gabinetu, pozbył się mnie na dobre.

Razem z ojcem z gabinetu wyszła zakonnica, która nas przywiozła. Druga zakonnica poszła w ich ślady i w trójkę rozmawiali przez chwilę na korytarzu. Przez drzwi słyszałam ich stłumione głosy, nie mogłam jednak odróżnić słów.

Stałam pośrodku gabinetu wystraszona i zagubiona. Czułam się taka samotna!

Bardzo się denerwowałam. Ścisnęło mnie w żołądku.

Usiadłam na krześle i natychmiast znowu się podniosłam.

Wiedziałam, że dzieje się coś bardzo złego. Popatrzyłam na wielkie biurko, na ścianę za nim i z powrotem na czubki swoich czarnych butów z lakierowanej skóry. Coraz silniej dławił mnie paniczny lęk.

Po głowie kołatała mi myśl, że nie powinnam tu zostać.

Chciałam jechać z powrotem do domu, nawet gdyby miały się tam dziać najstraszniejsze rzeczy. Za drzwiami na korytarzu usłyszałam odgłosy kroków po wypastowanej podłodze; były tak głośne, jakby za chwilę miały mnie rozdeptać. Choć na zewnątrz panował letni upał, trzęsłam się cała. Wszystko w tym miejscu wydawało się zimne i przerażające.

Ojciec sobie poszedł i wiedziałam, że nie wróci. Po co mnie tu przywiózł? Dlaczego? Powoli wszystko stawało się jasne. Miałam zostać w tym miejscu, bo nie byłam grzeczną dziewczynką. Na pewno właśnie dlatego. A może chłopcy, którzy mówili, że zostanę zamknięta w jakimś specjalnym ośrodku, jeśli pisnę choć słowo, mieli rację? Ale przecież z nikim o nich nie rozmawiałam! Czułam

jednak, że to właśnie taki ośrodek, jakim mnie straszili, i że zostanę w nim na zawsze.

Wielebna matka wróciła do pokoju, usiadła za biurkiem i popatrzyła na mnie zimnym, pełnym wyższości wzrokiem.

Była tłusta i brzydka. Nie wydała mi się miła i dobra. Bardzo chciałam, żeby w drzwiach pojawił się ojciec, wziął mnie za rękę i dotrzymał obietnicy, że pojedziemy nad morze. Chciałam pobawić się na plaży jak zwyczajna dobra dziewczynka. Nie zasłużyłam niczym na pobyt tutaj. Jakiś głos powtarzał mi ciągle w głowie: „Jestem dobrą dziewczynką. Jestem dobrą dziewczynką”.

Lekarze się mylili. Ojciec się mylił. I ci dwaj chłopcy też się mylili. „Jestem dobrą dziewczynką. Jestem dobrą dziewczynką.” Ale powtarzanie tego zdania na nic się zdało. Wiedziałam, że za chwilę zostanę ukarana. Wpatrywałam się w czubki swoich butów z obawy, że jeśli zacznę się rozglądać dookoła, natrafię na spojrzenie tej przerażającej, wielkiej zakonnicy o okrutnym wyrazie twarzy. Jej oczy ziały nienawiścią i pogardą.

- No cóż, dziewuszysko - odezwała się w końcu. - Wiesz, po co tu jesteś?

- Nie - wyszeptałam.

- Jesteś tu po to, żeby robić, co ci się każe. Skończy się twoje bezczelne zachowanie. Nie będziesz więcej wyprawiała żadnych cyrków! Wychowamy cię tutaj na prawdziwą damę. Nie wolno ci się odzywać, dopóki nie zostaniesz zapytana. A i wtedy masz odpowiadać tylko: „Tak, proszę matki” albo: „Nie, proszę matki”. - Bez przerwy się na mnie gapiała, a mnie ogarniała coraz większa rozpacz. - No i co? Zrozumiałaś, co powiedziałam?

- Tak, proszę matki.

- Od dzisiaj twoje imię brzmi Bernadetta.

- Tak, proszę matki - odparłam, choć nie. miałam najmniejszego pojęcia, co to właściwie znaczy. Myślałam, że się pewnie pomyliła, ale byłam zbyt przerażona, żeby jej zwrócić uwagę, że mam na imię całkiem inaczej. Teraz myślę, że było to świadome działanie zakonnicy, mające zdezorientować

wychowanki i sprawić, by poczuły się jeszcze bardziej samotne, bo pozbawione przeszłości.

- Co ty trzymasz? - zapytała po chwili. - Jak śmiesz wnosić coś takiego do tego świętego przybytku?

Znów nie wiedziałam, o co jej chodzi. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mam w dłoniach książkę z obrazkami. Palce zacisnęły mi się na niej tak mocno, jakby od tego zależało co najmniej moje życie.

Wyrwała mi jednak książkę, podniosła do góry i mocno walnęła mnie nią w głowę. Byłam zdziwiona, że świątobliwa zakonnica jest zdolna zrobić coś takiego. Zaczęłam płakać.

- Nie będziesz tu miała czasu na czytanie bajek - oświadczyła szorstko. - I nie wysilaj się na płacz. Nie będziemy tego tolerować.

Jednak nie mogłam się powstrzymać. Po policzkach spływały mi te same łzy bólu i rozpacz, które pojawiały się w domu, zanim ojciec zaczął mnie bić, i potem, kiedy już skończył. Zakonnica zrobiła to samo co on. Nie знаła mnie wcale, a już uderzyła bez żadnego specjalnego powodu, chyba tylko dlatego, że byłam nieszczęśliwym dzieckiem podstępnie przywiezionym do miejsca, które zaczęło powoli napęłniać je ogromnym przerażeniem. Trzęsącymi się rękami otarłam łzy, a ona bez przerwy gapiała się na mnie obojętnie.

Zrozumiałam już wtedy, że na litość tej zakonnicy mogę liczyć mniej więcej tak jak na litość ojca. A więc moje życie w tym miejscu będzie jeszcze bardziej opłakane niż dotychczas, ponieważ u zakonnicy nie znajdę pocieszenia jak w domu - u matki. Wiedziałam, że nie doznam tu od nikogo matczynej miłości, której tak bardzo potrzebowałam.

Przez chwilę jeszcze gapiała się na mnie, po czym ruchem dłoni dała mi znak, żebym za nią szła. Wyszłyśmy z gabinetu, przeszłyśmy kawałek korytarzem i nagle zatrzymała się przed wielkimi drewnianymi drzwiami. Za nimi zobaczyłam kolejną zakonnice. Musiałam oddać jej płaszcz i srebrną bransoletkę, którą miałam na ręku. Wręczyła mi jakiś tobolek i dwa duże

ręczniki, po czym zaprowadziła po schodach na górę.

Tam znajdowały się trzy łazienki, każda z zielonymi drzwiami podzielonymi na dwie części, górną i dolną, jak drzwi do stodoły. Wanna stała po lewej stronie, a umywalka po prawej.

Zakonnica napuściła wody do wanny. Kazała mi się wykąpać, więc zdjęłam ubranie. Wtedy dała mi kostkę mydła karbolowego i wyszła, zostawiając otwarte drzwi. Podczas gdy ja się myłam, ona siedziała na drewnianym stołku w korytarzu. „A więc to dlatego się tutaj znalazłam - pomyślałam.

- Muszę wziąć kąpiel, ponieważ jestem brudna. I zakonnice o tym wiedzą. To dlatego oddali mnie do ośrodka.” Szorowałam się, jak umiałam najlepiej, w nadziei, że oczyszczę się nie tylko na zewnątrz, ale też wewnątrz.

Podczas kąpieli zauważyłam, że zakonnica mi się przygląda. Z jej miny wywnioskowałam, że wie wszystko o dwóch chłopcach i o tym, co się stało w przeddzień pierwszej komunii. Natychmiast spuściłam wzrok. Wpatrywałam się w mydlaną wodę i miałam ochotę w niej zanurkować, ukryć się pod jej powierzchnią przed świdrującymi oczami zakonnicy i nigdy już stamtąd nie wyjść. Wyobraziłam sobie, że gdzieś na dnie wanny znajduje się sekretne przejście na plażę. Marzyłam, żeby dotrzeć do tych ukrytych drzwi, otworzyć je i uciec na wolność.

Myśli o ucieczce zostały bezceremonialnie przerwane, ponieważ zakonnica ostrym tonem kazała mi wyjść z wanny i podała ręcznik. Potem założyłam ubranie, które wyjęłam z tobołka. Było szare, brzydkie i sporo za duże. W węzełku znalazłam także medalik z Matką Boską i słowami „Módl się za nami”. To mnie ucieszyło, bo moja mama zawsze powtarzała, że Matka Boska otacza nas swoją opieką. Musiałam oddać sukienkę od komunii i moje lakierki, po czym zakonnica poleciła mi iść za sobą.

Minęliśmy korytarz, potem jeszcze jeden i w końcu weszliśmy po schodach na piętro. Patrzyłam pod nogi, bo bałam się rozglądać. Najchętniej w

ogóle zamknęłabym oczy, ale wywróciłabym się na tych schodach. Już nie po raz pierwszy odczuwałam wtedy pragnienie, by odciąć się od wszystkiego, co mnie otacza. Schodami dotarliśmy do kolejnego korytarza i zatrzymałyśmy się przed wielkimi drewnianymi drzwiami.

Zaskrzyphiały, kiedy zakonnica je otwierała.

Weszłyśmy do dużej, mieszczącej szesnaście łóżek sypialni. Miałam wrażenie, że pokój ten ciągnie się bez końca.

Nigdy wcześniej nie widziałam tak wielu łóżek w jednym pomieszczeniu. Zaczęłam się zastanawiać, które jest moje.

Jakby czytając w moich myślach, zakonnica wskazała pierwsze łóżko po prawej:

- Będiesz spała tutaj - powiedziała.

Stałam kompletnie ogłupiała. Obiecali mi wyjazd nad morze, a wylądowałam w olbrzymiej sypialni, pozbawionej ozdób i przytłaczającej. Tak wyobrażałam sobie więzienie.

Biała farba na ścianach dawno pożółkła, a w oknach były kraty. Przez kraty przedzierało się światło słoneczne i rozlewało po drewnianej podłodze. Uświadomiłam sobie, że promienie słońca dobiegają ze świata na zewnątrz i zapragnęłam znów znaleźć się na trawniku przed naszym domem.

W oczach zakręciły mi się łzy. Nie mogłam ich powstrzymać i rozplakałam się. Myślałam o matce, że się denerwuje i zastanawia, co jest ze mną. Na pewno by nie chciała, żeby mnie trzymali w takim przybytku. Kochała mnie. A ja kochałam ją. Dlaczego miałyby pozwolić, by spotkało mnie coś takiego?

Zakonnica spojrzała na mnie i powiedziała lodowatym tonem:

- Tutaj nie wolno płakać!

Zaraz też zabrała mnie do innego pomieszczenia na końcu korytarza. Znajdowało się tam więcej dziewcząt niż kiedykolwiek w życiu widziałam w jednym miejscu. Okazało się, że to świetlica. Dziewczęta łąziły z kąta w kąt,

gawędziły, kłóciły się, a niektóre były między sobą. Wszystkie wyglądały na znacznie starsze ode mnie. Jak tylko zakonnica wyszła ze świetlicy, zaczęły mnie zaczepiać i popychać.

Dopytywały się, skąd jestem, jak mam na imię i ile mam lat. Wbrew temu, co powiedziała mi wielebna matka przełożona, odparłam, że mam na imię Kathy. To wywołało ich drwiny; nazwały mnie „odpicowaną lalą”, której się wydaje, że jest kimś wyjątkowym. Znowu się rozplakałam i zaszyłam w jakimś kącie. Przysiadłam na czymś w rodzaju biegnącej nad podłogą półki i próbowałam zrozumieć, gdzie jestem i co się ze mną stanie.

Wkrótce potem kazano nam przejść do dużej sali, w której stał długi drewniany stół. Zapadał się pośrodku; wyglądało to tak, jakby wklęsłość powstała od częstego szorowania blatu. Podano nam jakąś breję, rozlewaną z wiadra wielkimi chochlami, po czym kazano zajmować miejsca na jednej z dwóch ławek stojących po obydwu stronach stołu. Usiadłam na samym końcu i zaczęłam się rozglądać po tym zimnym i przytłaczającym pomieszczeniu.

Jedna z zakonnice podniosła się i ogłosiła:

- Mamy nową wychowankę. Ma na imię Bernadetta.

Kiedy to powiedziała, wszystkie zaczęły patrzeć w moją stronę i zrozumiałam, że mowa o mnie. Siedziałam tam, nie będąc już nawet pewna, kim jestem. Zastanawiałam się, jak wydostać się z tego potwornego miejsca i znaleźć drogę powrotną do domu.

Pomyślałam o braciach, bawiących się na podwórzu przed domem, skaczących po wielkiej stercie drewnianych bali, i nie mogłam zapanować nad kłębiącymi się we mnie uczuciami. Czułam ucisk w sercu, jakbym w środku miała wielką ranę. Zastanawiałam się, czy Brian za mną tęskni. Na chwilę przed przybyciem ojca i tej zakonnicy razem paliliśmy papierosa, a właściwie niedopałek, który ukradłam z kominka w sypialni rodziców. Wiele razy przychodził mi z pomocą, kiedy znalazłam się w opresji, i był tak samo czuły i opiekuńczy jak mama. Kiedy pomyślałam o nim i o domu, po policzkach

zaczęły mi spływać łzy. Chyba wzbudziło to litość dziewczynki siedzącej obok, bo powiedziała:

- Nie martw się! Wszystko będzie dobrze.

Po posiłku dwie zakonnice przeprowadziły nas gęsiego do sypialni i kazały iść do łóżek. Zaraz potem zgasiły światło i ostrzegły, że rozmowy będą surowo karane. W ciemnościach leżałam na łóżku, bojąc się poruszyć. W głowie miałam mętlik i czułam się bardzo samotna. Czekałam, aż przyjdzie sen, w głębi ducha żywiąc nadzieję, że wszystko to tylko nocny koszmar.

Przez całą noc przekręcałam się z boku na bok. Nakryłam głowę kołdrą i próbowałam sobie wyobrazić, że jestem w domu, leżę we własnym łóżku, trzymając w ramionach szmaccianą Lou. Ale kiedy sięgnęłam ręką, nie znalazłam jej obok siebie; zaczęłam cicho płakać. Niektóre dziewczęta chrapały, inne się wierciły i jęczały przez sen. Raz jeszcze cała nakryłam się kołdrą. Miałam nadzieję, że kiedy spod niej wyjdę, ta upiorna sypialnia przestanie istnieć.

Chyba na chwilę zasnęłam, bo przyśniło mi się, że znów jestem w szopie przytulona do Teddy. Było mi ciepło i czułam się szczęśliwa, że mój pies okazuje mi tyle uczucia. Jednak również i tym razem, kiedy sięgnęłam ręką obok, natrafiłam na pustkę. Słyszałam, jak za oknami szumią drzewa na wietrze. Zadrzałam i obudziłam się. Nie w szopie. Wysunęłam głowę spod kołdry i w oknie naprzeciwko zobaczyłam cudowne światło. To samo, które widywałam, kiedy ojciec wyrzucał mnie nocą na mróz.

Księżyc oświetlał podłogę sypialni, rzucając na nią cienie łóżek. Z oddali słychać było krzyk jakiegoś zwierzęcia.

Mógł to być kot albo pies wyjący do księżyca. Na chwilę zapomniałam o swojej oplakanej sytuacji, ponieważ księżycowe światło rozproszyło mrok. Jednak po chwili napłynęła chmura i znów pogrążyłam się w ciemności.

Rano obudziła nas zakonnica, głośno klaszcząc w dłonie.

Wszystkie wyskoczyłyśmy z łóżek. Oczy miałam opuchnięte od łez wylanych nocą i poprzedniego dnia. Bolały mnie tak bardzo, że nie mogłam

dotknąć powiek. Razem z innymi dziewczętami umyłam się w łazience. Kiedy już się ubrałyśmy, zakonnice ustawiły nas gęsiego i poprowadziły na dół na mszę, a po mszy do stołówki na śniadanie. Znow dostaliśmy jakąś breję, tym razem chyba z owsianki, nalewaną z wiadra wielkimi chochlami. Do tego kubek herbaty. Nawet gdybym chciała to zjeść, nie mogłabym nic przełknąć, bo byłam zbyt przygnębiona.

Po śniadaniu przeszliśmy do sali lekcyjnej w innym budynku. Również i to pomieszczenie było brzydkie i zimne.

Podobnie jak wszędzie w tym domu, panowała w nim wilgoć i było tak samo przygnębiające. Usiadłyśmy w starych ławkach; nie dano nam niczego do pisania. Kałamarze były puste. Naprzeciw nas stała stara zakonnica i o czymś rozprawiała, nie miałam jednak pojęcia, o czym. Pisała coś kredą, która skrzypiała w zetknięciu z dużą czarną tablicą.

Siedziałyśmy, gapiąc się na mówiącą i piszącą coś na tablicy zakonnice, ale żadna z nas nie miała pojęcia, o co jej chodzi. Nigdy nie udało mi się ustalić, czego miała nas nauczyć.

My milczałyśmy jak zakłète, a ona wciąż mówiła. Pamiętam, byłam zaskoczona faktem, że dziewczynki potrafią siedzieć tak cicho. Wkrótce miałam odkryć, że wyjaśnieniem tego niezwykłego zachowania jest gruby skórzany rzemień, który leżał na biurku przed naszą nauczycielką. Stanowił jedyne narzędzie edukacji, którym zakonnice naprawdę się posługiwały

W sali lekcyjnej nie było żadnych kolorów oprócz czerni i bieli. Cierpiałam samotnie w ostatniej ławce. Było mi smutno, że znow nie rozumiem z lekcji nic albo bardzo niewiele.

W porze lunchu przeszliśmy gęsiego do jadalni na posiłek - kolejną breję, tym razem z chlebem; jadłyśmy w milczeniu.

Po południu dalej były lekcje, a o piątej znowu przeszliśmy do jadalni na wieczorny posiłek poprzedzony modlitwą. Potem przez jakąś godzinę pozwolono nam pozostać w świetlicy. Nie było tam telewizji ani radia, żadnych

gier ani zabawek. Mniej więcej o siódmej zakonnice zaprowadziły nas na piętro do sypialni.

Mimo wcześniejszych kłopotów ze szkołą, z radością siedziałabym teraz w klasie, nic nie robiąc i z dnia na dzień mając mniej zapału do nauki. Przynajmniej nikt się mnie tam nie czepiał, kiedy pogrążałam się we własnych myślach. Jednak niebawem przyszło mi się przekonać, że zakonnice nie miały zamiaru tracić naszego czasu na edukację, ponieważ w godzinach przeznaczonych na naukę wołały nas wykorzystać do brudnych posług.

Następnego dnia zakonnica nie pozwoliła mi iść na lekcje. Wręczyła mi szmatę i stare chromowane wiadro. Zostałam zdegradowana z uczennicy do wyrobnicy. Zaprowadziła mnie do łazienki i kazała wymyć wszystkie wanny i wypolerować krany. Nigdy wcześniej nie wykonywałam tak ciężkiej pracy i jeszcze przez wiele następnych dni bolały mnie ramiona, ręce i nogi. Kazano mi zajmować się pracami porządkowymi, które moja matka wykonywała w domu codziennie.

Dla drobnej małej dziewczynki był to wielki wysiłek. Jednak musiałam do tego przywyknąć. Niemal każdego dnia szorowałam i pucowałam jakąś część budynku. Sprzątanie na wysoki połysk łazienek, toalet, korytarzy, kuchni i pokoi gościnnych zastępowało lekcje mnie i wielu innym dziewczętom.

Miałyśmy się uczyć, tymczasem niemal codziennie przed południem harowałyśmy jak niewolnice.

Zakonnice miały obowiązek kształcić dziewczęta powierzone ich opiece i za to pobierały od państwa pieniądze. Jednak nie przejmowały się tym specjalnie. Ze szkoły uczyniły ośrodek przygotowawczy do pracy w pralniach siostr magdalenek. Większość dziewcząt tam właśnie lądowała; im szybciej więc zakonnicom udawało się przyzwyczaić wychowanki do niewolniczej pracy, tym lepiej adaptowały się do panującego w pralniach reżimu.

Mimo swoich ośmiu lat wiedziałam doskonale, że zakonnice robią coś niewłaściwego. Inne szkoły przez cały czas kontrolowali inspektorzy,

sprawdzający frekwencję i postępy uczniów. Rodzicom powtarzano, że jeśli nie będą posyłali dzieci do szkoły, poniosą odpowiedzialność prawną, a w końcu ich dzieci zostaną przymusowo umieszczone w szkołach prowadzonych przez katolickich zakonników i zakonnice. Uczniów surowo karano za wagary. Moje własne kłopoty zaczęły się właśnie od tego, że odmawiałam chodzenia do szkoły, a to ze względu na ślady pobicia przez ojca i w obawie przed wykorzystywaniem seksualnym. Opuszczanie zajęć szkolnych traktowano jak poważne wykroczenie. Ponieważ popełniałam je bardzo często, posłano mnie do lekarza, który przylepił mi etykietkę kłopotliwego dziecka, co w końcu przywiodło mnie do tego obrzydliwego internatu. A skoro jednym z głównych powodów umieszczenia mnie u zakonnice było opuszczanie zajęć w szkole, to dlaczego niemal każdego dnia przed południem kazano mi pracować zamiast się uczyć? Szybko zatęskniłam za kolegami i koleżankami ze szkoły w Clondalkin; nawet za nauczycielką, która zamykała mnie w szafie.

Przysięgam sobie, że jeśli kiedykolwiek wyrwę się z tego miejsca, nie opuszczę ani minuty szkolnych zajęć i codziennie będę odrabiała pracę domową.

Czyściłam poręcze, schody i parapety, gabinety i biurka zakonnice, świetlicę i kuchnię. Od ciągłego klęczenia na kamiennych i marmurowych posadzkach internatu miałam poranione kolana. Ilekroć coś czyściłyśmy, w pobliżu kręciła się zakonnica pilnująca, żebyśmy nie zwalniały tempa i nie traciły czasu na pogawędki. Musiałyśmy zmyć najdrobniejszą cząsteczkę brudu. Co wieczór kładłam się do łóżka zmęczona i równie zmęczona wstawałam z niego” rano. Oczywiście, dziewczęta wykonywały pracę fizyczną bez żadnego wynagrodzenia. Nigdy też nie usłyszałyśmy słowa podziękowania. Za to ciągle musiałyśmy wysłuchiwać krzyków, że jesteśmy nie dość staranne i nie pracujemy z wystarczającym zapałem.

Według zakonnice była to kara dla nas, niegodziwych grzesznice, za to, że nie robimy tego, co nam się każe. Powtarzały ciągle, że pokuta jest jedynym

sposobem, aby ocalić nasze dusze przed ogniem piekielnym, który szykuje dla nas diabeł. Lenistwo jest grzechem, więc szatan cały czas knuje, jak nas rozleniwic. Dlatego musimy trzymać go od siebie z dala. Tak właśnie zakonnice tłumaczyły fakt, że od rana do nocy zaganiają małe dziewczynki do pracy, której z ledwością podołałaby zdrowa i silna kobieta.

Nie było w tej szkole ani jednego miejsca, w którym dziecko mogłoby się odprężyć i poczuć bezpiecznie. Chwili wytchnienia i bezpieczeństwa nie zapewniał nawet kościół. Przed śniadaniem gęsiego przeprowadzano nas tradycyjnie na mszę do kaplicy znajdującej się poza głównym budynkiem. Zakonnice, znane jako „oblubienice Pańskie”, zajmowały dwa pierwsze rzędy ławek po lewej stronie głównej nawy. Dziewczęta siadały trzy lub cztery rzędy za nimi. Wyglądało to tak, jakby zakonnice bały się nas, grzesznic, i uznały, że im dalej jesteśmy od ołtarza, tym lepiej.

Ksiądz zalecał, byśmy modliły się o łaskę Naszego Pana

Jezusa Chrystusa, który na krzyżu cierpiał za nasze grzechy o wiele bardziej niż nam kiedykolwiek się zdarzyło, a nawet niż mogłyśmy to sobie wyobrazić. Twierdził, że my, grzesznice, nigdy nie zdołamy pojąć wielkich męczarni, przez jakie musiał dla nas przejść, nie powinniśmy więc narzekać na drobne życiowe niedogodności, tylko ofiarować je Naszemu Zbawcy, który nie tylko cierpiał dla nas, ale też poświęcił za nas swoje życie. Dzięki Niemu i my, grzeszne, dostaniemy się do nieba. Ksiądz tłumaczył, że my także musimy cierpieć, a nasze cierpienie jest pokutą. Pokuta pozwoli nam porzucić nie tylko grzeszne zachowania, ale także grzeszne myśli, bo grzeszyć można także, źle myśląc o naszych opiekunkach, zakonnicach, które dzięki ślubom ubóstwa, posłuszeństwa i czystości stały się znacznie bliższe Bogu, będącemu ich protektorem. Ktokolwiek myśli źle o oblubienicach Chrystusa albo ich nie słucha, grzeszy przeciwko samemu

Panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi.

Nieczyste myśli i uczynki stanowiły najcięższy grzech i najwyraźniej były

powodem, z którego większość dziewcząt trafiła pod kuratelę zakonnice. Ksiądz twierdził, że utraciliśmy stan łaski uświęcającej, możemy jednak zasłużyć na przebaczenie Boga i odzyskać czystość, jeśli okazemy

Mu skrucę i miłość, odprawimy należną pokutę za grzechy w poczuciu własnej winy i bez narzekania, nawet gdyby miała to być pokuta najcięższa.

Natomiast jeśli nie będziemy odprawiały pokuty za grzechy, skazane zostaniemy na smażenie się w piekle, w którym pozostaniemy przez całą wieczność, niekochane przez Boga i ludzi. Nasze cierpienie liczyłoby się wtedy nie w minutach, godzinach, dniach, tygodniach, miesiącach ani latach - cierpiałybyśmy po wieki wieków. Ziemskie cierpienie jest niczym, a nasza pokuta radością w porównaniu z tym, co czeka duszę nieoczyszczoną z grzechu. W piekle jest specjalne miejsce niewyobrażalnych wręcz mąk dla tych, którzy trwają w grzechu nieczystych myśli i czynów.

Starsze dziewczęta wiedziały, oczywiście, o co mu chodzi, ja natomiast nie miałam zielonego pojęcia. Cokolwiek miały oznaczać owe nieczyste myśli, wydawały mi się najcięższym grzechem. I chociaż byłam niewinnym dzieckiem, wiedziałam doskonale, że to, co robili z moim ciałem dwaj chłopcy, było nieczyste. Trwałam w przeświadczeniu, że to moja wina i że zasłużyłam na pokutę podobnie jak starsze dziewczęta. Nie miałam pojęcia, co one takiego straszego zrobiły, ponieważ byłam z nich najmłodsza i nie rozmawiały ze mną tak swobodnie jak między sobą. Oprócz tego nie miały zbyt wielu okazji, by dzielić się ze mną swoimi sekretami, ponieważ zakonnice ciągle nas uciszały i nakazywały milczenie: puste rozmowy prowadzą do rozmów grzesznych, a milczenie jest miłe Bogu. Bardziej czułam niż wiedziałam, że wszystko to w jakiś sposób związane było z makabrycznym doświadczeniem, które stało się moim udziałem tuż po przybyciu do internatu. Jedna z zakonnice zabrała mnie do jakiegoś pokoju, usadowiła na stole i oświadczyła, że teraz sprawdzi, czy jestem nietknięta. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi, ale zgodnie z wydanym poleceniem położyłam się na plecach. Wtedy zdjęła mi majtki i poczułam, jak

wkłada mi palec do środka. Krzyknęłam z bólu. Później się dowiedziałam, że postępowały tak z każdą dziewczynką przybywającą do internatu. Pewna nastolatka uznana za nietkniętą kilka miesięcy po tym rutynowym badaniu urodziła dziecko.

Czasem nie mogłam nocą zasnąć, bo nie dawało mi spokoju, co właściwie ksiądz rozumiał przez nieczyste myśli. Bałam się, że umrę we śnie i pójdę do piekła, a potem po wieki wieków przypiekać mnie będą na ogniu piekielnym w tym specjalnym miejscu przygotowanym dla mnie i innych dziewcząt, które umrą, zanim zdołają odpokutować za swoje grzechy. Pewnej nocy przebudziłam się i zobaczyłam ognie piekielne; wdzierały się przez zakratowane okna i zmierzały prosto na mnie. Widziałam się w sukience od komunii, z rękami złożonymi do modlitwy błagającą o litość, a jednak płomienie zaczęły ogarniać moją białą sukienkę. Dłonie piekły mnie tak samo jak wtedy, kiedy ojciec włożył je do rozgrzanego tłuszczu. Potem płomienie przeniosły się na twarz, która zaczęła się roztopiać. Jęknęłam cicho i nakryłam głowę kołdrą. Trzeba było wielu godzin, żeby ten obraz zniknął mi sprzed oczu. Przez cały ten czas się trzęsłam.

Dziewczęta, w tym i ja, były tak zniszczone psychicznie, że często moczyły się w nocy. Doprowadzało to zakonnice do wściekłości; jeśli na którymś z łóżek zobaczyły rano zasikaną pościel, kazały właścicielce zdjąć ją z łóżka i nosić na plecach. Potem ustawiały nas w szeregu i krzyczały, że wszystkie jesteśmy odrażającymi i obrzydliwymi kreaturami.

Kiedy po mszy wracałyśmy aleją do internatu, patrzyłam na wysoki mur otaczający szkołę. Myślałam sobie, że gdyby udało mi się wspiąć na tę wysoką ścianę, byłabym wolna i mogłabym wrócić do domu. Mur był tak wysoki, że ośmioletniej dziewczynce kręciło się w głowie od samego patrzenia.

Tak bardzo jednak zajmował moje myśli, że zaczął pojawiać się w snach. W nich piął się aż do nieba i udawało mi się na niego wejść, ale zawsze, gdy myślałam, że dotarłam już na samą górę, okazywało się, że muszę wdrapać się

jeszcze wyżej. A potem spoglądałam w dół i widząc, jak wysoko się znalazłam, wpadałam w panikę, że zaraz spadnę.

Któregoś dnia jak zwykle wracałyśmy po mszy w dwóch rzędach gęsiego, przed i za nami zawsze szła jedna zakonnica.

Eskortująca nas siostra zwróciła się do mnie ze słowami:

- Moja panno! Nie masz po co zerkać na mur, bo i tak nie zdołasz się na niego wspiąć. Zresztą nawet gdyby ci się to jakoś udało, wpadłabyś do dużej rzeki, która płynie po drugiej stronie, i utonąłabyś.

Nigdy więcej nie spojrzałam już na okalający szkołę mur. Zakonnica rozwiała moją ostatnią nadzieję ucieczki: ponieważ nie umiałam pływać, pokonanie muru nic by mi nie przyniosło.

Jeśli zanim wylądowałam u zakonnicy, byłam dzieckiem kłopotliwym, to po przybyciu do prowadzonego przez nie ośrodka sprawiałam dwa razy więcej kłopotów. Mój umysł poddawany był w nim ciągłym torturom - w ciągu dnia i nawet nocą, podczas snu. Wiedziałam, że innym dziewczynkom musi być tak samo źle jak mnie, czułam się jednak chyba najgorzej z nich, ponieważ byłam najmłodsza.

Codziennie obowiązki były wyczerpujące, nudne i przygnębiające. Każdy dzień przypominał wszystkie poprzednie i wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Z wyjątkiem niedziel trudno było się zorientować, jaki jest dzień tygodnia.

Nie miałam też pojęcia, jak długo przebywam już u zakonnicy. Musiałam się domyślać. Tydzień mógł równie dobrze okazać się miesiącem, a miesiąc rokiem.

Kiedy inne dziewczęta przyzwyczyły się do mnie i zostałam przez nie zaakceptowana, to - ponieważ byłam od nich znacznie młodsza - zaczęły się mną opiekować. Traktowały mnie niemal jak maskotkę. Stałam się ich ulubienicą. Ale zakonnice nie przestały się mnie czepiać i nie stosowały taryfy ulgowej z powodu mojego wieku. Pracowałam równie ciężko jak pozostałe

pensjonariuszki. Siostry usilnie starały się we mnie zniszczyć resztki wiary w siebie - te, które mi jeszcze pozostały. Patrząc na tamte dni z dzisiejszej perspektywy, widzę wyraźnie, że było to tak samo ohydne jak bicie, choć oczywiście w wymiarze psychicznym. Tłamsiły mnie, by ostatecznie złamać mój charakter i zamienić w niewolnicę. Gruba i brzydka wielebna matka przełożona powiedziała, że znalazłam się w internacie, bo byłam bezczelna, głupia i sprawiałam problemy. Ponoć właśnie dlatego moi rodzice chcieli się mnie pozbyć, ale ona i inne zakonnice wykorzenia ze mnie całe zło. Byłam grzesznicą i musiałam ponieść karę.

Czułam się jak jedna z trędowatych, o których nam mówiono.

Wielebna matka raniła mój umysł i pewnie równie bezlitośnie zraniłaby ciało. Kiedy jej powiedziałam, że chcę chodzić do szkoły albo robić cokolwiek innego, byle nie wykonywać katorżniczej pracy polegającej na sprzątanii i szorowaniu wszystkiego wokół, odparła, że w moim przypadku szkoła niczego nie zmieni, bo i tak nic ze mnie nie będzie.

- To nie miałoby najmniejszego sensu - orzekła.

Choć nie pozbyłam się uczucia samotności, zaczynałam przyzwyczajać się do codziennych rytuałów i pracy tak ciężkiej, że stępiła nawet trawiący mnie smutek. Mijały kolejne dni. Kiedy kładłam się wieczorem do łóżka, byłam odrętwiała ze zmęczenia. Brakowało mi domu, ale nie ojca i okrucieństwa, którego nam nie skąpił. Najgorsza była dla mnie rozłąka z matką i niepewność, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę.

Zakonnice nie pochwalały odwiedzin, ponieważ ich zdaniem wizyty osób z zewnątrz były dla dziewcząt wstrząsem emocjonalnym i najczęściej kończyły się depresją. Miały rację, wizyty były wstrząsem; im jednak nie chodziło o naszą psychikę, tylko o funkcjonowanie bez zakłóceń obozu pracy niewolniczej, który zbudowały naszym kosztem. Dziewczęta, na nowo przygnębione po odwiedzinach kogoś z bliskich, nie dawały się tak łatwo zagonić do pracy. W końcu i mnie któregoś popołudnia, kiedy zakończyłam wyznaczone na ten dzień

obowiązki posługaczki, kazano iść do pokoju odwiedzin. Zastałam w nim ojca i jednego z braci w towarzystwie wielebnej matki. Mimo że nie zapomniałam o okrucieństwie ojca ani o tym, jak bardzo mnie skrzywdził, byłam mu wdzięczna, że przyjechał w odwiedziny. Całym sercem oczywiście żałowałam, że na jego miejscu nie siedziała matka. Ogarnął mnie smutek i do oczu napłynęły łzy, jednak je powstrzymałam. Po krótkiej i zdawkowej rozmowie oraz wyrażeniu nadziei, że dobrze się sprawuję, ojciec zaczął się zbierać do wyjścia. Chciałam mu powiedzieć, jakie naprawdę jest moje życie w tym miejscu, ale wiedziałam, że go to zupełnie nie obchodzi. Ponadto przysłuchiwała się nam wielebna matka i obawiałam się tego, co może mi zrobić, kiedy ojciec i brat już sobie pójdą.

Po minie brata widziałam, że całe to otoczenie go wystraszyło. Pewnie drżał na myśl, że mógłby skończyć w podobnym miejscu. Właśnie po to, jak dziś przypuszczam, ojciec zabrał go ze sobą. Wielebna matka nakazała mu, żeby pocałował swoją małą siostrę. Kiedy mnie objął, czułam, że cały drży. Wyszli razem z przełożoną, a ja pobiegłam na górę do sypialni, skąd przez zakratowane okno patrzyłam, jak idą długą aleją w stronę bramy. Teraz już nie musiałam powstrzymywać łez.

Jakieś trzy, może cztery tygodnie później moje modlitwy zostały wysłuchane i w odwiedziny przyjechała mama w towarzystwie jednej z sąsiadek. Jej wizyta tak mnie uszczęśliwiła, że początkowo nie mogłam wymówić ani słowa. Pamiętam, że miała na sobie płaszcz w biało-czarną kratę, dała mi paczkę drażetek czekoladowych Smarties i najpiękniejszą lalkę, jaką kiedykolwiek widziałam. Złote pukle włosów układały się wokół ślicznej buzi. Głowa zrobiona była z plastiku, ale reszta z tkaniny, więc lalka była miękka i przyjemna w dotyku. Przytuliłam ją od razu do siebie. Mama wystroiła ją w sukienkę, którą sama uszyła. Powiedziała, że to moja nowa przyjaciółka, która od teraz będzie dotrzymywać mi towarzystwa. Natychmiast dałam lalce na imię Laura. Teraz mi się wydaje, że wizyta mamy przypadła w moje urodziny, ale wtedy o tym nie wiedziałam, bo zakonnice nie obchodziły urodzin, a my same

rzadko zdawałyśmy sobie sprawę, jaki jest miesiąc.

Kiedy odzyskałam głos, zaczęłam mamę błagać, żeby mnie stamtąd zabrała. Powiedziałam jej, jak bezwzględne są zakonnice i jak ciężko każą mi pracować. Wydawała się zaskoczona faktem, że nie chodzę do szkoły, i zapewniła, że zrobi co w jej mocy, żeby mi pomóc. Jednocześnie jednak uprzedziła, że to ojciec podjął decyzję o wysłaniu mnie do szkoły poprawczej i to on musi zjawić się u zakonnice, żeby mnie stąd zabrać. Obiecała, że porozmawia z nim o tym, ale jak tylko to przyrzekła, straciłam całą nadzieję. Wiedziałam, że ojciec mnie nienawidzi i jest zadowolony, że nie ma mnie w domu. Wiedziałam również, że nigdy nie zgodzi się odebrać mnie spod kurateli zakonnice. A więc utknęłam w ich szkole na wieki. Wpadłam w histerię. Płakałam i krzyczałam. Mama próbowała mnie pocieszyć, ale nie mogłam się uspokoić.

Wielebna matka usłyszała, że coś się dzieje, i natychmiast zjawiła się w pokoju odwiedzin. Kazała matce i sąsiadce wyjść, ale zeskoczyłam ze swojego krzesła i podbiegłam do mamy, przewracając przy tym otwarte już pudełko z czekoladowymi drażetkami, które rozsypały się po całej podłodze. Chwyciłam za płaszcz mamy i trzymałam go z całych sił. Widziałam, że jest smutna i zakręciły jej się w oczach łzy.

Trzymałam się matczynego płaszcza, jakby od tego zależało moje życie. Wielebna matka złapała mnie wpół i gdy próbowała mnie odciągnąć, od płaszcza mamy odpadły guziki i potoczyły się po podłodze, ponieważ zacisnęłam dłonie bardzo mocno. Panicznie się bałam ponownej rozłąki z mamą. Miałam wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi.

W końcu przełożona przekonała matkę i jej towarzyszkę, że powinny wyjść, a wtedy ona się mną zajmie. Kiedy obie wyszły, zaczęła mnie okładać i grozić, że jeśli się natychmiast nie uspokoję, spotkają mnie najprzeróżniejsze kary. Wreszcie kazała mi iść do sypialni i tam ochłonać, co sił więc pobiegłam korytarzem, a potem schodami, żeby jeszcze raz spojrzeć na mamę przez

zakratowane okno. Kiedy się przyglądałam, jak odchodzi, w głębi serca poczułam, że jeszcze długo nie wrócę do domu.

Rzeczywiście, minęły całe miesiące, zanim ponownie zobaczyłam kogokolwiek z bliskich, ale co tydzień w dniu wizyt przychodziłam do pokoju odwiedzin z nadzieją, że to właśnie dzisiaj pojawi się mama, żeby mnie uratować. Ubrana w granatową kurteczkę snułam się od ściany do ściany albo siadałam na stole, machając nogami. I czekałam. Ilekroć zobaczyły mnie tam zakonnice, śmiały się ze mnie i powtarzały:

- Jeszcze nie rozumiesz, że twoja mama cię nie chce?

Przecież właśnie dlatego odesłała cię z domu.

Nie wszystkie zakonnice były takie okrutne. Siostra zajmująca się kuchnią była wyjątkowo miła. Obiecała, że nauczy mnie piec ciasto. Dzięki niej w ciemnościach mojego życia pojawił się promyk słońca. W tym bezlitosnym miejscu chwytalam się każdego, najmniejszego choćby przejawu dobroci.

Pewnego dnia do pracy w kuchni przydzielono aż sześć dziewcząt, ponieważ nazajutrz mieli przybyć z wizytą jacyś goście. Wszystkich gości nazywałyśmy „sztywniakami”.

Ja, trzynastoletnia Bridghie, dwunastoletnia Liz, czternastoletnia Mary Ellen, dwunastoletnia Margaret i także dwunastoletnia Mary miałyśmy pomagać w pieczeniu chleba i babeczek owocowych. Kiedy pracowałyśmy, nagle wparowała wielebna matka i kazała mi przejść do pracy w pokoju dziennym. Powiedziałam, że nie chcę tam iść, że wolę zostać w kuchni z koleżankami. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę, żeby się jej przeciwstawić. Może już wtedy osiągnęłam etap, na którym przestało być ważne, co się ze mną stanie, a może naprawdę zaczęłam być bezczelną dziewczuchą, której bez przerwy dopatrywały się we mnie zakonnice. Jakakolwiek była przyczyna tego zachowania, nie czułam lęku.

- Niech będzie po twojemu - rzuciła wielebna matka i wyszła. Naiwnie pomyślałam, że wygrałam. Ledwie jednak zdążyła wyjść z kuchni, a już

przysłała po mnie którąś z zakonnicy. Kiedy weszłam do gabinetu, w oczach przełożonej zobaczyłam wściekłość. Bawiąc się czarnym skórzanym rzemieniem, kazała mi zamknąć za sobą drzwi. Ze strachu żołądek podszedł mi do gardła.

Widziałam tylko ten rzemień i zaciskające się na nim palce zakonnicy. Nie mogłam znieść tego widoku, spuściłam więc głowę i wbiłam oczy w podłogę, którą tyle razy szorowałam na kolanach, by odpokutować za grzechy. I przyszło mi do głowy, że cała ta pokuta poszła na marne. Miałam oto ponieść karę. Przez chwilę panowała przeraźliwa cisza. Zakonnica przerwała ją wrzaskiem:

- Patrz na mnie, ty bezczelna dziewucho! Patrz na mnie!

Pełen okrucieństwa głos rozchodził się echem po całym gabinecie. Też miałam wielką ochotę wrzeszczeć, powstrzymałam się jednak, bo nic dobrego by mi z tego nie przyszło.

Poczułam, że za chwilę się zsikam. Trzęsły mi się nogi. Przemknęło mi przez głowę, by ją błagać o łaskę, ale wiedziałam, że na nic się to nie zda. Wszędzie aż kipiało od jej wściekłości. Powoli podniosłam wzrok na obracający się w jej rękach czarny rzemień, a potem na twarz.

Sparaliżował mnie strach; w jej oczach zobaczyłam tę samą wściekłość, która pojawiała się w oczach ojca, zanim zaczął mnie okładać. Było to spojrzenie oprawcy i dobrze wiedziałam, co się za chwilę stanie. Wręcz widziałam złość uchodzącą przez skórę na jej zimnej, lepkiej od potu twarzy. Czułam furię w jej oddechu. Zobaczyłam, jak przesuwa dłoń, by złapać za koniec rzemienia.

- Teraz dam ci nauczkę, żebyś nigdy więcej nie odważyła się odzywać do mnie w taki sposób. Niech ci więcej nie przyjdzie do głowy lekceważenie moich poleceń - wycodziła.

Poczułam, jak zmienia mi się oddech, a serce zaczyna bić coraz szybciej. Wydawało mi się, że widzę dłoń ojca zwijającą się w pięść, co zwiastowało

zawsze silny cios w głowę.

Kazała mi wyciągnąć przed siebie ręce i zapowiedziała, że jeśli spróbuję je cofnąć, dostanę o pięć uderzeń więcej.

Wysunęłam dłonie przed siebie i natychmiast instynktownie je cofnęłam. Trzęsły mi się kolana. Przytrzymała moje ręce na blacie biurka, żebym nie mogła ich schować, i zaczęła bić. Ból był nieznośny. Dłonie zrobiły się czerwone, spod skóry wychodziło żywe mięso, a ona dalej wymierzała cios za ciosem, sapiąc z wysiłku. Po twarzy spływał jej pot i zaczynało brakować sił.

Ręce mnie piekły jak przypalane. Ból wciąż od nowa przeszywał palce. Przypuszczałam, że są połamane. Serce bolało tak samo jak wtedy, kiedy bił mnie ojciec, i w środku słyszałam ciągle jakiś głos, który powtarzał, że nie zasługuję na takie traktowanie. „Co takiego zrobiłam? Przecież jestem tylko dzieckiem! Jestem małą dziewczynką. Jestem dobra. Wiem, że jestem dobrą dziewczynką” - myślałam. Chciałam, żeby serce przestało mi w ogóle bić. Chciałam zniknąć. Umrzeć.

W mojej biednej duszy zapanował mrok. W mojej biednej, potępionej duszy.

Kazała mi wracać do kuchni. Dłonie zaczynały mi drętwieć. Zawsze tak jest. Najpierw piecze jak ogień, potem przychodzi odrętwienie, a na końcu nieopisany ból. W gabinecie wielebnej matki powstrzymywałam się od łez, ale na korytarzu zanosłam się płaczem. Jediną osobą, która mnie w kuchni pocieszała, była Bridghie:

- Wszystko będzie dobrze! Przyzwyczaisz się, zobaczysz!

Jak dziecko może przyzwycząić się do bicia? Jej słowa wprawiły mnie w jeszcze większą rozpacz, ponieważ uświadomiłam sobie, że będę bita częściej.

Po kilku dniach czerwone dłonie stały się sine, potem zżółkły, ale ból nie zamierzał, jak się wydawało, ustąpić. Nawet nie miałam czasu, żeby dojść do siebie, ponieważ ciągle przydzielano mnie do szorowania podłóg i czyszczenia pomieszczeń. Każde dotknięcie szmaty i podniesienie wiadra przysparzało mi

potwornych cierpień. Z otwartych ran sączyła się ropa, ponieważ kontakt z brudną wodą i ciągle podrażnianie wybielaczem doprowadziło do infekcji. Codziennie patrzyłam na swoje skatowane dłonie i płakałam na wspomnienie tego, co stało się w gabinecie wielebnej matki przełożonej.

Ból fizyczny stanowił tylko część cierpień, które musiałam znosić. Równie przykre było poniżenie i fakt, że nie miałam nikogo, kto mógłby przynieść mi jakąś pociechę.

Każdą komórkę ciała przenikał więc także ból psychiczny.

W domu rodzinnym też wprawdzie dostawałam solidne cięgi, ale była tam matka, która zawsze dodawała mi otuchy.

W tym bezlitosnym więzieniu, na które zostałam skazana, nie miałam nikogo życzliwego. Odebrano mi nawet nadzieję na ucieczkę i zdałam sobie sprawę, że na tym jednym biciu się nie skończy.

Minął jakiś czas i znów zatrudniono mnie w kuchni. Pobyt u zakonnicy sprawił, że nagromadziła się we mnie wielka złość. Byłam bardzo źle traktowana przez siostry i szukałam okazji do zemsty na wielebnej matce przełożonej. Z tymi samymi co poprzednio pięcioma dziewczętami pracowałyśmy przy drewnianym stole. Każda miała inne zadanie. Mnie przypadło w udziale wlewanie mleka do wielkiego chromowanego dzbanka, skąd potem miałam je przelać do innego naczynia.

Pełniąca dyżur w kuchni zakonnica poszła do spiżarni po mąkę, co uznałam za doskonałą okazję. W czasie jej nieobecności wzięłam z półki duży kawałek mydła karbolowego. Śmierdziało środkiem dezynfekującym. Odstawiłam na bok dzbanek z mlekiem, odkręciłam kran i włożyłam mydło pod strumień wody. Potem wolno obracałam je w dłoniach, aż wytworzyła się piana. Im silniej i szybciej pocierałam kostkę, tym więcej robiło się piany. Kiedy postawiony w zlewie talerz zapełnił się mydlinami, podniosłam go delikatnie i wlałam zawartość do dzbanka z mlekiem, po czym wymieszałam drewnianą łyżką.

Zakonnica wróciła ze spiżarni i postawiła na stole dużą misę.

- Dziewczęta! Bierzemy się do pracy! Najpierw wbijemy jajka, potem dodamy szczyptę soli i wlejemy mleko - zapowiedziała. Kiedy przyszła kolej na mleko, zwróciła się do mnie: - Tylko powoli i ostrożnie. Małymi porcjami.

Kiedy obserwowałam, jak zawarte w mleku mydliny mieszają się z pozostałymi składnikami, serce biło mi jak oszalałe z radości, a pozostałe dziewczynki kopały się pod stołem w kostki z podniecenia. Po wymieszaniu ciasto i bułeczki powędrowały do pieca, a my opuściłyśmy kuchnię, żeby przejść do jadalni na kolację. Tego wieczoru w sypialni rozmawialiśmy tylko o tym, co się stanie, kiedy zakonnice zjedzą zabójcze wypieki.

Zakonnice zrobiły sobie z ciasta i bułeczek ucztę pod koniec dnia, a rano następnego do gabinetu wielebnej matki wezwane zostały wszystkie pomocnice z kuchni. Przełożona ustawiła nas pod ścianą i oświadczyła, że siedem czy osiem sióstr chorowało ciężko przez całą noc i że były to te siostry, które zjadły wieczorem bułeczki. Pozostałe cieszyły się najlepszym zdrowiem. Mary zapytała wielebną matkę, co dolega biednym siostrom.

- Biedne siostry całą noc spędziły w toalecie z powodu rozwolnienia. I chcę się dowiedzieć, co było tego przyczyną - odparła tamta.

Żadna z dziewczynek nie pisnęła ani słowa, ale wiedziałam doskonale, że jest to tylko kwestia czasu i że odczuję boleśnie skutki gniewu wielebnej matki. I rzeczywiście, nie czekałam zbyt długo; udało jej się ustalić, że ja odpowiadam za całe to zamieszanie. Później się dowiedziałyśmy, że zakonnice, które zjadły moje bułeczki, miały biegunkę jeszcze przez trzy dni.

Zakonnice uznały, że moja kara ma posłużyć za przykład dla wszystkich pozostałych i muszę drogo zapłacić za to, co zrobiłam. Przez jakiś czas potem byłam dwa razy w tygodniu wsadzana do wanny z zimną wodą i musiałam w niej siedzieć, dopóki nie zsiniałam i nie zaczęły mi drętwieć palce. Po takiej kąpieli trzęsłam się z zimna przez wiele godzin i miałam wrażenie, że nie rozgrzeję się już nigdy. Ale nawet w wannie z lodowatą wodą obmyślałam

kolejne sposoby zemsty, które mogłabym wcielić w czyn.

Nieustanne kary sprawiły jednak w końcu, że pękła skorupa, w której zamykałam się jak ślimak. Zrozumiałam, że moje zachowanie prowadzi donikąd. Miałam zostać w szkole poprawczej dłużej i chociaż koszmar egzystencji w dzień i horrory nawiedzające mnie nocą wydawały się na dobre zawładnąć moim życiem, musiałam jakoś się ratować. Czasem chciałam umrzeć, jeszcze bardziej jednak bałam się kary, która może spotkać mnie po śmierci w piekle.

Nocami, leżąc w łóżku, myślałam o podwórku przy domu, stosie drewnianych bali i moim bracie Brianie, który siedział tam jeszcze, kiedy ja zeskoczyłam, żeby się przyszykować do wyjazdu nad morze. Zastanawiałam się, czy moja świnka skarbonka z dwiema półpensówkami wciąż jeszcze leży w ogrodzie za domem pod kamienną płytą przy płocie, tam gdzie ją schowałam, bojąc się, że na plaży mogę zgubić swój majątek. Mama zrobiła mi tę świnkę ze starej puszki i kilku kamyków, którymi grałam w klasy. I dała mi te dwie półpensówki, żebym mogła grać w rzucanego - grę, w której ten, kto rzucił najdalej, zatrzymywał wszystkie monety.

Myślałam o Lou, mojej szmacianej lalce. Wyobrażałam sobie też, że jestem przed domem na trawniku i bawię się z innymi dziećmi. Potem przywoływałam w myślach twarz mamy. Pochłaniało mnie rozmyślanie o tym wszystkim, dopóki zmęczona nie zapadałam w niespokojny sen, który następnego ranka przerywała pobudka oznaczająca nowy dzień znoej pracy

Stałam się ekspertem od szorowania podłóg i ignorowania wprowadzanych przez zakonnice nakazów. Mimo morderczego reżimu udawało nam się niekiedy dobrze bawić i nieźle uśmieć. Czasem chodziłam w tę i z powrotem po świetlicy, przedrzeźniając zakonnice odmawiające w marszu różaniec. Inne dziewczęta też naśladowały mimikę i gesty zakonnice, po czym wszystkie dosłownie tarzałyśmy się ze śmiechu po podłodze.

Jeśli zakonnice złapały nas na czymś takim, otrzymywałyśmy zakaz

prowadzenia rozmów między sobą. A gdy któraś z nas nie zadowolila zakonnice wykonaniem katorzniczej pracy, musiala zaczynac wszystko od poczatku, na przyklad ponownie szorowac czysta podloge. Pewna wyjatkowo zlosliwa i podla zakonnica czerpala ogromna przyjemnosc z katowania akurat mnie. Gdy zrobilam cos niewlasciwie, wzywala mnie do pokoju, w ktorym czekal juz duzy dzbanek wody.

Za karę musiałam pić wodę szklanka po szklance, aż całkiem wypełniał mi się pęcherz i czułam, że za chwilę rozpadnę się na strzępy. Bardzo chciało mi się siusiu i błagałam ją:

- Sostro! Proszę mi pozwolić iść do toalety! Zsikam się na podłogę, nie wytrzymam dłużej!

Zakonnica przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa, po czym odpowiadała:

- Ty obrzydliwa mała kreaturo! Naprawdę gotowa jesteś obsikać sobie nogi, kanalio, co? Ty ohydna diablico!

Trzymała mnie tam tak długo, że w końcu nie wytrzymałam. Musiałam znosić piekący ból poniżenia, kiedy czułam, jak ciepły mocz spływa mi po nogach i zbiera się w kałużę na podłodze. Dla niej był to doskonały pretekst; tylko czekała, żeby spuścić mi lanie. Na koniec zawsze musiałam jeszcze posprzątać bałagan, którego narobiłam.

Nieliczne zakonnice traktowały nas dobrze i były miłe, ale bały się panującego reżimu tak samo jak my. Wielebna matka przełożona powtarzała im, że są dla nas zbyt pobłażliwe i najwyraźniej zapominają, że dziewczęta znalazły się w internacie, żeby poznać dyscyplinę i ponieść karę za popełnione grzechy.

Bez przerwy przypominano nam, że jesteśmy grzesznicami i że wszystkie wymierzane kary oraz wykonywana przez nas ciężka praca stanowią pokutę. Musiałyśmy to zaakceptować albo czekało nas wieczne potępienie. Na tym właśnie polegał reżim u magdalenek. Zakonnice zawsze w końcu były górą, bo dzięki razem twardego rzemienia udawało im się zabić w nas chęć do życia i

złamać ducha. Nie liczyło się, co o tym myślimy. W ich oczach byliśmy brudne, moralnie zepsute. Żeby nie wiem jak bardzo któraś z nas chciała im się przeciwstawić, i tak w końcu się poddawała i zaczynała wierzyć w to, co nam bez przerwy wmawiały.

Chłopcy z okolicy przychodzili do szkolnego sadu kraść jabłka. Wykrzykiwałyśmy wtedy do nich, żalując, że nie możemy razem z nimi otrząsać jabłoni. Nie mieli pojęcia, jakim szczęściem jest wolność. Patrzyli na nas jak na dzikie zwierzęta zamknięte w klatce i przestraszeni szybko przeskakiwali przez płot. Nie mieli najmniejszego wyobrażenia, co dzieje się w budynku szkoły

Jeśli natomiast zakonnice usłyszały, że nawołujemy chłopców, przybiegały od razu, odciągały nas od okien i stosowały przeróżne kary. Zaraz potem podczas mszy ksiądz upominał nas, stosownie do okoliczności oczywiście, o konsekwencjach nieczystych myśli i czynów.

Zakonnice starannie pilnowały, żebyśmy nie kontaktowały się ze światem zewnętrznym. Na ulicę wychodziłyśmy tylko raz dziennie i zawsze pod ścisłym nadzorem. Wciąż nam powtarzały, żebyśmy się ubierały skromnie i nie odsłaniały ciała, żeby nie prowokować młodych mężczyzn i nie wyrzucić na nich mylnego wrażenia. Jedynymi młodymi mężczyznami, jakich widywałyśmy, byli chłopcy podkradający jabłka w sadzie oraz dostawcy przywożący towary do szkoły. Ale oczywiście ani jedni, ani drudzy nie stanowili zagrożenia.

Kiedy już jako tako przywykłam do rutyny obowiązującej w internacie, w moim życiu pojawiła się potworna nowość. Niektórym dziewczynkom przydzielano obowiązek pomagania księdzu przed niedzielną mszą i po niej. Ja byłam odpowiedzialna za sprzątnięcie z ołtarza naczyń liturgicznych i odniesienie ich do zakrystii. Z początku odniosłam wrażenie, że ksiądz jest dla mnie miły. Obiecał nawet, że pomoże mi wydostać się ze szkoły poprawczej i wrócić do domu.

Liz ostrzegała mnie, żebym się do niego w ogóle nie odzywała, ale

oczywiście zupełnie nie rozumiałam, o co jej chodzi. Nie upłynęło wiele czasu i po mszy zaczął mnie molestować. Najpierw mnie tylko dotykał. Później wkładał mi rękę pod majtki, a drugą sięgał pod własną sutannę i ruszał nią, jakby się pocierał. Kiedy skończył, wycierał rękę chusteczką. Liz i ja byłyśmy głównymi obiektami jego zainteresowania. Dał mi nadzieję, a zaraz potem mnie wykorzystał. Kiedy raz wypomniałam mu to cała rozzalona, odparł:

- Przecież chcesz pojechać do domu, prawda?

Zaraz potem znów mi przykazał, żebym nikomu nie mówiła o tym, co ze mną wyprawia w zakrystii.

Dwa dni przed wigilią Bożego Narodzenia wezwała mnie wielebna matka, natychmiast więc udałam się do jej gabinetu.

Kazała mi zamknąć za sobą drzwi, po czym sięgnęła po wielki zeszyt leżący przed nią na biurku, popatrzyła mi w oczy i oświadczyła, że jadę do domu na święta. Mam być gotowa do wyjazdu po południu. Stałam jak wryta. Nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa, a po policzkach płynęły mi łzy

Wtedy ta stara gruba wiedźma powiedziała:

- Kiedy tu przybyłaś, płakałaś całymi tygodniami, ponieważ chciałaś pojechać do domu, a teraz płaczesz, ponieważ jedziesz do domu. - Obdarzyła mnie swoim jak zwykle pogardliwym spojrzeniem i podniosła głos: - Zejdź mi z oczu!

Nie rozumiem cię. Zupełnie.

I rzeczywiście zupełnie mnie nie rozumiała. Płakałam ze szczęścia, ponieważ w głowie mi nawet nie powstało, że spędzę Boże Narodzenie w domu.

Zakonnica, która przywiozła mnie samochodem do internatu, przysłała po mnie po południu. Wielebna matka odprowadziła nas do drzwi.

- Zobaczymy się dzień po świętym Szczepanie, bo wtedy wrócisz - powiedziała na pożegnanie.

Nie dotarły do mnie jej słowa. Myślałam tylko o tym, że jadę do domu. Wsiadłam do samochodu. Kiedy jechał długą aleją, obejrzałam się, żeby

spojrzeć na budynek, z którego przez wszystkie te miesiące tak bardzo pragnęłam uciec.

Zadrżałam, kiedy samochód minął bramę i ruszył drogą prowadzącą do mojego domu.

Rozdział trzeci

Łzy w Boże Narodzenie

Ciemno tam i zimno.

Z oczami pełnymi łez chowam się w najdalszym kącie pod schodami, przechodząc z miejsca na miejsce, próbując ukryć przed światem...

Bo jeśli stamtąd wyjdę, zostanę skazana na kolejną zagładę.

Późnym popołudniem tamtego zimowego dnia, gdy zajechałyśmy pod mój dom w Clondalkin, zapadał zmrok. W oknach niektórych mijanych po drodze domów widziałam bożonarodzeniowe światełka. Byłam podekscytowana, zachwycona i uszczęśliwiona z powodu opuszczenia szkoły poprawczej.

Tutaj był mój dom; znalazłam się znów na przyjaznym, znajomym terenie. Zresztą wszystko było lepsze od pobytu u zakonnice. Byłam także trochę wystraszona i niespokojna. Wiedziałam, że będzie tam ojciec, a wciąż doskonale pamiętałam, do czego był zdolny. Ale tego dnia jak chyba wszystkie dzieci miałam nadzieję, że świat wokół zmieni się na lepsze.

Zakonnica wyszła z samochodu, a ja za nią. Otworzyłam furtkę i ruszyłam w kierunku domu. Mama czekała przy drzwiach, oświetlona żarówką na ganku. Kiedy wysiadłam z samochodu, zaczęła płakać. Podbiegłam do niej i natychmiast otoczyła mnie ramionami. Cóż to było za uczucie po samotności i oschłości, których zaznawałam w internacie!

Nie mogłam uwierzyć, że przytula mnie własna matka. Wydawało mi się, że upłynęły całe lata od chwili, kiedy ostatni raz to robiła. Była jedyną istotą pod słońcem, która okazywała mi miłość i czułość. Chciałam tulić się do niej do końca świata, wiedziałam jednak, że ojciec zaraz mnie wyrwie z jej uścisków:

- Jesteś bardzo chuda - powiedziała.

Przywarłam do niej jeszcze mocniej.

- Nie chcę tam wracać. Zakonnice są straszne, każą mi ciągle pracować.

Chwyła mnie za rękę i popatrzyła głęboko w oczy. Chłonełam każde jej słowo i wierzyłam, że mnie nie zawiedzie, gdy powiedziała:

- Nie martw się! Już tam nie wrócisz. Jesteś mi potrzebna tutaj. Brakuje mi ciebie. W domu będzie ci lepiej. Nie chcę, żebyś tam wracała. To nie przyniesie niczego dobrego.

- Dziękuję ci, mamó! Dziękuję! - wyszeptałam i przepełniona ogromnym szczęściem pocałowałam ją w rękę.

Weszłyśmy do środka, a za nami zakonnica. Mama zaproponowała jej filiżankę herbaty, ta jednak odmówiła, twierdząc, że ma jeszcze coś do załatwienia. Była tak samo zimna jak większość magdalenek. Nie miała w sobie ani odrobiny ciepła. Wykonała zadanie i na tym koniec. Pożegnała się z matką, a do mnie zwróciła się ze słowami:

- Zachowuj się dobrze, moja panno!

- Do widzenia, siostró - odpowiedziałam, w myślach dodając: „ty stara małpo”. Miałam ochotę powiedzieć coś bezczelnego, ugryzłam się jednak w język. Nie mogłam się doczekać, kiedy sobie pójdzie. Odprowadziłyśmy ją do drzwi.

Skakałam z radości, widząc, jak jej samochód znika za zakrętem drogi. Byłam przekonana, że już nigdy nie zobaczę ani jej, ani tego samochodu.

W sieni szeptem powtórzyłam mamie, że nie chcę już opuszczać domu i że nie wolno jej pozwolić zakonnicom, żeby zabrały mnie z powrotem do swojej szkoły. Zapewniła mnie, że zostanę w domu.

Ojciec siedział w kuchni. Nie wyglądał na uszczęśliwionego moim widokiem i nie uczynił najmniejszego gestu w moją stronę. To do niego pasowało. Był jak zwykle szorstki, bezlitosny i pozbawiony ludzkich uczuć. Nie wiem dlaczego, ale w głębi duszy myślałam, że na mój widok choć trochę się ucieszy. Nic z tego. Ale powrót do domu przyniósł mi tak wiele szczęścia, że

zignorowałam jego reakcję. No i oprócz radości miałam już w sobie tę odrobinę wewnętrznego nieposłuszeństwa, które zrodziło się we mnie jako bunt przeciw zakonnicom.

Nie potrzebował wiele czasu, by mi dowieść, że nie przestał być okrutny.

- Nauczyłaś się czegoś w szkole u zakonnice? - zapytał.

Zadając to pytanie, nie kierował się troską o moją edukację.

Bez wątplenia musiał mieć pojęcie o dyscyplinie panującej u zakonnice. Przeczuwałam, że za tym pytaniem kryje się przekonanie, iż jestem bezczelną dziewczuchą i muszę nauczyć się robić, co mi każą. Gdybym mu odpowiedziała, że czegoś się nauczyłam, dopilnowałby, żebym tam wróciła. Jednak skutek byłby taki sam, gdybym odpowiedziała przecząco. Tak czy owak, byłam na przegranej pozycji.

Dzieci bite i torturowane przez dorosłych uczą się przynajmniej jednego: ich oprawcy myślą w pokrętny sposób i zadają podchwytliwe pytania, mające zapędzić je w kozi róg i namieszać w głowie. Nie wystarcza im znęcanie się nad ciałem, muszą także torturować umysł. Dlatego maltretowane dzieci wsłuchują się w każde słowo i sformułowanie, w intonację i ton głosu swojego kata. Nie chodzi tylko o dostosowanie do nich własnego zachowania. Życie bitego dziecka jest jeszcze gorsze, bo wie, że w każdym zadawanym mu pytaniu kryje się pułapka.

Kiedy rozmyślałam, co mu odpowiedzieć, przed oczami stanęły mi korytarze, drewniane drzwi, szorowane na kolanach podłogi i schody, sypialnia oraz czarny rzemień wielebnej matki i biała chusteczka księdza. Zawahałam się, jednak po chwili powiedziałam:

- Nie. I nie mam zamiaru tam wracać.

Nie wiedział, przez co przeszłam. Nie miał pojęcia o psychicznych i fizycznych torturach zadawanych nam przez świątobliwe mniszki i wielebno księdza. O samotnych minutach, godzinach i dniach, które musiałam znosić. O snutych za dnia planach ucieczki i przeżywanych nocą sennych koszmarach.

Siedział sobie ze starannie posmarowanymi brylantyną włosami i w koszuli uprasowanej przez matkę, która od tak dawna przez niego cierpiała. Co mógł wiedzieć o swojej córce? Czy chciał cokolwiek o niej wiedzieć?

Wolno poruszył się na krześle, a ja usunęłam się na bok, sądząc, że ma zamiar wstać. Szukałam w jego oczach znanych mi dobrze oznak wściekłości, ale zobaczyłam w nich tylko zimny dystans. Mimo to bardzo się bałam, bo nie wiedziałam, co powie.

- O tym to się jeszcze przekonamy. Jesteś w domu tylko na Boże Narodzenie i tylko dlatego, że chciała cię zobaczyć matka. Zgodziłem się ze względu na nią, inaczej nie byłabyś tu dzisiaj. Więc nie pyskuj! - powiedział w końcu szorstko.

Było to okropne przywitanie, a jednak uszczęśliwiona powrotem do domu nie dość uważnie, jak się okazało, wysłuchałam jego słów. Później dopiero do mnie dotarło znaczenie jego wypowiedzi i przyprawiło mnie o strach i niepokój.

Jednak w tych pierwszych chwilach po powrocie nie dopuszczałam do siebie żadnych obaw.

Mama dała mi herbatę i trochę ciasta, które było pyszne, zwłaszcza po brei w szkolnej stołówce. Bracia ciągle wpadali po coś do domu i znów wbiegali na dwór. Mój widok wydawał się ich wcale nie zaskakiwać. Zachowali się tak, jakbym nigdy nie opuszczała rodzinnego domu. Po podwieczorku ojciec bez słowa wstał od stołu i poszedł do pubu. Odetchnęłam z ulgą, wiedząc, że nie będzie go przez kilka godzin i że przez ten czas będę mogła się nacieszyć towarzystwem mamy

Kiedy za ojcem zamknęły się drzwi wejściowe, mama powiedziała, żebym poszła na górę i zaścieliła łóżko. Zdziwiło mnie to i zastanowiło, ponieważ w domu panował zawsze nienaganny porządek. Mamie udawało się utrzymać czystość, mimo że było nas tak wiele i kręciliśmy się ciągle tam i z powrotem. Ponieważ jednak zawsze robiłam to, o co mnie poprosiła, także i tym razem jak posłuszna córeczka poszłam do sypialni. t.> Omal nie wybuchnęłam

płaczem, kiedy zobaczyłam, że czeka na mnie moja lalka Lou wsunięta pod kołdrę tuż przy poduszce. W dzień wyjazdu nad morze cieszyłam się, że będę jej miała co opowiadać po powrocie. Jaka ja byłam szczęśliwa, szykując się do tego wyjazdu! Przed oczami miałam morze, dużo słońca i piasek, na którym będę się bawiła. Lou leżała sobie na poduszce, a ja wspominałam tamte nadzieje i tamten dzień, który zamiast najlepszym stał się najgorszym dniem mojego ośmioletniego życia. Zapowiedź wyjazdu nad morze była bezlitosnym podstępem, nie mogłam więc opowiedzieć Lou, jak wygląda plaża. Podniosłam ją, przytuliłam i wyszeptałam jej do ucha:

- Nie ma o czym opowiadać, Lou. Miałam trafić do nieba, a wylądowałam w piekle.

Po policzku stoczyła mi się łza, ale szybko wytarłam ją rękawem. Wiedziałam, że zawiodłam Lou, a nie chciałam, żeby jeszcze bardziej się martwiła, widząc, że płaczę. Odłożyłam ją z powrotem na łóżko i powiedziałam, żeby się nie przejmowała, bo na pewno kiedyś dotrę nad morze i wtedy moja opowieść będzie naprawdę wspaniała.

Spojrzałam na łóżko. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Poduszka leżała równo, ale podniosłam ją, chcąc poprawić. Wtedy znalazłam pod nią pięknie zapakowane słodycze. Położyłam poduszkę z powrotem na miejsce, uściskałam i ucałowałam Lou, po czym nakryłam ją kołdrą i zbiegłam po schodach do kuchni.

- Mamo! Zobacz, co znalazłam! Pod poduszką były słodycze.

- No proszę! Ty to masz szczęście! - powiedziała z uśmiechem. - Prawda, że warto było iść do sypialni i prześcielić łóżko?

Podeszłam, uściskałam ją, powiedziałam, jak bardzo ją kocham, i po raz kolejny powtórzyłam, że nie chcę już więcej opuszczać domu.

Właśnie takie pełne miłości gesty sprawiały, że mama była zupełnie wyjątkowa. W zimowe poranki zawsze włączała piekarnik kuchenki gazowej, a kiedy się rozgrzał, otwierała drzwiczki i wsadzała do środka ręcznik. Usadzała

nas na niskiej ławie, którą stawiała specjalnie przed piekarnikiem, po czym kładła nam pod stopy ciepły ręcznik, żeby się rozgrzały. Potem kazała szybko nakładać skarpetki i buty, żeby nogi się nie ochłodziły. Kazała mi sięgnąć po coś do szafki kuchennej i znajdowałam tam schowane specjalnie dla mnie ciasteczko. Nigdy nie myślała o sobie. Wolała raczej głodować niż widzieć, że jej dzieciom czegoś brakuje. Niestety, przez ojca często musieliśmy się obchodzić bez wielu rzeczy. Jego skąpstwo i złośliwość musiały boleśnie ranić jej serce. Ona sama dałaby nam wszystko, ale ojciec, i tylko ojciec, rządził w domu i jedzeniem, i pieniędzmi.

Po zjedzeniu słodczy pomagałam mamie w różnych pracach domowych. Potem usiadłyśmy przy piecu w kuchni i śpiewałyśmy piosenki:

Raz Cygan wędrownik na wzgórze się wybrał?, z okryte) cieniem doliny.

Tak gwizdał, tak śpiewał swe czarowne tony, aż dzwon się rozdzwonił cudownie zielony, i zdobył serce dziewczyny.

Słuchanie piosenek śpiewanych przez matkę - a jeśli znałam słowa, śpiewanie razem z nią - było jak przewracanie kolejnych kartek książki z przepiękną baśnią. Każda piosenka zawierała magiczną historię, która odrywała nas od codziennej, pełnej bólu i nędznej egzystencji tak daleko, jak Księżyc oddalony jest od Ziemi. Miałyśmy wtedy z mamą nasze prawdziwe chwile szczęścia i cieszyłyśmy się każdą z nich, wiedząc, że kiedy ojciec wróci z pubu, cień padnie na dom i wszystkich jego mieszkańców.

Zamknięta w internacie przypomielałam sobie piosenki, których mnie nauczyła mama. Wcześniej w domu często śpiewałam przed lustrem ze szczotką do włosów, która zastępowała mi mikrofon. Mama uważała, że to przezabawne.

U zakonnic nie było luster, ale któregoś dnia podczas kąpieli odkryłam, że kiedy kucam, w wypolerowanym przez którąś z nas kranie pojawia się moje odbicie. Zaczęłam więc śpiewać w kąpiel. Niektórym, tym trochę miłszym zakonnicom to nie przeszkadzało, ale jedna szczególnie złośliwa owijała kran ręcznikiem, żebym nie mogła się w nim przejrzeć, tym samym psując mi jedną z

bardzo przecież nielicznych przyjemności, jakie były moim udziałem w internacie.

Kiedy w nocy po powrocie do domu kładłam się spać, mama się zdziwiła, że zdejmuję poduszkę z łóżka i kładę ją na podłodze. Wyjaśniłam jej, że w internacie nie mamy poduszek i przyzwyczaiałam się do spania na płaskim posłaniu. Byłam taka szczęśliwa, że mogę położyć się do własnego łóżka w moim małym pokoiku! Ale już następnego ranka miałam się przekonać, że życie w domu ani na jotę się nie zmieniło.

Pomogłam mamie przynieść węgiel do pieca, a po śniadaniu poszłam bawić się z dziećmi, które miały już ferie świąteczne. Przez cały dzień trwały przygotowania do tego wielkiego dnia, kursowałam więc bez przerwy między domem a placem zabaw. Mama ciężko harowała. Późnym popołudniem wybrałyśmy się po zakupy, a po powrocie ze sklepu ona jeszcze kończyła ostatnie przygotowania w domu.

Wczesnie rano tego dnia ojciec poszedł na targ po indyka i szynkę. Kuchnia pełna była bożonarodzeniowych zapachów: szykował się świąteczny pudding, szynka gotowała się w wielkim stalowym garnku, a indyk skwierczał w piekarniku. Kiedy szynka i indyk były gotowe, najpierw trochę przestygły, a potem ojciec zamknął je w dużym pokoju i zabrał klucz ze sobą.

Na koniec zostały świąteczne dekoracje. Nasza mała choinka stojąca w wiadrze na stole wydawała mi się cudowna i niezwykła. Wszyscy na naszej ulicy mieli dużą choinkę, ale wtedy nie miało to dla mnie znaczenia. Mówiłam sobie, że nasza jest najpiękniejsza. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mamy tak małe drzewko z powodu skąpstwa mojego ojca. Chciałam ubrać choinkę razem z mamą, ale on nie pozwolił i ubrał ją sam. Zawsze jego musiało być na wierzchu, nawet jeśli sprawiał tym ból mojej matce. Chciał rządzić wszystkim. Był bezwzględny tyranem i najwyraźniej postawił sobie za cel uprzykrzenie życia żonie oraz dzieciom na każdy możliwy sposób.

Wieczorem w wigilię Bożego Narodzenia ojciec znów poszedł do pubu.

Leżałam już w łóżku, ale nie mogłam zasnąć i coś mnie zaniepokoiło, wyszłam więc na schody. Zastałam tam mamę wyglądającą przez okno. Święta to ponoć czas radości, ale ona była wyraźnie przygnębiona i zdenerwowana, co bardzo mnie zmartwiło.

- Co tutaj robisz? - zapytałam.

- Czekam, aż tata wróci z pubu - odparła. Wydała mi się tak samotna i zagubiona, że omal się nie rozplakałam. Mocno się do niej przytuliłam, a ona objęła mnie i pocałowała. - A teraz wracaj do łóżka. Wszystko będzie dobrze. Idź spać, a kiedy się obudzisz, pod choinką będą czekały prezenty od świętego Mikołaja.

Wróciłam do łóżka, nie mogłam jednak zasnąć. Myślałam o mamie stojącej na schodach i wyglądającej przez okno w oczekiwaniu, aż pan domu powróci z nocnej libacji. Nie mogła nam dać tego, co każda matka chciałaby dać swoim dzieciom. W moich oczach mama była tak piękna, tak dobra i troskliwa, tak pełna miłości, a przy tym taka smutna!

Wszystko przez niego. Zasnęłam ze łzami w oczach. Łzami z powodu losu mojej mamy. Łzami z okazji Bożego Narodzenia. Wiele lat później miałam się dowiedzieć, że mama co rok czekała na schodach, żeby razem z ojcem położyć pod choinką prezenty dla nas. I co rok po długim oczekiwaniu kładła je tam w końcu sama.

Wstał świąteczny poranek. Prezenty czekały pod choinką. Dostałam cudowną lalkę, książkę i kilka jeszcze drobiazgów. Chłopcy cieszyli się z kowbojskich kapeluszy, kabur i rewolwerów. Rozpakowaliśmy prezenty, poszliśmy do kościoła na mszę, a potem pobawić się z innymi dziećmi na osiedlowym placu zabaw. Po mszy ojciec wrócił do domu, zjadł solidne śniadanie i udał się do Beladonnell Camp, lokalnego klubu wojskowego, żeby się napić z kolegami. Zawsze to robił pierwszego dnia świąt. Z obiadem musieliśmy czekać na jego powrót. Do posiłku przy stole w kuchni wychylił kilka kieliszków, po czym znów poszedł pić. Tak wyglądało nasze Boże

Narodzenie: żadnych wspólnych zabaw ani spacerów jak w innych rodzinach.

Jego samolubne zachowanie odbierało nam radość. Zawsze myślał tylko o sobie, swoim żołądku i swoim alkoholu.

Nic innego się nie liczyło. Nie wiem, dlaczego stał się takim egoistą. Nie mam pojęcia, co sprawiło, że z takim okrucieństwem traktował nie tylko mnie i moich braci, ale przede wszystkim naszą mamę, która przecież niczym sobie na to nie zasłużyła. Zniosłabym całe zło, które mi wyrządzał, gdyby tylko był lepszy dla niej. Ale nie był. Jediną osobą na całym świecie, która się dla niego liczyła, był on sam. Nikt inny.

Tak samo wyglądał 26 grudnia, dzień świętego Szczepana, drugi dzień Bożego Narodzenia: ojciec kontynuował popijawę z kolegami. Mimo to w domu byłam tak szczęśliwa, że ani razu nie pomyślałam o szkole poprawczej. Rozkoszowałam się wolnością i swobodą. Wszystko sprawiało mi radość! I nagle podczas obiadu ojciec oznajmił, że od jutra wszystko wraca do normy. Boże Narodzenie się skończyło i mamy zapomnieć o świętym Mikołaju. Po tym oświadczeniu zwrócił się do mnie:

- Jutro przyjeżdża zakonnica, która zabierze cię z powrotem do szkoły. I nie wyprawiaj mi tu żadnych cyrków!

Wszystko we mnie aż krzyczało, ale powiedziałam mu grzecznie, że nie chcę tam wracać.

- Nie wrócę tam, prawda, mamó? - zakończyłam prośbą o potwierdzenie do mojej wybawicielki.

- Oliverze - powiedziała mama do ojca tonem proszącym. - Nie chcę, żeby znowu ją tam zabrali. Pozwól jej zostać w domu.

- Zrobi, co każe - odparł. - A może ty chcesz z nią tam pojechać?

I na tym rozmowa się zakończyła. Głowa rodziny, szef, jak go między sobą nazywaliśmy, przedstawił swoje stanowisko.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Wyobrażałam sobie wielebłą matkę oczekującą mnie z twardym rzemieniem i wiadrami, kolana poranione od

kamiennych podłóg na niekończących się korytarzach i wielostopniowych schodach, olbrzymią jadalnię i ogromną salę sypialną. Wszystko było tam wielkie, bezbrzeżnie smutne i bolesne. W uszach, sercu i duszy stukwały mi odgłosy kroków: tup, tup, tup. Postanowiłam, że nie wrócę tam, choćby wbrew woli ojca.

Następnego ranka nie mogłam zjeść śniadania. Najpierw się łudziłam, że zapomniał o moim powrocie do zakonnicy, ponieważ o tym nie wspomniał. Ale okłamywałam samą siebie, bo ojciec nigdy nie zmieniał zdania, kiedy coś postanowił. Słowami i zachowaniem wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie chce mnie w domu widzieć.

Znosiłam jego znęcanie się nade mną, ponieważ była przy mnie mama. U zakonnicy nie miałam nikogo, kto by mnie pocieszył, a wielebna matka z pewnością dorównywała mojemu ojcu, jeżeli idzie o okrucieństwo. Postanowiłam zrobić wszystko, żeby nie wylądować znów u zakonnicy.

W porze lunchu ojciec wszedł do kuchni.

- Zakładaj płaszcz. Wychodzimy - powiedział.

Wiedziałam doskonale, że nie mogę mu ufać. Już raz mnie okłamał, mówiąc, że jedziemy nad morze. Nigdy w życiu nigdzie mnie nie zabrał. Z wyjątkiem tego piekła z internatem. Odpowiedziałam więc, że nie założę płaszcza i nigdzie z nim nie pójdę.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Rób, co każę - odezwał się w końcu.

Trzęsły mi się nogi i kręciło w głowie. Nie wiedziałam, co zrobić. Poszłam na górę, żeby się ubrać. Przez chwilę stałam w swoim pokoju, po czym przeszłam do sypialni rodziców, której okna wychodziły na ulicę. Obserwowałam dzieciaki bawiące się przed domem i nagle zauważyłam wyjeżdżający zza rogu samochód. Skręcił i zatrzymał się przed naszą furką. Gdy ze środka wysiadła zakonnica, wiedziałam, że ojciec zdradził mnie po raz drugi. Rozplakałam się i wrzasnęłam na całe gardło:

- Nie wrócę tam! Nigdzie nie pojedę z tą jędzą w habicie!

Mama płakała, ale ojciec całkowicie ją-zignorował i zaczął wrzeszczeć na mnie:

- Nie mów tak o świątobliwej zakonnicy! Wracasz do internatu i koniec! Słyszysz?

W kuchni pod schodami było wejście do schowka, który biegł wzdłuż całej sieni. Uciekałam tam przed ojcem, kiedy wiedziałam, że ma ochotę mnie zbić. Wchodziłam do niego na czworakach, a potem musiałam się czołgać, tak wąskie przejście prowadziło pod schodami. Kiedy ojciec otwierał drzwi zakonnicy, pobiegłam do kuchni i wpełzłam do schowka.

Gdy zorientował się, że zniknęłam, wpadł w furję. Wylała się z niego cała żółć, którą powstrzymywał przez dwa świąteczne dni. Pierwszym miejscem, do którego pobiegł, był właśnie ten schowek; udało mi się jednak stanąć na dwóch drewnianych belkach przyczepionych do ścianki działowej i nie zauważył mnie, zaglądając do środka. Potem usłyszałam, jak wrzeszczy:

- Gdzie ona jest?

Mama doskonale wiedziała, gdzie jestem, bo jak tylko wyszedł z zakonnicy szukać mnie na podwórzu, podeszła do schowka.

- Siedź tu cichutko, bo inaczej od razu cię znajdzie! - powiedziała szeptem.

Ojciec wszedł z powrotem do domu. Zeszłam z belek i usiadłam na rurach biegnących pod schodami, opierając się plecami o ścianę. Słyszałam, jak kręci się po domu, po czym usłyszałam:

- Nie ma siły! Musi być w schowku.

Po chwili zobaczyłam, jak klęczy i opierając się na rękach, zerka w moją stronę.

- Nie wrócę tam! Nigdzie nie pojedę z tą jędzą! - wrzasnęłam.

- Jeśli natychmiast stąd nie wyjdiesz, spuszczę ci takie lanie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie dostałaś! - ryknął.

- Wszystko mi jedno! - wrzeszczałam przeraźliwie. - Możesz sobie mnie bić! Przecież zawsze mnie biłeś.

Przed oczami stanęło mi życie sprzed pobytu u zakonnic. Wróciły wszystkie przeraźliwe wspomnienia, które odpychałam od siebie ze względu na mamę i na Boże Narodzenie. Starłam się o nich nie myśleć, ponieważ wiedziałam, że zepsują mi pobyt w rodzinnym domu.

Bez powodu wyrzucał mnie z domu i kazał spać w szopie. Już samo to było przerażające, a przecież w dodatku mnie bił, i to okrutnie. Słyszałam odgłosy jego kroków zbliżających się przez podwórze; ciężkie, nabijane ćwiekami buty opadały na betonowe płytki chodnika. Drżałam już na sam ich odgłos. Echo każdego stąpienia zapowiadało kopniaki i ciosy, które za chwilę mi wymierzy.

Wyciągał mnie z szopy za włosy i ramiona, a potem bił na kwaśne jabłko. Ze wszystkich sił starałam się nie krzyknąć ani nie płakać, ponieważ łzy i krzyk zdawały się zagrzewać go do jeszcze mocniejszego okładania mnie. Jakby moje cierpienie pobudzało jego wybuchowy temperament do piekielnych tortur. Zaciskałam zęby, zamykałam oczy i próbowałam zwinąć się w kłębek, żeby utrudnić mu ciosy i kopniaki. Ale niewiele to pomagało.

Stalowe blaszki pod czubkami jego pantofli wbijały mi się w ciało nawet przez ubranie, a kości chrzęściły od uderzeń. Był silnym mężczyzną, a mimo to sapał z wysiłku.

Kiedy ból stawał się nieznośny, zaczynałam wyć i ryczeć, z każdym ciosem głośniej. Wiedziałam, że przetoczenie się kawałek po ziemi dla uniknięcia kolejnych razów tylko pogorszy sytuację, ale czasem nie potrafiłam się powstrzymać.

Oprócz sapania słyszałam też zgrzytanie zębami. Modliłam się, żeby od tego zgrzytania połamały mu się zęby, bo może wtedy przestałby mnie bić. Ale nigdy nie złamał się ani jeden, a on bił dalej.

Kopiąc mnie po dłoniach, zmuszał, bym zdjęła je z twarzy i zobaczyła

wściekłość w jego oczach oraz te obrzydliwe bąbelki piany na wykrzywionych złością ustach. Kopał mnie po podwórku niczym piłkę tak mocno, że potem całymi tygodniami nie mogłam chodzić. Albo bił paskiem, aż na nogach robiły mi się guzy, a całe ciało pokrywały siniaki.

Ciągnął mnie za włosy i całe pukle zostawały w jego wielkich łapach.

Trudno uwierzyć, ale psychiczny ból, jaki mi sprawiał, był czasem gorszy od fizycznego. Nawet jeśli byłam cała posiniaczona tak bardzo, że nie pozwalał mi iść do szkoły, bo tam ktoś mógłby zadawać niewygodne dla niego pytania, wiedziałam, że blizny się w końcu zagoją, a ślady znikną po tygodniu albo dwóch. Natomiast rany w sercu i duszy nie zagoiły się nigdy. Nigdy też nie pozbyłam się strachu przed kolejnym biciem, kolejną samotną nocą w ciemnej i zimnej szopie, bez jedzenia i czegokolwiek, czym mogłabym się okryć.

Tak więc, kiedy trzęsłam się ze strachu w schowku pod schodami, myślałam: „Cóż gorszego może mi zrobić? Jestem przyzwyczajona do siniaków i ran. Najwyżej zbije mnie po raz kolejny. Co za różnica?”. Byłam zdecydowana nie wychodzić stamtąd, ponieważ wiedziałam, że ojciec jest zbyt duży, by wejść do środka. Nawet ja mieściłam się w przejściu z trudem, choć przecież byłam znacznie drobniejsza od innych dziewczynek w moim wieku.

Ale ojca nie dało się przechytrzyć. Najpierw krzyczał i wsadzał ręce do wąskiego otworu, próbując wyciągnąć mnie spod schodów. W końcu przestał pakować łapy do środka, wrzeszcząc w moją stronę:

- Dostanę cię, ty mała suko! - Jego twarz znikła na chwilę z otworu. Poszedł po duży stalowy pogrzebacz i zaczął walić nim w ścianę. - Pożałujesz, mała suko! Jeszcze tego pożałujesz! - wrzeszczał na całe gardło, raz za razem wbijając zagięty koniec w mur. Na podłogę zaczęły odpadać kawałki tynku.

Ścianka działowa wykonana była tylko z podwójnej płyty gipsowej. Mimo to wybicie dziury zajęło mu dłuższą chwilę, która mnie wydawała się całymi godzinami. Kiedy pojawił się prześwit, zaczął rozwalać przegrodę gołymi rękami.

W końcu ścianka zniknęła, a ja wciąż stałam w najdalszym kącie schowka. Spojrzał na mnie i powiedział:

- A teraz wylaż i nie każ mi tam wchodzić.

Wyszłam, płacząc i wrzeszcząc na cały głos:

- Nie chcę tam wracać. One mnie biją i ciągle każą pracować!

- To nic w porównaniu z laniem, jakie ci spuszczę, jeśli nie zrobisz, co każę - odparł i była to jego cała odpowiedź na moją skargę.

Poszłam do przedpokoju i łkając, usiadłam na schodach.

Mama, taka drobna i delikatna, była przerażona. Trzęsła się cała i nie potrafiła opanować łez.

- Pozwól jej zostać w domu, Oliverze, Przestań się nad nią znęcać! Przecież jest tylko dzieckiem. I nie zrobiła nic złego. Ona nie chce tam wracać, a i ja wolałabym ją mieć tutaj, przy sobie. Zostaw ją! Przecież to tylko niewinne dziecko - błagała go ze łzami w oczach.

- Zrobi, jak każę - odparł głosem zimnym jak lód.

Po chwili wróciła zakonnica i wkroczyła do przedpokoju. W przedpokój owym oknie mieliśmy żaluzje. Do dziś pamiętam, że były żółte. Uchwyciłam się ich i ściszałam, jakby miało od tego zależeć moje życie. Ojciec próbował zdjąć mi dłonie z żaluzji, ale zaciskałam palce z całych sił, płacząc i krzycząc jak nigdy wcześniej w życiu. Choć przecież widział, w jakim jestem stanie, martwił się tylko o żaluzje.

- Jak zerwiesz żaluzje, to dopiero będziesz miała powód do płaczu - powiedział, zgrzytając z wściekłością zębami.

Nie mam pojęcia, skąd wzięłam siłę, ale nie dawałam się oderwać od żółtych żaluzji. Ściszałam je tak długo i tak mocno, że w miejscach, w których listewki wrzynały się w ciało, w palcach i dłoniach pulsował ostry ból. Po jakimś czasie, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność, ojciec w końcu ustąpił.

- Zostanie tu do jutra - powiedział. Zakonnica wyszła, a ja w końcu

puściłam żaluzje. Miałam czerwone i obolałe dłonie, byłam też wyczerpana płaczem. Słony smak łez w ustach sprawiał, że żołądek podchodził mi do gardła.

Oczekiwałam, że po wyjściu zakonnicy ojciec wyciągnie mnie na zewnątrz i spuści łanie najgorsze w całym moim życiu, ponieważ ośmieliłam mu się sprzeciwić. Kiedy zamknął za nią drzwi, czekałam na atak, on jednak z pogardą potrząsnął głową i poszedł do pubu. Kiedy zastanawiam się nad tym dzisiaj, myślę, że nie mógł dać mi w skórę, bo oznaczałoby to, że wrócę do internatu posiniaczona i zakonnice się dowiedzą, jak byłam przez niego traktowana. Oczywiście, nie wierzę, żeby którakolwiek z nich się tym przejęła, a już tym bardziej, by podjęła jakiegokolwiek działanie. Kiedy wyszedł, błagałam mamę, żeby pozwoliła mi zostać. Wypłakiwałam sobie przy tym oczy, choć w głębi duszy wiedziałam, że mama nie może zrobić nic, na co ojciec nie pozwoli.

Zmęczona całym tym zajściem szybko zasnęłam, a następnego ranka obudziłam się tak psychicznie wyczerpana, że było mi wszystko jedno. Zakonnica zjawiała się późnym popołudniem. Weszła do domu, trzymając wielki świąteczny tort. Domowego wypieku. Chyba tylko babcie potrafią wyczarować takie чудо. Był okrągły i ozdobiony cukrowymi sopłami. Na wierzchu śnieżnobiały, a pośrodku widniał mały Mikołaj i bożonarodzeniowa choinka. Obok stał renifer, a wszystko ozdobione było mnóstwem maleńkich srebrnych paciorków. Nigdy przedtem nie widziałam czegoś tak pięknego.

- Ten tort jest dla ciebie. Zabierzesz go do szkoły i poczęstujesz wszystkie koleżanki - powiedziała.

Patrzyłam na tort. Wyglądał naprawdę wspaniale. Ale nie potrafiłam się cieszyć. We wnętrzu czułam wielki ból, pustkę, jakby ktoś mnie wydrążył. Byłam dosłownie odrętwiała ze smutku i żalu. Po prostu patrzyłam. Nie odezwałam się ani słowem.

- Jesteś gotowa do wyjścia? - zapytała zakonnica.

I znów nie zdobyłam się na powiedzenie niczego. Byłam wycieńczona. Mogli ze mną robić, co chcieli. Nie znalazłabym w sobie dość energii, by

zareagować na cokolwiek.

Wsiadłam do samochodu. Matka stała na progu cała we łzach, rozdarta między miłością do mnie a strachem przed brutalnym mężem. Byłam tak nieszczęśliwa i obolała, że nie potrafiłam jej współczuć.

Samochód przekroczył bramę szkoły i toczył się aleją.

Gdy przystanął, zakonnica wręczyła mi tort ze słowami:

- Weź, to dla ciebie i twoich koleżanek.

Wzięłam ten wielki wspaniały tort i niosłam w obydwu dłoniach. Dochodząc do drzwi wejściowych tak bardzo się trzęsłam, że omal go nie upuściłam. Wracałam do miejsca, w którym mogłam się spodziewać wyłącznie najgorszego.

Weszliśmy do środka, zakonnica sobie poszła, wielebna matka wzięła ode mnie tort i wszystko potoczyło się jak zwykle. Nigdy więcej nie zobaczyłam pięknego białego tortu. Nikt też nie miał zamiaru przynajmniej mnie nim poczęstować. Była to tylko przynęta, która miała mnie skusić do powrotu w to okropne miejsce i powstrzymać przed narzekaniem. Odwiedziny bliskich stały się jeszcze rzadsze niż przedtem, a na kolejne święta Bożego Narodzenia nie pozwolono mi jechać do domu.

Jedyną pociechą był dla mnie fakt, że Bridghie, Liz i inne dziewczynki z kuchni bardzo się ucieszyły z mojego powrotu. Nawet to jednak nie rozwiało mojego otępienia.

Mijały tygodnie i miesiące niedoli. Od czasu do czasu chodziłam do szkoły, głównie jednak pracowałam. Dziewięcioletnia wyrobnica. Polubiłam odkurzanie mebli i sprzątanie w gabinecie, ponieważ starsze dziewczynki nauczyły mnie otwierać zamek w biurku wsuwką do włosów. Od tamtej pory zawsze nosiłam ją schowaną w bucie. Czasem kradłam duże kawałki kredy, a innym razem elastyczne opaski. Niekiedy znajdowałam opakowanie z cukierkami; to był mój ulubiony łup. Wtedy brałam trzy duże mleczne dropsy: jeden dla mnie, jeden dla Liz i jeden dla Bridghie. Więcej niż trzech nie

podwędziłam nigdy, bo zakonnice mogłyby się zorientować. Dropsy były naprawdę smakowitym kąskiem, a fakt, że siostry nie wiedziały o naszych słodkich ucztach, dawał nam nad nimi pewnego rodzaju przewagę.

Kiedys, gdy sprzątałam gabinet, ukradłam pudełeczko długich pinezek. Brałam je w konkretnym celu: miały się stać moim narzędziem zemsty na zakonnicach. Następnego ranka jak zwykle poszłyśmy na mszę i jak zwykle modlitwy zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Kiedy podczas nabożeństwa wszyscy wstali, wpełzłam pod ławki, przeczołgałam się po ziemi do rzędów zarezerwowanych dla zakonnice, sięgnęłam do kieszeni i w niektórych miejscach rozłożyłam pinezki. Dałam dziewczynom znak, że skończyłam, i wciągnęły mnie za nogi z powrotem do naszego rzędu. Po skończonej modlitwie zakonnice usiadły. Omal nie posikałyśmy się ze śmiechu, widząc, jak niektóre z nich podskakują, wydzierając się na całe gardło. Dostałam, oczywiście, za swoje, ale okrzyki bólu podskakujących w górę zakonnice warte były takiej ceny.

Nauczyłam się, że na przetrwanie jest jeden sposób: podnieść się i iść dalej. Gdy tylko miałam okazję, tańczyłam po stołach w świetlicy i śpiewałam najgłośniej jak potrafiłam.

Nie zamierzałam im pozwolić, by zdławiły we mnie ducha.

Kiedy złapały mnie na jakimś psikusie i ukarały, nie uciekałam już jak przedtem na schody, by się wypłakać. Postanowiłam więcej nie płakać. Zamiast tego miałam zamiar doprowadzać zakonnice do szału.

- Musisz być twarda - poradziła mi któregoś razu Bridghie, a ja posłuchałam tej rady. - Nie możesz dać im wygrać.

Nigdy nie płacz, nawet jak dostaniesz tym wielkim skórzanym pasem. Niech cię biją, ile im się podoba; zawsze wtedy myśl o tym, co muszą czuć, kiedy nie płaczesz. Doprowadza je to do szału. I możesz mi wierzyć, że to wspaniałe uczucie.

Mój bezlitosny ojciec zawsze bił mnie jeszcze silniej, kiedy płakałam, dla zakonnice natomiast płacz był oznaką, że wymierzana kara działa. I choć nie od

razu, to jednak przestawały. Powstrzymując łzy, doprowadzałam siostry zakonne do rozpacz. Mówiąc o mnie, z wściekłością powtarzały, że

„nic dobrego z niej już nie będzie!”.

Nie mogłam tylko znieść ciągłego molestowania przez obleśnego księdza. Zaczęło się znowu, jak tylko wróciłam z domu po świętach Bożego Narodzenia, i z dnia na dzień było coraz gorzej. W końcu ksiądz wyszedł z zakrystii, poszedł za mną do sypialni i tam siłą zrobił mi to, co jeden z dwóch napastujących mnie chłopców w dzień przed pierwszą komunią. Jednak tym razem ból był znacznie gorszy, a kiedy wycierał się tą swoją obrzydliwą białą chusteczką, zobaczyłam na niej ślady krwi. Później dwa razy zamknął się ze mną w gabinecie wielebnej matki przełożonej i tam mnie zgwałcił. Po jakimś czasie zaczęłam przeczuwać, kiedy nosi się z takim zamiarem i zawsze wcześniej starałam się zdjąć

I z szyi medalik z wizerunkiem Matki Boskiej, który stanowił część naszego szkolnego umundurowania. Jakbym nie chciała, żeby Matka Boska pomyślała sobie o mnie coś złego w związku z tym, co wyprawiał ksiądz. Któregoś dnia posłał po mnie w takiej chwili, że nie miałam czasu pobiec do sypialni i schować medalika. Powiedziałam mu więc, że muszę iść do toalety; tam ukryłam wizerunek Matki Boskiej.

O tym, co się dzieje, rozmawiałam z Liz. Powiedziałam jej też, że noszę się z zamiarem opowiedzenia o wszystkim wielebnej matce, bo może ona go powstrzyma.

- Jeśli jej powiesz, to nie zabawisz tu długo - odparła. - Jak sądzisz, dokąd zawieźli dziewczęta, które przestały chodzić do szkoły?

- Jak to dokąd? Do domu, oczywiście!

- A kto ci tak powiedział?

- Zakonnice.

- Jesteś idiotką! - obruszyła się. - Owszem, zabrali je do domu, ale do domu wariatów. Właśnie tam lądują te z nas, które głośno mówią, co się tutaj dzieje. Zamykają je jak jakieś wariatki!

Tak bardzo chciałam jednak powstrzymać obleśne poczynania księdza, że postanowiłam porozmawiać o tym z wielebną matką. Poszłam więc któregoś dnia do jej gabinetu i powiedziałam, że ksiądz mi „to robi”. Dopytywała się, co dokładnie mam na myśli, wyjaśniłam jej więc, że „robi mi te straszne rzeczy” i „wkłada mi ręce do majtek”. Na jej twarzy nie zauważyłam ani zaniepokojenia, ani chęci pomocy. Powiedziała tylko, że powinnam wyparzyć sobie usta za mówienie takich rzeczy, że jestem grzesznicą i że skończę w piekle, smażąc się. Kazała mi się wynosić i zapowiedziała, żebym o „takich rzeczach” nigdy więcej nie ważyła się wspominać.

Powtórzyłam Liz przebieg tej rozmowy, a wtedy ona przyznała, że też próbowała powiedzieć wielebnej matce, co się dzieje, i spotkała się z taką samą reakcją.

W tydzień po wizycie u wielebnej matki zostałam zawieziona do szpitala miejskiego i zaprowadzono mnie do gabinetu, w którym czekał lekarz. Towarzysząca mi zakonnica została na zewnątrz. Mężczyzna wydał mi się bardzo sympatyczny i naprawdę wierzyłam, że chce mi pomóc. Spędziłam w jego gabinecie dużo czasu, ponieważ opowiedziałam mu ze szczegółami wszystko, co ze mną wyczyniano. Przed nim na biurku leżał wielki formularz, w którym zapisywał to, co mówiłam. Opowiadałam, jak ksiądz mnie obmacuje i jakie lanie spuszcza mi zakonnice. Zapytał, czy komukolwiek wcześniej o tym mówiłam. Odparłam zgodnie z prawdą, że próbowałam porozmawiać z wielebną matką przełożoną, ta jednak kazała mi sobie wyparzyć usta, bo zostały skażone wypowiedzianiem takich obrzydliwości.

Dopytywał się, czy rozmawiałam z kimś jeszcze, i wtedy powiedziałam o rozmowie z Liz. Chciał wiedzieć, kim jest Liz, wyjaśniłam mu więc, że to właśnie Liz mnie uprzedziła, że skończę w szpitalu dla psychicznie chorych. Wtedy usiadł wygodniej w fotelu, spojrzął na mnie przeciągle i oświadczył:

- Ze wszystkim sobie poradzimy. Poczekaj teraz na korytarzu.

Wyszłam z gabinetu, a on zaprosił do siebie zakonnice.

Szczerze wierzyłam, że ten miły doktor mnie uratuje, że dzięki niemu już nigdy nie będę musiała wrócić do nienawistnej szkoły. Wiedziałam, że ten szpital jest niedaleko od mojego domu, i siedząc w korytarzu wyobrażałam sobie, jaką minę zrobi mama, kiedy nagle pojawię się w drzwiach i powiem, że wróciłam na stałe.

Zakonnica siedziała w gabinecie całe wieki, a gdy stamtąd wyszła, jej oczy rzucały gromy. „Dostałaś za swoje!” - pomyślałam, szybko jednak zostałam sprowadzona na ziemię, gdyż energicznie złapała mnie za rękę i powlokła do samochodu. Przez całą drogę powrotną nie odezwała się ani słowem; ja też siedziałam z tyłu cichutko, wstrząśnięta tym, że po raz kolejny człowiek dorosły zawiódł moje oczekiwania.

Po powrocie do internatu opowiedziałam o wszystkim

Liz.

- Niedługo cię zabiorą - orzekła. Mimo to stwierdziłam wtedy, jak bardzo się cieszę, że opowiedziałam o wszystkim temu lekarzowi, a ona tylko pokiwała głową. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć - skwitowała. Ona już się nauczyła.

Była znacznie starsza ode mnie. Następnego dnia nie zjawiała się na mszy ani nie wyszła na dwór. Zapytałam jedną z zakonnicek, co się z nią stało.

- To nie twoja sprawa, moja panno - usłyszałam w odpowiedzi. Dopytywałam się jednak, kiedy wróci, i wtedy zakonnica mi powiedziała, że Liz pojechała do domu pomóc swojej matce. - Na tym koniec wypytywania - dodała.

Byłam załamana. Straciłam przyjaciółkę i zostałam sama.

Mniej więcej po tygodniu wielebna matka wezwała mnie do siebie i poinformowała:

- Jedziesz do domu. Masz być gotowa za godzinę. Ktoś się po ciebie zgłosi.

Nie posiadałam się ze szczęścia. Natychmiast pobiegłam do dziewczynek, żeby podzielić się z nimi nowiną. Te jednak, zamiast cieszyć się razem ze mną,

wybuchnęły śmiechem:

- Najpewniej zabierają cię do domu wariatów!

Przypomniałam sobie, co mówiła Liz i inne dziewczynki. Byłam przerażona. Dotarło do mnie, że może naprawdę nie jadę do domu. Wpadłam w histerię. Wrzeszczałam, że nie chcę wylądować w wariatkowie. Dziewczynki opowiadały mi wcześniej, że ci, których tam zabierają, są zamykani w celach i nigdy z nich nie wychodzą.

Pamiętam, że kiedy opuszczałam mury szkoły poprawczej, nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. Byłam kompletnie otumaniona ze strachu. Nie pamiętam drogi do szpitala psychiatrycznego. Pamiętam tylko, że kiedy znalazłam się na miejscu, z trzaskiem zamknęły się za mną wielkie drzwi. Miałam dziesięć lat. Ponieważ odważyłam się powiedzieć prawdę o seksualnym wykorzystaniu mnie przez rzekomo świętobliwego księdza, zostałam zamknięta w domu wariatów.

Rozdział czwarty

W szpitalu psychiatrycznym

Zranili mi serce. *

Zabrali wszystko, co miałam.

Śmiech zmienili mi w smutek.

Zniszczyli nadzieję i marzenia.

W zamian dali gorycz i nienawiść.

Każdemu dziecku wszystko będzie policzone, a o każdą rozmowę upomni się piekło.

Tak nam mówiono.

Rozglądałam się po osaczającej mnie zewsząd wielkiej sali, złapana przez złych ludzi w przerażającą sieć kabli łączących mnie z maszyną.

Leżę bezradna. Spoglądam w górę i widzę tych ludzi.

Mały głos wewnątrz próbuje wykrzyczeć: czy wy mnie też widzicie?

Jesteś tylko kolejnym dzieckiem.

Nic ich nie obchodzisz.

Moim drobniutkim ciałem targają wstrząsy, ale nikt nie zwraca uwagi.

A przecież miałam jedenaście lat i niczym się nie różniłam od innych dzieci.

I ciągle wracało pytanie: Dlaczego ja?

Szpital psychiatryczny był instytucją całkowicie inną niż szkoła poprawcza, choć równie przygnębiająca. Składał się z głównego gmachu i kilku mniejszych pawilonów. Każdy z pawilonów znajdował się w parterowym budynku z płaskim dachem, zbudowanym z betonowych płyt w kolorze brudnobiałym.

Samo wewnątrz budynków wystarczyło, żebym poczuła się niespokojna. W

szkole u zakonnic zaczęłam panicznie bać się korytarzy. Widząc długi korytarz, miałam wrażenie, że prowadzi do pomieszczenia, w którym będę albo-bita, albo wykorzystywana seksualnie. Zanim ksiądz zgwałcił mnie po raz pierwszy, próbowałam mu uciec, ale dopadł mnie w korytarzu i zaciągnął do sypialni.

Szłam za pielęgniarką wzdłuż przerażającego korytarza do dziecięcego oddziału szpitala, ściskając plastikową torbę z ubraniami i lalką. Ze strachem patrzyłam na dorosłych ludzi, wrzeszczących wniebogłosy i walących głowami o ściany. Niektórzy stali nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w dal, powtarzając pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Inni coś do mnie krzyczeli i usiłowali mnie złapać, gdy przechodziłam obok. Zbliżyłam się odruchowo do pielęgniarki, ona jednak nie wykonała najmniejszego choćby gestu, by mi dodać odwagi. To z pewnością byli wariaci, przed którymi ostrzegały mnie starsze dziewczynki. Nikt się nimi najwyraźniej nie zajmował, kręcili się więc swobodnie po korytarzu. Przerazała mnie myśl, że zostanę zamknięta razem z nimi.

Zanim doszłyśmy na miejsce, cokolwiek miało to być, natknęłam się na Liz. Jej widok sprawił mi wielką radość.

Była w szpitalu od dnia, gdy zniknęła ze szkoły A więc zakonnica mnie okłamała. Liz nie pojechała do domu, żeby pomagać matce, tylko została przewieziona do szpitala psychiatrycznego. Podczas tego pierwszego spotkania nie miałyśmy sposobności dłużej porozmawiać, ponieważ pielęgniarka pociągnęła mnie za sobą. Ale i tak byłam szczęśliwa, bo w tym okropnym miejscu spotkałam przynajmniej jedną życzliwą osobę.

W końcu dotarłyśmy do dyżurki. Pielęgniarka, która mnie tam doprowadziła, wręczyła koleżance siedzącej za biurkiem jakieś papiery. Kazały mi usiąść w kącie na krześle, a same zaczęły rozmawiać. Siedziałam na tym krześle całe wieki, zanim moja przewodniczka w końcu wstała i wyszła. Ta za biurkiem skończyła coś pisać w notatniku i poprowadziła mnie kolejnym korytarzem do sali z sześcioma chyba łózkami. W każdym razie sala była

mniejsza i o wiele ładniejsza niż sypialnia w szkole u zakonnicek.

Włożyłam te kilka rzeczy, które miałam, do szafki obok łóżka i posłusznie poszłam za pielęgniarką do świetlicy. Kiedy otworzyła drzwi, ze środka dobiegł wręcz ogłuszający hałas.

Najpierw dostrzegłam dzieciaki, które wrzeszczały jak dzikie zwierzęta. To właśnie one tak hałasowały. Bardziej jednak zaniepokoił mnie widok dzieci z nieobecny wyrazem twarzy, wpatrzonych bezmyślnie w ścianę albo siedzących na podłodze i kołyszących się rytmicznie. Niektóre z nich wydawały z siebie dziwne dźwięki, a inne chyba nie mogły w ogóle wydobyć z siebie jakiegokolwiek odgłosu przypominającego ludzką mowę. Nie miałam pojęcia, jak się wobec nich zachować, dlatego z wielką ulgą zauważyłam kilka dziewczynek, które w ostatnim czasie zniknęły ze szkoły poprawczej. Wśród nich była Liz.

- Myślałam, że wszystkie pojechałyście do domu - powiedziałam.

- Pojechało cię do końca! - krzyknęła Mary, śmiejąc się w głos. - Przecież ci mówiłam, że dziewczyny, które się skarżą, bo ksiądz je posuwa, lądują za karę w domu wariatów!

- No tak, mówiłaś - przytaknęłam. - Ale dlaczego zamknęli tu ciebie?

- Powiedzieli, że muszę się leczyć. Że to nienormalne, gdy młoda dziewczyna wygaduje takie rzeczy. Do domu wariatów wysyłają cię tylko wtedy, kiedy mówisz to, czego nie powinnaś nikomu mówić. Uważają, że jesteśmy obłąkane, że jesteśmy dziećmi diabła i grzesznicami, skoro opowiadamy o takich potwornościach.

Byłam wściekła, że to nam, dziewczętom, dzieciom właściwie, wymierza się karę. A przecież zgrzeszył ten świński i obrzydliwy ksiądz, który w dodatku miał czelność mówić nam z ołtarza o nieczystych myślach i uczynkach. Poskarżyłyśmy się na niego, ukarano więc nas, a ksiądz nadal będzie uprawiać swoje brudne praktyki z innymi dziewczynkami, które tak jak my wylądują w domu wariatów, jeśli zdecydują się komukolwiek o tym powiedzieć.

- To one są obłąkane. Wszystkie te pieprzone zakonnice, a nie my. Obłąkane i złe - zawyrokowała Liz, po czym mnie ostrzegła, żebym nie robiła sobie nadziei na lepsze warunki w szpitalu. - Myślisz, że u zakonnice było źle? Tutaj jest tak samo źle, a może nawet jeszcze gorzej.

Zadrżałam na samą myśl o miejscu gorszym od tego, z którego właśnie mnie przywieziono. Po chwili zaczęłam się dopytywać, co jest nie tak z pozostałymi dziećmi w świetlicy.

Wiedziały tyle co ja. Pamiętam, że Mary powiedziała:

- Chyba mają coś nie tak z głową.

Dopiero po kilku latach dowiedziałam się, że pozostałe dzieci nie były obłąkane. Niektóre z nich miały problemy z nauką, a inne cierpiały na autyzm. Zdarzały się wśród nich nadpobudliwe i zupełnie normalne, jak ja, Liz oraz inne dziewczynki ze szkoły zakonnice. Wielu małych pacjentów szpitala pochodziło z patologicznych rodzin, w których często byli zaniedbywani i bici. Dwoje albo troje spośród nich przyłapano na kradzieży słodczy w sklepie.

Jedna z dziewczynek trafiła do szpitala, ponieważ podczas spaceru z matką rzuciła kamieniem w okno wystawowe i stłukła je. Trudno sobie wyobrazić, że za coś takiego można posłać dziecko do domu wariatów. Zaprzyjaźniłam się też z dziewczynką, którą przyjęto do szpitala z powodu depresji.

Ann, bo tak miała na imię, mówiła mi, że wpadła w depresję, ponieważ przez wiele lat ojciec gwałcił i bił ją oraz jej siostry. Wprost nie do wiary, jak wiele dzieci zamykano w szpitalach psychiatrycznych, choć nic im nie dolegało.

Szybko przyzwyczaiałam się do trybu życia w szpitalu.

Każdego ranka wszystkie dzieci z oddziału prowadzono na zajęcia szkolne, ale również i tam niewiele się nauczyłam.

Nauczycielka zbyt była zajęta wbijaniem nam do głów, że jesteśmy głupie. Miała nas gdzieś i najwyraźniej nienawidziła tej pracy. Była żalną osobką, nie potrafiła zapanować nad klasą i pozwalała, by dzieciaki szalały

Nie lubiłam lekcji, bo w klasie panował potworny hałas.

Rozbrykane dzieciaki bez przerwy się kręciły, wrzeszczały na całe gardło i prowadziły między sobą bójki. Oprócz tego - przynajmniej na początku - życie w szpitalu nie wydawało mi się najgorsze. Dawano nam sporo swobody i nie musiałyśmy szorować podłóg ani sprzątać. Nie bito nas pasem i w zasięgu wzroku nie było bez przerwy jakiejś zakonnicy.

To ostatnie stanowiło dla mnie wielką zaletę oddziału szpitalnego. Tak więc, mimo ostrzeżeń starszych dziewczynek, uważałam, że w szpitalu jest świetnie. Dopiero po pewnym czasie miałam się przekonać, jak bezpodstawna była nadzieja, że w moim życiu, dotychczas tak przerażającym i strasznym, nareszcie coś się zmieniło na lepsze.

Co wtorek wieczorem około ósmej wszystkich pacjentów szpitala, młodych i starych, zaganiano do sali koncertowej.

Brzmi to wspaniale, w rzeczywistości jednak sala koncertowa stanowiła miejsce koszmarne. Po brzegi wypełniali ją ludzie chorzy, tacy jak ci, których widziałam tuż po przybyciu do szpitala. Chodzili po całym pomieszczeniu, palili papierosy i głośno ze sobą rozmawiali. Przez kilka pierwszych tygodni bardzo się ich bałam, ale potem do nich przywykłam.

Wśród pacjentek znajdowało się wiele byłych podopiecznych sióstr magdalenek, dla których od dziecka harowały jak niewolnice w pralniach. Od rana do nocy prały i wkładały bieliznę do maglownic. Niektóre przepracowały dla zakonnicy trzydzieści, a nawet czterdzieści lat. Kiedy już nie było z nich żadnego pożytku, wysyłano je do szpitali psychiatrycznych, a tam niektóre osoby z personelu też nieźle dawały im się we znaki.

W sali koncertowej puszczano nam muzykę z radia, a czasem musieliśmy wysłuchiwać kazań różnych ludzi świeckich, którzy przychodzili do szpitala. Nazywaliśmy ich świętymi, bo nie przestawali mówić o Bogu. Wielu z nich odwiedzało nas w bardziej ponurym celu. Pozwalano im 72bxzt wybrane dziecko ze szpitala na cały dzień. Podczas takiej wycieczki dzieci miały

odwiedzić jakieś miłe miejsce, często jednak kończyło się na wykorzystaniu seksualnym w samochodzie albo w mieszkaniu. Mnie kilka razy zabrano na całodniowe wycieczki i także coś takiego mi się przytrafiło. Wiele dzieci padało ofiarą molestowania, ale nie mieliśmy wyboru: wybrane dziecko musiało odbyć całodniową wycieczkę. Zresztą wtedy już doskonale wiedziałam, że protesty i skargi nie mają najmniejszego sensu, bo i tak nikt ich nie wysłucha.

Wystarczyło, że sobie przypominałam, co się ze mną stało, gdy próbowałam opowiedzieć dorosłym, co wyprawiał ze mną ksiądz.

Również personel używał sobie na nas. Zwykle sanitariusze pojawiali się nocą w sypialniach, wsadzali ręce pod kołdry i dotykali nas. Ale nie tylko. Pewnego dnia posłano mnie po coś do sali i jeden z pielęgniarzy wszedł wraz ze mną do środka. Miałam wtedy na rękach i nogach wysypkę, którą leczono. Kazał ją sobie pokazać. Podwinęłam rękawy, a wtedy on powiedział, żebym się rozebrała, bo chce się dobrze przyjrzeć. Kiedy odmówiłam, złapał mnie i próbował zerwać ze mnie sweter. Zaczęłam krzyczeć. Wiedziałam, co chce mi zrobić, bo już wcześniej obmacywał mnie w sali koncertowej.

Kazał mi się zamknąć. Wyrwałam mu się i pobiegłam na swoje łóżko. Tam zwinęłam się w kłębek. Złapał mnie za ramię, a ja dalej krzyczałam. Pojawiła się zaalarmowana przełożona pielęgniarek i zapytała, dlaczego tak się wydzieram.

Wtedy pielęgniarz wyjaśnił, że chciał tylko obejrzeć wysypkę na moich rękach.

- Kazał mi się rozebrać, a ja nie chciałam - powiedziałam i wybuchnęłam płaczem.

- Kazałem jej zdjąć sweter, a ona pomyślała, że chodzi mi o ubranie... Potem zaczęła krzyczeć.

- Chciał zerwać ze mnie ubranie, chciał mnie rozebrać do naga!

- Mam tego dość! - powiedział wtedy i wyszedł z sali.

Przełożona pielęgniarek widać powzięła jednak jakieś podejrzenia, bo

kazała mi trzymać się od niego z daleka.

- Nie każdy, kogo spotykasz na swojej drodze, jest dobrym człowiekiem, Kathy - poinformowała mnie, jakby to nie była jedna z pierwszych rzeczy, których się w życiu nauczyłam.

Po raz pierwszy zapaliłam w sali koncertowej - jeden z mężczyzn dał mi się zaciągnąć fajką. Dym był tak obrzydliwy, że zaczęłam kaszleć, krztusić się i musiałam pobiec do toalety, bo zebrało mi się na wymioty. Można by pomyśleć, że to doświadczenie raz na zawsze oduczyło mnie sięgania po papierosy. Ale nie. Wyłudzałam papierosy od starszych pacjentów, ilekroć nadarzyła się okazja. Chciałam we wszystkim naśladować starsze dziewczynki, a oprócz tego zrobiłabym wszystko, żeby rozproszyć wszechobecną w szpitalu nudę.

Mniej więcej w dwa miesiące po moim przybyciu do szpitala wraz z koleżankami piłyśmy przy stole wieczorną herbatę. Nagle zjawiała się pielęgniarka i na stoliku obok mnie postawiła mały plastikowy kubek.

- Wypij. Wszystko - powiedziała.

- A co to jest? - próbowałam się dowiedzieć.

- To dla twojego dobra. Wypij - odpowiedziała.

Przyłożyłam kubek do ust, ale gęsty syrop był w smaku zbyt okropny, żebym mogła go wypić. Pielęgniarka zmusiła mnie do przełknięcia, przytrzymując mi kubek przy ustach.

Omam nie zwymiotowałam, a obrzydliwą gorycz jeszcze długo czułam w ustach.

Po chwili stałam się senna. Powieki same mi opadały i tak już miało być przez cały czas. Pielęgniarka powiedziała, że to lekarstwo nazywa się largactil. Dostawałam kubek podczas śniadania, kubek do obiadu i kubek wieczorem. Przez cały czas chodziłam otumaniona. Spałam w klasie i w świetlicy, a po korytarzach błąkałam się półprzytomna jak reszta pacjentów. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie; wydawało mi się, że zamiast ciała mam worek kartofli. Poruszałam się jak schorowana staruszka. Najzwyklejsze

czynności, choćby podniesienie filiżanki, wejście do łóżka czy pójście do toalety, przychodziły mi z trudem. Miałam też zaburzenia wzroku. Wszystko odbywało się wolniej niż normalnie.

Czasem musiałam być karmiona, ponieważ nie potrafiłam podnieść łyżki do ust. Całymi dniami kręciłam się bez celu, na wpół martwa. U dziecka był to stan przerażający. W szpitalu psychiatrycznym zasiliłam szeregi starców, powłócząc nogami po korytarzach, zamiast jak normalne dziecko biegać i tryskać energią.

Niedawno zebrałam trochę informacji na temat largactilu. Jest to lek powszechnie używany w leczeniu chorób psychicznych, w tym schizofrenii i manii. Nie cierpiałam na schizofrenię ani nie miałam na żadnym punkcie obsesji, przypuszczam więc, że traktowano mnie jak coś w rodzaju królika doświadczalnego.

Mniej więcej po pięciu miesiącach przyzwyczałam się do syropu: piłam go po prostu jak wodę. Zapewne uodporniłam się trochę na działanie zawartego w nim środka, ponieważ przestałam spać na stojąco. Dobrze było odzyskać trochę energii po tak długim okresie życia na zwolnionych obrotach. Jak tylko poczułam się lepiej, uciekałam na podwórko za świetlicą. Drzwi były zawsze zamknięte, ale razem z dwiema koleżankami wyskakiwałyśmy przez okno, korzystając z każdej okazji. Pielęgniarka zwykle się orientowała, że nas nie ma, nie wyznaczała nam jednak za to specjalnej kary. Do czasu. Pewnego dnia wysłano po nas pielęgniarza. I wtedy zaczęły się prawdziwe katusze. Liz miała rację, kiedy ostrzegała mnie, że życie w szpitalu może się okazać gorsze niż pod kuratelą zakonnic. Liz zawsze miała rację.

Karą za wychodzenie ze świetlicy przez okno było przymusowe leżenie w łóżku przez dwa dni. Pilnowano nas dwadzieścia cztery godziny na dobę i zamiast pić largactilem w syropie, wstrzykiwano go w zastrzykach, dzięki czemu silniej działał. Kiedy w końcu pozwolono nam chodzić na lekcje i do świetlicy, nie zabawiłam w klasie nawet pięciu minut, ponieważ przyszła po

mnie pielęgniarka i zabrała mnie stamtąd. Powiedziała, że chce mnie widzieć doktor psychiatra kierująca oddziałem dziecięcym.

Poszłam do gabinetu, a lekarka nakazała mi wrócić znów do łóżka. Zaczęłam płakać i protestować, potem wybiegłam z gabinetu i wróciłam do klasy. Po chwili zjawily się tam dwie pielęgniarki i siłą wyciągnęły mnie na zewnątrz. Broniłam się, kopiąc i wrzeszcząc co sił. Mimo to zauważyłam, że pozostałe dzieci były przerażone.

Zabrały mnie do dyżurki pielęgniarek i tam zrobiły zastrzyk. Przez kolejne trzy dni nie wstawałam z łóżka. Jak tylko się budziłam, dostawałam następny zastrzyk. Potem pani doktor powiedziała, że teraz pójdę z pielęgniarką na jakieś badanie. Pielęgniarka doprowadziła mnie do pomieszczenia znajdującego się w końcu korytarza i posadziła na krześle.

Oprócz mnie czekało na badanie kilka osób w różnym wieku.

Do gabinetu wwożono na wózkach przeraźliwie krzyczących pacjentów, którym gumowe pasy na udach i klatce piersiowej uniemożliwiały jakikolwiek ruch. Byli i tacy, którzy wchodzili tam sami, przeważnie jednak siłą wciągali ich do środka sanitariusze. Natomiast na zewnątrz wywożono wszystkich na wózku i każdy wyglądał jak zombie. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego, więc trzęsłam się ze strachu.

Wiedziałam, że za drzwiami gabinetu dzieje się coś potwornego. Myślałam, że przeprowadzano im tam jakąś operację.

Znacznie później się okazało, że w gabinecie tym pacjenci byli poddawani wstrząsom elektrycznym.

Byłam tak przerażona tym, co może się za chwilę ze mną stać, że się zsikałam. Najpierw poczułam ciepłą strużkę na udach, a potem na podłodze pojawiła się kałuża. Bardzo się zawstydziłam, za to pielęgniarka wcale się tym nie przejęła. Powiedziała mi, że bym się nie bała, bo przecież to tylko badanie. Kiedy przyszła moja kolej, wprowadziła mnie do gabinetu i kazała położyć się na leżance. Za głową miałam płataninę przewodów i grubego łysawego lekarza

w białym fartuchu i gumowych rękawicach. Włożył mi do ust sporej wielkości gumowy krążek, mówiąc:

- Nie chcemy przecież, żebyś połamała sobie zęby, prawda?

Potem przywiązał mnie do leżanki gumowym paskiem i umieścił na skroniach metalowe tarcze, a następnie zrobił zastrzyk w przedramię i kazał policzyć na głos do dziesięciu. Kiedy doszłam do pięciu, straciłam przytomność. Nie pamiętam nic więcej. Kiedy odzyskałam świadomość, leżałam w łóżku. Obok siedziała ta sama pielęgniarka.

- A nie mówiłam, że to tylko badanie i że nie ma się czego bać? - odezwała się. Dopiero znacznie później usłyszałam, jak starsze dziewczynki rozmawiały o tym pokoju i twierdziły, że zabierają tam pacjentów na elektrowstrząsy

Po terapii byłam tak zmęczona i senna, że przez kilka dni nie podnosiłam się z łóżka. Gdy poczułam się lepiej, pozwolono mi wstać i znów zaczęto podawać sok pomarańczowy, jak nazywałam largactil.

Zaprzyjaźniłam się z jedną starszą dziewczynką, której rodzina mieszkała niedaleko moich rodziców. Leżała w szpitalu od wielu lat, uodporniła się więc na działanie lekarstw.

Chętnie wypijała za mnie porcję syropu, co uważałam za przezabawne. Zawsze wieczorem wszystkie podsuwałyśmy jej nasze plastikowe kubeczki do wypicia, dopóki nie nakrył nas jeden z pielęgniarzy.

Doniósł o tym incydencie lekarce. Za karę na trzy dni kazano nam leżeć w łózkach i znów wstrzykiwano largactil.

Wróciłam do stanu zawieszenia i wszystko wokół zaczęło dziać się na zwolnionych obrotach. Po raz kolejny zmieniono dziewczynkę w przykutą do łóżka staruszkę. Zastrzyki tak bardzo mnie otępiły, że potrzebowałam pomocy, by dojść do toalety. Ciągle zasypiałam i budziłam się przerażona, nie wiedząc, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Kara dobiegła końca i pozwolono mi wstać z łóżka. Znalazłam cudowną

przyjaciółkę. Laura miała jakieś czternaście lat i cierpiała na zaburzenia mowy. Czasem trudno było zrozumieć, co chce powiedzieć, i wtedy bardzo się denerwowała. Najwyraźniej to właśnie nerwy stały się powodem zamknięcia jej w szpitalu psychiatrycznym, bo innych przyczyn nie dostrzegałam.

Dwa razy w tygodniu zabierano nas na spacer. Za oddziałem dziecięcym znajdował się olbrzymi teren, na którym mogliśmy się bawić pod opieką czwórki personelu: dwóch pielęgniarek i dwóch pielęgniarzy. Wcześniej któraś z dziewczynek mi mówiła, że jeden z pielęgniarzy traktuje dzieci jak zwierzęta. Myślałam, że wymyśliła wszystko po to, by mnie nastraszyć. Kiedyś jednak ten właśnie pielęgniarz pilnował nas podczas spaceru. Laura poruszała się powoli i nie dotrzymywała kroku reszcie dzieci. Pielęgniarz odwrócił się do niej i krzyknął:

- No, dawaj szybciej, grubasie!

Okazało się, że Laura nie potrafi iść dość szybko, by go zadowolić, zawrócił więc do niej i związał jej ręce w przegubach własnym paskiem. Trzymając pasek, ciągnął ją za sobą jak psa. Nie przestał nawet, gdy się przewróciła - włókł ją po ziemi aż za wzgórze. Kiedy dotarliśmy do celu, rozwiązał jej ręce i zostawił leżącą na ziemi. Podniosła się zapłakana i całkowicie roztrzęsiona. Po chwili powiedziała, że musi iść do łazienki.

- A idź sobie, gdzie chcesz! Jakoś dziwnie zawsze ci się chce siku, jak tylko wyjdiesz na zewnątrz. A w budynku nigdy - wrzasnął w odpowiedzi, po czym podszedł do niej i zaczął ją walić w brzuch tak mocno, że się w końcu zsikała. W drodze powrotnej znowu ją związał i ciągnął za sobą po trawie; po tym spacerze cała była posiniaczona i podrapana. Ale nikt z personelu szpitala tego nie zauważył. Wielu pracowników wiedziało, jaki on jest, ale bali się go podobnie jak Laura. Uprzykrzał jej życie za każdym razem, kiedy wychodziliśmy na spacer pod jego opieką.

Przypomniały mi się wtedy pierwsze dni w szkole poprawczej. Również i tam zakonnice upatrywały sobie najbardziej bezradne z nas, by je gnębić. Nie

wiem dlaczego, ale właśnie słabość wyzwalała w nich okrucieństwo. Jakby strach, który wyczuwały, pobudzał je do bestialstwa, kazał jeszcze bardziej poniżać i maltretować ofiary. Wywoływało to u prześladowanych ciągle napięcie. Zawsze spodziewaliśmy się najgorszego i zawsze najgorsze nas spotykało.

W końcu Laura się rozchorowała. Codziennie ją odwiedzałam i przez chwilę przy niej siedziałam. Choroba wydawała się poważna, bo Laura była blada, chuda i wyglądała na zmęczoną. Miałam wrażenie, że jej ciało się poddało; ciągle maltretowanie złamało w niej ducha, odebrało chęć do życia. Zapewne to, o czym wiedziałam, stanowiło ledwie część jej szpitalnych tortur.

Któregoś dnia zastałam puste łóżko. Laury nie było. Zapytałam pielęgniarkę, co się z nią stało, i usłyszałam, że zmarła.

Plakałam przez długie tygodnie. Choć pytałam, nigdy mi nie powiedziano, jak do tego doszło. W odpowiedzi słyszałam, że mam o Laurze zapomnieć. Ale nie zapomniałam o niej nigdy. Zawsze będę też pamiętała jej matkę i brata, którzy co miesiąc odwiedzali Laurę w szpitalu. Matka była piękna, tak samo jak Laura, a brat miał czarne kręcone włosy. To zabawne, jak takie szczegóły potrafią utkwąć w pamięci na długie lata. Często myślę o Laurze i cierpieniach, które musiała znosić. Nie mogę pogodzić się z faktem, że nikt jej nie podał ręki. Personel szpitala psychiatrycznego wiedział, jak cierpi, i bez mrugnięcia się na to godził.

Po trzech, może czterech miesiącach pobytu w szpitalu ja także się rozchorowałam. Zawsze miałam - jak mawiała mama - „słaby żołądek”. Doszły do tego teraz ostre bóle i wymioty. Często miałam wysoką temperaturę. Robiono mi różne badania, ale najwyraźniej nikt nie potrafił stwierdzić, co mi dolega. Na kilka tygodni wszystko wracało do normy, po czym pojawiał się kolejny atak. Byłam chuda i drobnej kości, a przez tę chorobę dodatkowo straciłam na wadze. Podawano mi różne lekarstwa, mające powstrzymać te uciążliwe objawy, nic jednak nie pomagało. Teraz już wiem, że z tym

problemem muszę borykać się do końca życia.

Kiedy wreszcie pozwolono mi zobaczyć się z rodziną, wyglądałam chyba wyjątkowo niezdrowo. Ojciec, oczywiście, nie okazał ani odrobiny zainteresowania moim stanem, mama natomiast była zrozpaczona widokiem swojej dziewczynki chudej jak patyk i nafaszerowanej prochami.

- Co się stało z moją przepiękną córeczką? - pytała zrozpaczona. Byłam tak otępiała, że choć widziałam jej smutek i przerażenie, patrzyłam na to jakby z boku; miałam wrażenie, że wszystko to dzieje się z dala ode mnie. Mimo to próbowałam ją uspokoić, powtarzając, że nic mi nie jest; z moich ust jednak wydobywał się niewyraźny bełkot, który mamę jeszcze bardziej przygnębiał.

Po mniej więcej rocznym pobycie w szpitalu od czasu do czasu pozwalano mi spędzić weekend w domu. Uwielbiałam być z mamą, ale moi bracia już się ze mną nie chcieli bawić. Ojciec uprzedził ich, żeby trzymali się ode mnie z daleka, bo jestem obłąkana. Dzieci potrafią być okrutne.

Koledzy na ulicy przeganiali mnie i obrzucali wyzwiskami.

Mama przekonywała, żebym się tym nie przejmowała, ale bardzo mnie to bolało i zaczęłam myśleć, że może faktycznie coś jest ze mną nie tak.

Ponieważ miałam już jedenaście lat, nadeszła pora na bierzmowanie. Dziewczynka z sąsiedztwa nauczyła mnie katechizmu podczas jednego z weekendów. Pamiętam jej słowa, że jestem jak mała papuga, ponieważ wszystko powtarzałam z pamięci po bardzo krótkiej nauce. Do dziś przechowuję fotografię z dnia bierzmowania. Bardzo jej nie lubię, ponieważ krótko wcześniej w szpitalu ścięto mi piękne długie włosy.

Zdjęcie to przypomina mi także o cięgach, które tamtego dnia spuścił mi ojciec. Po uroczystości postanowiłam uciec, ponieważ wiedziałam, że zechcą mnie odesłać z powrotem do szpitala. Ucieczka się nie udała; przeskakując przez płot jednego z sąsiednich domów, wpadłam w kupę gnoju i zniszczyłam nową sukienkę, którą specjalnie z okazji bierzmowania kupiła mi mama. Wróciłam zaraz do domu, a ojciec się na mnie wściekł i dał mi w skórę.

Niedawno brat przypomniał mi święta Bożego Narodzenia, które spędzałam w domu na przepustce ze szpitala. Podobnie jak w szkole poprawczej prowadzonej przez zakonnice, także wtedy na kilka dni zwrócono mi wolność, po czym musiałam wracać w sam środek piekła. Ze względu na całe zło, którego doświadczyłam w szpitalu, za wszelką cenę chciałam zostać w domu. Brat wspominał, jak bardzo był zszokowany, kiedy przybyli po mnie lekarz i pielęgniarka bili mnie, gdy odmówiłam powrotu do szpitala. Kiedy o tym opowiadał, nagle sobie przypomniałam, jak trzymałam się poręczy, a oni tłukli mnie po rękach, chcąc, żebym rozluźniła uchwyt.

Nie wiem dlaczego, akurat we wspomnieniu tego wydarzenia najwyraźniejsze jest linoleum w czerwone i czarne wzory, którym wtedy wyłożone były schody w naszym domu.

Po powrocie do szpitala pogrążyłam się w smutku i prosiłam tylko, by odesłali mnie do domu, do mamy. Podobnie jak innym pacjentom, zamykano mi wtedy usta elektrowstrząsami i silniejszymi dawkami leków uspokajających. Któregoś dnia w świetlicy ogarnęła mnie taka wściekłość, że położyłam się na podłodze i zaczęłam walić nogami w drzwi, zupełnie jak opętana. Także i wtedy nikt nie zadał sobie trudu, by dociec, co mi dolega. Poddano mnie kolejnym elektrowstrząsom i zaaplikowano końskie dawki leków. Byłam tylko dzieckiem, które trzeba za wszelką cenę uciszyć i spacyfikować dostępnymi metodami. Wszystko we mnie płakało, a gdy próbowałam o tym mówić, spotykała mnie kara. Na otwartą ranę sypano tylko sól, która przenikała moje krwawiące ciało i duszę.

Podawano mi codziennie largactil. Dostawałam go tak dużo i przez tak długi czas, że chodziłam całkiem ogłupiała.

Kiedyś podczas całodziennej zabawy na powietrzu doznałam poparzenia słonecznego. Stopy i ramiona bolały nie do wytrzymania. Miałam pęcherze wokół oczu i ust. Wyglądałam, jakby ktoś mnie polał wrzątkiem. Nigdy nie zapomnę tego bólu. Przez wiele dni schodziła mi skóra z rąk i nóg, a rany goiły

się przez następne tygodnie. Lekarz powiedział, że largactil spowodował uczulenie na promienie słoneczne i zabronił mi przebywać na słońcu, kiedy przyjmuję ten lek.

Gdy wydobrzałam, postanowiłam jak najszybciej stamtąd uciec. Nie chciałam spędzić w szpitalu ani minuty dłużej.

Któregoś dnia okno w świetlicy było otwarte. Skorzystałam z okazji. Wyszłam na zewnątrz i co sił w nogach pobiegłam przez plac, a potem ulicą.

Nie oglądałam się za siebie. Nie miałam pojęcia, czy ktoś mnie goni. Chciałam tylko znaleźć się jak najdalej od tamtego koszmarnego miejsca. Było mi wszystko jedno, dokąd trafię. Zdawało mi się, że biegnę bardzo długo. Ale nie uciekłam daleko. Wpadłam do pierwszego napotkanego ogrodu. Rosły tam wysokie drzewa. Weszłam na jedno z nich i z góry obserwowałam przejeżdżające drogą samochody. Dopiero po dłuższym czasie w ogrodzie pojawiła się kobieta. Stała pod drzewem i patrzyła mi prosto w oczy. Uśmiechnęła się, a ja odwzajemniłam uśmiech.

- No i kto by pomyślał, że na drzewie w ogrodzie wyrośnie mi mała dziewczynka? Może zejdziesz stamtąd, to wejdziemy do domu na herbatę i ciasteczka czekoladowe? - zaproponowała.

Poczułam się, jakby to był dzień moich urodzin. Ta kobieta nie tylko chciała mi dać filiżankę herbaty i ciastko z czekoladą, ale najwyraźniej nie miała mi za złe obecności w jej ogrodzie. Kiedy weszliśmy do środka, posadziła mnie przy stole i zabrała się za parzenie herbaty. Po chwili w kuchni zjawily się jeszcze dwie dziewczynki, obydwie trochę chyba starsze ode mnie.

- To moje córki - powiedziała kobieta.

Byłam naprawdę szczęśliwa. Ta dobra kobieta nie tylko wyratowała mnie z opresji i zaprosiła do swego domu, ale też spotkałam u niej dwie koleżanki. Siedziałyśmy, pijąc herbatę.

Nie zapytała mnie ani razu, skąd się wzięłam w jej ogrodzie.

Po podwieczorku pomogłam jej pozmywać naczynia i kobieta wróciła do

pracy, a przynajmniej tak myślałam. Nie zadawałam żadnych pytań ani nic nie mówiłam. Po prostu byłam szczęśliwa, mogąc tam być. Oczywiście nie miałam pojęcia, że podczas gdy zmywałam naczynia, ona zadzwoniła do szpitala po kogoś, kto mógłby mnie od niej zabrać.

Nie wiem, jak się domyśliła, skąd uciekłam, ponieważ ani słowem nie wspomniałam o szpitalu. Może już wcześniej znajdowała w ogrodzie uciekinierów. Pielęgniarka z sanitariuszem przyjechali po mnie małą furgonetką i znów znalazłam się w szpitalu. Na oddziale dziecięcym zbadał mnie psychiatra i zalecił pozostawanie w łóżku. Wiele dni spędziłam ogłupiona lekami, żebym nie próbowała ponownie uciec.

Wróciłam do świata kręcącego się w zwolnionym tempie.

Rozdział piąty

Naćpana po uszy

Moje ciało unosi się bezwładnie, zamknięte w kapsule elektrowstrząsów.

Nocą leżę w łóżku, tak bardzo zmęczona, tak bardzo zużyta.

Próbuję zepchnąć z siebie tego bydlaka.

Jestem dzieckiem, wyczerpanym i słabym, odpływam więc gdzie indziej, żeby tylko zapomnieć.

Jestem rozbita.

Jestem bezradna. Mam dosyć.

Ocieram łzy.

Żałuję, że żyję.

Mam nadzieję, że to już ostatnia chwila.

Że skończy się ból.

Ze skończy się cierpienie.

Po nieudanej ucieczce oprócz largactilu podawali mi całe mnóstwo innych leków. Zapytałam, co to za leki, i usłyszałam, że to tabletki przeciw depresji, które mnie uspokoją i pomogą zasnąć. Miały „złagodzić napięcie”, które odczuwałam.

Tymczasem powodem mojej ucieczki ze szpitala był sposób, w jaki mnie tam traktowano. Nie cierpiałam na żadną chorobę psychiczną i nie działo się ze mną nic złego; to była fizyczna reakcja na psychiczną i seksualną przemoc. Byłam wściekła i wstrząśnięta tym, co mi zrobiono. Przez całe lata wykorzystywano mnie seksualnie, bito, poniewierano, siniaczono i zaniedbywano. A byłam tylko dzieckiem. Karano mnie surowo, choć przecież nie robiłam niczego złego.

Jednego dnia podawano mi leki, które miały mnie ożywić, a drugiego

ordynowano tabletki spowalniające reakcję.

Pigułki wręczano mi niczym innym dzieciom cukierki, choć darmo by szukać w nich słodyczy. Wszystko wokół działało się wolniej, a ja przez cały czas chodziłam zamroczona. Czułam się obolała, jakby skopana przez konia. Bez przerwy byłam zmęczona i nie mogłam się pozbyć wrażenia, że jestem naprawdę chora.

W moim otoczeniu działały się różne rzeczy, ale ja w nich nie mogłam uczestniczyć. Kręcili się dookoła jacyś ludzie, a ja nie potrafiłam nawet wyciągnąć ręki, żeby ich dotknąć.

Przez lekarstwa wydawało mi się, że unoszę się wysoko pod sufitem. Kiedy zasypiałam, w snach pojawiały się demony i słyszałam różne dziwne głosy. Po przebudzeniu paraliżowało mnie zmęczenie. Doprowadziło mnie to do stanu, w którym było mi wszystko jedno, czy żyję, czy umieram.

Ale nawet wtedy sytuacja nie była jeszcze najgorsza. Niektóre pielęgniarki były dla nas miłe, inne okrutne. Pewnego razu na spacerze przewróciłam się i boleśnie stłukłam rękę. Bardzo cierpiałam. Jedna pielęgniarka spytała drugą, co się stało, i usłyszała w odpowiedzi, że upadłam i skręciłam nadgarstek. Kiedy zbierała się do wyjścia z sali, popatrzyła na mnie przez chwilę, po czym zwróciła się do koleżanki ze słowami:

- Szkoda, że sobie tej ręki nie złamała!

Ból i poniżenie przenikały mnie właściwie bez przerwy i zdawały się nie mieć końca.

Widząc za oknem słońce, niebo i drzewa, rozmyślałam, dlaczego nie wolno mi najzwyczajniej się cieszyć, dlaczego nie mogę biegać po zielonych polach, czując ciepło słońca na plecach i widząc niebo nad głową. Dlaczego zawyrokowano, że nie dla mnie zapach lata, dlaczego nie wolno mi cieszyć się słońcem? Marzyłam, żeby swobodnie biegać z rówieśnikami, żeby chwycić Liz za rękę i wzdłuż skrzącego się słonecznymi odblaskami strumienia popędzić z nią dokąds, dokądkolwiek. Uciec od koszmarnego życia. Mojego życia.

Nocą, w ciemności, której nienawidziłam, płakałam za siebie, za Mary i Liz, za zmarłą Laurę i wszystkie samotne dzieci. Dlaczego nie było dla nas miejsca w normalnym świecie? Co złego zrobiliśmy, żeby zasłużyć na tak podle traktowanie? Gdzie była moja mama, moja cudowna mama, którą tak bardzo kochałam? Chciałam znaleźć się w jej ramionach, chciałam, żeby mnie obejmowała i przytulała, chciałam poczuć jej ciepło. Tak bardzo jej potrzebowałam... Ale co z tego, skoro jej ramiona nie mogły mnie przygarnąć? Wiedziałam, że jestem dobrą dziewczynką, że jestem taka, jakiej ona i oni wszyscy chcą. A mimo to zawsze sprawiali, że czułam się zła.

Choć nie chciałam. Naprawdę nie. Nocą, w czarnej jak smoła ciemności czułam na wargach piekącą sól łez.

Pewnego dnia powiedziano nam, że cała grupa dzieci pojedzie na całodniową wycieczkę. Dowiedzieliśmy się o tym mniej więcej z tygodniowym wyprzedzeniem. Przez ten tydzień wszyscy pacjenci starali się zachowywać jak najlepiej, żeby nic nie przeszkodziło im w wyjeździe. Nie mogłam uwierzyć, kiedy usłyszałam, że mają nas zabrać nad morze.

Przecież od wczesnego dzieciństwa marzyłam, żeby tam pojechać. Mama często opowiadała mi o dniu, gdy jako dziecko po raz pierwszy zobaczyła morze. Wiedziałam więc, że to miejsce magiczne, z wielkimi białymi falami, które sięgają aż po horyzont. Mówiła o otwartej przestrzeni, o wolności, gorącym słońcu i morskiej bryzie. Zapewniała, że to najpiękniejsze miejsce, jakie widziała w życiu. Srebrny piasek przy wodzie połyskiwał iskierkami, kiedy się patrzyło w dół.

Cudownie było po nim stąpać boso. Można tam było znaleźć i zabrać do domu przepiękne muszle o najprzeróżniejszych kształtach i kolorach.

Pamiętałam każde słowo mamy i nie mogłam się doczekać tego wyjątkowego dnia, choć nie potrafiłam pozbyć się obawy, czy przypadkiem nie będzie to kolejny podły podstęp. Przecież ojciec także mi obiecał, że jadę razem z nim nad morze, a wylądowałam w szkole poprawczej u zakonnic.

Wreszcie nadeszła tak wyczekiwana sobota i przygotowano nas do wyjazdu nad morze. Wszyscy mieliśmy na sobie bawełniane podkoszulki i krótkie spodenki. Każdemu dano ręcznik i zapasowe ubranie. Ponieważ nie mieliśmy strojów kąpielowych, było to ubranie na zmianę, które mieliśmy założyć w drodze powrotnej. Okazało się, że jadą nie tylko mali pacjenci z oddziału dziecięcego, ale także kilka starszych kobiet i trochę młodzieży. Do opieki nad nami wszystkimi wyznaczono czworo personelu. Oprócz tego był kierowca. Opiekunowie mieli dla nas jedzenie na cały dzień.

Okna w mikrobusie się otwierały, gdy więc dojeżdżaliśmy do morza, podniosłam się z siedzenia, przekręciłam mały czarny guzik i odsunęłam szybę. Cóż za uczucie! Mama miała rację: morska bryza na twarzy to cudowne przeżycie.

Dotarliśmy na miejsce. Wszyscy chcieli natychmiast wyjść na powietrze i pobiec na złocisty piasek. Jednakże sanitariusz nas powstrzymał, każąc ustawić się w szeregu przy mikrobusie.

- Nad morzem zostaniemy tylko pod warunkiem, że wszyscy będą się dobrze zachowywać. Nie róbcie żadnych cyrków! Macie o tym pamiętać.

Zapoznał nas z obowiązującymi zasadami i w końcu pozwolił pobiec nad wodę. Usiadłam na plaży, żeby podobnie jak pozostali zdjąć buty i skarpetki. Upajałam się ciepłym piaskiem, przesypującym się między palcami stóp. Po chwili włożyłam skarpetki do butów i popędziłam do wody. Nie umiałam pływać. Pozostałe dzieci też nie. Wbiegaliśmy więc do wody żeby czekać na dużą falę, a potem uciekaliśmy przed nią z powrotem na piasek. Dwoje opiekunów miało kostiumy kąpielowe i mogło się kąpać, pilnowali nas więc w wodzie.

Pozostała dwójka doglądała tych, którzy siedzieli na plaży.

Z każdym kolejnym zanurzeniem się w morskiej wodzie stawałam się coraz odważniejsza.

- Chodź do mnie, Kathy - zawołała mnie pielęgniarka, oddalona bardziej

niż ja od brzegu. - Nie bój się, chodź!

- Ale ja nie umiem pływać!

- Nie bój się. Pokażę ci, jak się pływa - zachęcała, wciąż jednak byłam pełna obaw i nie chciałam wejść na głębszą wodę. - Będę cię przez cały czas trzymać. Ani przez chwilę cię nie puszcze - obiecała.

- Naprawdę? - dopytywałam się. - Nie puści mnie pani ani przez chwilę? Słowo?

Kiedy po raz kolejny zapewniła, że gwarantuje mi całkowite bezpieczeństwo, zaczęłam brnąć w jej kierunku. Woda sięgała mi do pasa i bardzo się bałam, ale strach szybko minął i zapomniałam o całym świecie, tak świetnie się bawiłam. Trzymała mnie leżącą na wodzie i wytłumaczyła, jak przebierać nogami i machać rękami. Potem uczyła pływać także inne dzieci. Pomagał jej sanitariusz, który był w wodzie razem z nami.

Potem zjedliśmy posiłek i wszyscy zajęli się budowaniem zamków z piasku i kopaniem dołków. Mnie jednak nie interesowało ani jedno, ani drugie. Chciałam wejść znów do morza. Powędrowałam samotnie w kierunku wody. Po kilku minutach ruszył moim śladem pielęgniarz. Trochę się wystraszyłam, ponieważ któregoś nocy wszedł do naszej sali i dotykał mnie pod kołdrą.

- Nie potrzebuję tu pana. Poradzę sobie sama - powiedziałam, nie chcąc zostać z nim sam na sam.

- Muszę cię przecież pilnować. Gdyby coś ci się stało, miałbym straszne kłopoty - odparł. Cofałam się przed nim i z każdą chwilą narastał we mnie strach. Widziałam na plaży pozostałych uczestników wycieczki, jednak nikt z nich nie patrzył w naszym kierunku. Złapał mnie za ramię. Próbowałam się wyrwać, czując, że za chwilę stanie się coś złego. Patrzyłam na niego i powtarzałam w kółko:

- Nie! Nie chcę!

- Krzycz sobie, ile chcesz, ty mała suko! - wycedził, patrząc mi w oczy. - I tak nikt cię nie usłyszy.

Nie potrafiłam mu się wyrwać. Zaczęłam płakać, kiedy ściągnął mi szorty i wsadził do środka swoje wstrętne paluchy, podobnie jak wtedy w sypialni. Bolało mnie to, więc krzyknęłam, że powiem pielęgniarce, co mi tu robił. Wtedy wyjął obydwie ręce z wody, położył mi na ramionach i mocno przycisnął, wpychając mnie pod wodę. Zatkalo mnie z przerażenia i nie zdążyłam złapać oddechu. Było to potworne uczucie.

Napiłam się słonej wody i czułam w uszach ciśnienie znajdującej się nade mną masy. Dusiałam się i chciałam wynurzyć na powierzchnię, ale wciąż czułam ucisk jego dłoni na głowie i ramionach. Machałam rękami, desperacko walcząc o haust powietrza. Dzisiaj wiem, że nie chciał mnie zamordować, ale wtedy byłam przekonana, że taki właśnie ma zamiar.

Podtopił mnie jeszcze kilka razy, po czym wyciągnął nad taflę wody. Kaszlałam, krztusiłam się, cała się trzęsłam.

- To właśnie z tobą zrobię, jeśli piśniesz choć słówko! - powiedział w końcu. - A teraz idź - dodał po chwili.

Został w wodzie, a ja pobiegłam w kierunku plaży. Usiadłam cicho przy pozostałych, nadal cała się trzęsąc.

- No i co, nauczyłaś się pływać? - dopytywała się pielęgniarce, która wcześniej bawiła się ze mną w wodzie.

- Nie - mruknęłam i odwróciłam twarz.

Przez całą drogę powrotną do szpitala siedziałam cicho, wspominając z goryczą wszystkie marzenia, które snułam przed wycieczką. Nie było w nich miejsca na koszmar, który przeżyłam. Pomyślałam wtedy, że już nawet marzyć nie mam prawa.

Po tamtym doświadczeniu zaczęłam panicznie bać się wody. Nigdy potem nie weszłam do morza. Lubię obserwować morskie fale z daleka, w wodzie jednak nawet palca nie zanurzę.

Gdy tylko wróciliśmy do szpitala, zrozumiałam, jak bardzo nienawidzę tego miejsca przesiąkniętego odorem moczu i środków dezynfekujących. Jak

nienawidzę wszystkich tych leków i bicia. Natychmiast też postanowiłam, że znowu spróbuję uciec, mimo dotkliwej kary, którą mi wymierzono. Pewnej soboty w południe wyszłam przez okno w świetlicy i pobiegłam w kierunku bramy. Udałam się do tego samego domu co poprzednio, ale tym razem zamiast wchodzić na drzewo zapukałam do drzwi. Otworzyła jedna z córek tej kobiety.

- Czy mama jest w domu? - zapytałam.

- Tak, wejdź - zaprosiła, po czym w holu pojawiła się jej matka.

- Postanowiłaś nas odwiedzić? - zapytała.

- Tak - odparłam. - I nie mam zamiaru tam wracać. Nie chcę być dłużej zamknięta w domu wariatów.

Usiadłyśmy przy stole w kuchni. Jakże piękna wydała mi się ta kuchnia; piękniejsza od wszystkich miejsc, w których przebywałam w moim krótkim życiu. Bardzo chciałam tam zostać, ale w głębi duszy wiedziałam przecież, że to niemożliwe. Nie powstrzymało mnie to jednak przed marzeniami - ta kobieta była bajkową matką chrzestną, która wyratuje mnie z opresji. I wtedy się odezwała:

- Nie mogę cię tu zatrzymać. Nie pozwolę mi na to. Kiedy zabierali cię poprzednio, przykazali, że jeśli zjawisz się ponownie, mogę cię gościć dopóty, dopóki się nie zjawią. Gdybym nie poinformowała szpitala o twoim pobycie i pozwoliła ci u siebie zostać, wpadłabym w poważne tarapaty Powiadomiliby policję. Dlatego wypijemy razem herbatę, a potem zadzwonię do szpitala.

Tak więc piłyśmy herbatę. Siedziałam z nimi, jak mi się wydawało, długo, ale i tak ludzie ze szpitala zjawili się bardzo szybko. Zastukali do drzwi i kobieta wpuściła ich do środka.

Na ich widok aż podskoczyłam.

- Nie chcę z wami wracać. Nienawidzę tamtego miejsca!

- Musisz z nami wrócić.

- Nie, nie wrócę - odparłam, a wtedy zjawiała się druga pielęgniarka z długim plastikowym etui w ręku. Wiedziałam aż za dobrze, co ukrywa się

wewnątrz niego.

- Nie chcę zastrzyku! - krzyknęłam.

- Dostaniesz zastrzyk, jeśli nie zechcesz sama z nami pojechać - zagroziła pielęgniarka. I wtedy do rozmowy wtrąciła się ta kobieta.

- Bądź grzeczną dziewczynką i wracaj z nimi. Przecież kiedyś znów przyjdiesz do mnie z wizytą. Na pewno da się to zorganizować, prawda, siostrzo?

- Oczywiście, że tak - zapewniła pielęgniarka. - Możemy to zorganizować, pod warunkiem jednak, że teraz wróci z nami do szpitala bez wrzasków i brewerii.

Wtedy postanowiłam, że z nimi pójdę. Wiedziałam, że jeśli będę się dłużej opierała, zrobi mi ogłupiający zastrzyk i wrócę do szpitala, czy będę tego chciała, czy nie. Po powrocie na oddział nic się nie wydarzyło. Poczułam się wspaniale. Wprost nie mogłam uwierzyć, że mi się upiekło. Wieczorem jednak zostałam wezwana do gabinetu przełożonej pielęgniarek.

- O twoim zachowaniu została poinformowana pani doktor - oświadczyła siostra przełożona. - Masz się zjawić u niej pojutrze, jak tylko wróci z urlopu. A tak w ogóle: po co ty stąd uciekasz? Już ci mówiłam, że tylko sobie napytasz biedy! - Siostra przełożona była cudowną, pełną życia i wesołą kobietą. Większość dzieci bardzo ją lubiła. Chciała dla nas jak najlepiej i próbowała przekonać, byśmy wystrzegali się niepotrzebnych kłopotów. - A teraz zmykaj stąd i pamiętaj, żebyś mi więcej nie wyskakiwała przez okno! Nawet o tym nie myśl. Zresztą, kazałam je zabezpieczyć. Jutro rano zabiją je gwoździami, żeby cię więcej nie kusiło.

Powiedziała to z uśmiechem. Wydaje mi się, że doskonale wiedziała, co chodzi mi po głowie. Miałam zamiar uciec po raz kolejny i ona chyba mnie nie potępiła.

Chociaż lubiłam siostrę przełożoną, trudno mi było jej zaufać, ponieważ w szpitalu pracowało wielu złych ludzi. Zawsze sądziłam, że szpital to miejsce,

do którego przyjmuje się ludzi, by ich leczyć. Tymczasem w tym szpitalu pacjentów i niewinne dzieci prześladowano w sposób, który mógł jedynie pogorszyć ich stan, a nie przywrócić im zdrowie. Z pewnością mnie pobyt w szpitalu w niczym nie pomógł.

Minęły dwa dni i nadszedł ów poranek, kiedy pani doktor miała się zjawić w szpitalu po urlopie. Zamartwiałam się przez cały ten czas. Tak bardzo nie chciałam dostawać znów zastrzyków i leżeć bez przerwy w łóżku! Spacerowałam po korytarzu, kiedy ją spostrzegłam. Serce zabiło mi gwałtowniej, po chwili jednak zauważyłam, że przyprowadziła ze sobą swoją małą córeczkę. To była dla mnie niepowtarzalna szansa, że wszystko się ułoży. Co dwa tygodnie pani doktor przyprowadzała ze sobą do szpitala córkę, a ja bawiłam się z nią na huśtawkach. Liczyłam na to, że skoro wzięła ze sobą córeczkę, tym razem nie zostanę ukarana. I uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

Niedługo potem pojechałam do domu na ślub brata. Dotarłam na miejsce w piątek wieczorem i bardzo się zasmuciłam, gdy się okazało, że nie będę sypała kwiatów pod nogi panny młodej na ślubie, który zaplanowany został na następny dzień. Jednak rano poprawił mi się nastrój na widok przepięknej różowej sukienki, którą kupiła mi mama specjalnie na tę okazję. Wpadłam w wir wydarzeń i tego niezwykłego dnia świetnie się bawiłam na przyjęciu weselnym, na którym podawano pyszne posiłki, częstowano wspaniałym tortem, śpiewano i tańczono. Wiedziałam, że w niedzielę wrócę do szpitala, tym razem jednak powrót odbył się bez zwykłego zamieszania. Wciąż bardzo brakowało mi mamy, ale nie łączyło mnie już tak wiele z rodzeństwem. Kiedy przebywałam w domu, tęskniłam za przyjaciółmi ze szpitala. W głowie miałam mętlik i właściwie nigdzie nie czułam się u siebie.

Kiedyś w poniedziałek rano na oddział przyjęto nowego pacjenta. Miał na imię Johnny, dwanaście lat i mnóstwo świetnych pomysłów. Był cudownym towarzyszem. Zaprzyjaźnił się ze mną i z Mary. Trzymaliśmy się razem. Liz i innych znajomych dziewczynek ze szkoły u zakonnic już wtedy w szpitalu nie

było. Zostały gdzieś przeniesione.

Tydzień po przybyciu Johnnycgo lekarka prowadząca poszła na dwutygodniowy urlop. Były też nowe pielęgniarki, które wzięły zastępstwo, ponieważ większość personelu najwyraźniej wyjechała na wakacje albo chorowała. Świetnie się bawiliśmy! Nowe pielęgniarki traktowały nas po ludzku.

Zostawiały otwarte drzwi do świetlicy, mogliśmy więc chodzić tam, kiedy nam się żywnie podobało. Płataliśmy sobie nawzajem różne figle. W pierwszym tygodniu pielęgniarki zabrały nas nawet do pubu w mieście. Postawiły nam lemoniadę i orzeszki. W drugim, i niestety ostatnim, tygodniu ich pracy jedna z pielęgniarek wychodziła za mąż. Zaprosiła nas na swój ślub. W ten sposób ja, Mary i Johnny spędziliśmy w Dublinie cały dzień. Nasza trójka była w pewien sposób faworyzowana przez personel, ponieważ żadne z nas nie przejawiało zaburzeń zachowania, którymi dotknięte były pozostałe dzieci.

Cudownie było czuć, że ci mili ludzie chcą nam zrobić przyjemność. Dostaliśmy mnóstwo czekolady i innych słodyczy. Ze stoisk na Moore Street podwędziliśmy kilka małych torebek cukierków dla dzieci na oddziale. Jednak dwa tygodnie względnej swobody szybko się skończyły i po powrocie stałego personelu wszystko wróciło do obrzydliwej normy

Mały promyczek słońca znów przesłoniły czarne chmury

Jakiś miesiąc, może dwa miesiące później ktoś włamał się do szpitalnego sklepiku. Mały sklepik, w którym starsi pacjenci kupowali papierosy, gazety i słodycze, był otwarty przez godzinę rano i godzinę albo dwie po południu. Dwie pracujące w nim kobiety dawały nam czasem słodycze. Winą za włamanie obarczono mnie i Mary, choć to naprawdę nie my okradliśmy sklepik. Jednak nikt nie chciał nas wysłuchać i poinformowano o wszystkim panią doktor, która natychmiast wezwała nas do siebie.

- Wiem, że to wasza sprawka; nawet nie próbujcie się wypierać. Lepiej od razu się przyznajcie, bo i tak zostaniecie ukarane - oświadczyła. Zapewniałyśmy

ją, że nie mamy z tym nic wspólnego, ale pani doktor nie chciała nas słuchać. Sugerowała też, że Johnny musi mieć z tym włamaniem coś wspólnego, bo znaleziono w jego kieszeni zapalniczki. - A teraz proszę wracać do sali. Zobaczymy, czy będziecie takie harde, gdy przez kilka dni popracujecie w budynku przy bramie.

Zanim jednak wyszliśmy, do gabinetu wszedł Johnny i też usłyszał od pani doktor, że za karę będzie pracował w budynku przy bramie.

- Nie boję się żadnej pracy - odparł.

- Zmienisz zdanie, gdy się dowiesz, co będziesz musiał tam robić - zapewniła go lekarka. - A teraz cała trójka w tył zwrot! I pamiętajcie: przez najbliższych kilka dni macie pracować w budynku przy bramie. Może to was nauczy, że nie wolno kłamać.

Po wyjściu z gabinetu lekarskiego poszliśmy do pralni i rozsiedliśmy się na pralkach.

- Ja uciekam - oświadczyłam.

- Ja też - dorzuciła natychmiast Mary.

Johnny przez chwilę przyglądał się nam uważnie, po czym powiedział:

- A ja z wami nie idę. Uciekajcie sobie same.

- My nie będziemy tam pracować, a ty rób, jak uważasz - odparłam.

- A co niby każą mi tam robić? - dopytywał się. - Szorować coś albo czyścić? Mogę sprzątać. Nie mam nic przeciw temu!

Mary próbowała mu wyjaśnić, że nie ma pojęcia, co mieści się w budynku przy bramie, ale on tylko wzruszył ramionami, jakby chciał dowieść, że jest dużym i twardym mężczyzną. Zaczęła mu więc tłumaczyć wszystko po kolei:

- Zaprowadzą cię do dużego szarego budynku, który wygląda jak stodoła. Pójdzie z tobą sanitariusz, otworzy ci drzwi, a w środku będzie leżeć ktoś stary.

- I co z tego?

- Co z tego? To kostnica - odparła Mary. - Podobałoby ci się, gdybyś

musiał myć i ubierać leżących tam ludzi? Takich, którzy są martwi?

Przez chwilę panowała cisza.

- To, kurwa, idę z wami - oświadczył Johnny.

Przez okno w pralni wyszliśmy na zewnątrz i zaczęliśmy biec przez plac za szpitalem, który miał dobre pół hektara.

Pod płotem usiedliśmy na trawie. Po chwili obie z Mary wybuchnęłyśmy szalonym śmiechem. Tarzałyśmy się po trawie i śmiały do rozpuku na przypomnienie, jak szybko Johnny zmienił zdanie. On pierwszy wyskoczył przez okno.

- Ale jesteście cholery! - odezwał się w końcu Johnny - Wiedziałem, że tylko żartujecie.

- Nie żartujemy - zapewniłam.

- To niby z czego się teraz śmiejecie? - dopytywał się.

- Śmiejemy się z ciebie - wyjaśniła Mary - bo jak ci powiedziałyśmy co jest w budynku przy bramie, od razu wzięłaś nogi za pas.

- To wy, kurwa, nie żartujecie?

- Nie żartujemy. Już raz byłyśmy tam za karę. Kathy posikała się ze strachu. Prawda, Kathy?

- A pewnie - przytaknęłam. - A ty to niby się nie posikałaś? Pamiętam, jak Liz była tam kiedyś z Molly; Molly dostała wtedy szału, dlatego że ją tam zamknęli. Wystraszyła się tak bardzo, że musieli jej zrobić zastrzyk, żeby się uspokoiła.

Ciemny budynek kostnicy stał pod drzewami tuż przy głównej bramie do szpitala. Już sam jego widok sprawiał, że człowiekowi ciarki przechodziły po grzbiecie. W środku były cztery stoły, może pięć, na których układano ciała zmarłych przed wywiezieniem ze szpitala na cmentarz. Kiedyś wysłano nas tam z Mary za karę i kazano umyć ciało starej kobiety. Zostałyśmy wyposażone w wiadro z wodą i ręczniki. Tak bardzo wystraszyłam się tej bladej, zimnej i sztywnej kobiety, że się zsikałam. Zrobiłam to po raz kolejny, kiedy usłyszałam

za sobą trzask stalowych drzwi i szczęk zamka. Sanitariusz zostawił nas same z trupem w środku. Waliłyśmy w drzwi tak mocno i tak długo, że w końcu przyszedł z powrotem.

Przez wiele dni nie mogłam zapomnieć widoku tej martwej kobiety Nigdy przedtem nie widziałam ludzkich zwłok.

Ciągle miałam ją przed oczami: leżała nieruchomo i nie oddychała, a mimo to się obawiałam, że za chwilę zeskoczy ze stołu i zacznie nas gonić. Oczywiście, nie mogła tego zrobić, ale skąd miałam o tym wiedzieć?

Powiedziano nam, że zamknęli jej oczy, kładąc na powiekach monety. Miała tak bladą i tak napiętą skórę, że na ostrych kościach policzkowych wydawała się wręcz przezroczysta. Długie siwe włosy upięte były w kok. Szlachetny wyraz twarzy mówił wszystko o jej charakterze. Wyglądała jak indiańska sąaw z obrazka w jednej z moich książek.

Jednak najbardziej uderzający był ten nienaturalny bezruch.

On po prostu krzyczał.

I tak każdego dnia, kiedy się pomyślało, że w tym szpitalu nie może się już człowiekowi przydarzyć nic gorszego, gdzieś zza rogu wyłaniał się jeszcze potworniejszy koszmar.

Gdy Johnny poznał prawdę o budynku przy bramie głównej, postanowiliśmy iść jak najdalej przed siebie. Przeskoczyliśmy przez płot i maszerowaliśmy drogą. Szliśmy bardzo długo, aż w końcu znużeni usiedliśmy na wysokim murku ciągnącym się wzdłuż drogi szybkiego ruchu, niedaleko przystanku autobusowego. Byliśmy bez reszty pogrążeni w rozmowie, kiedy zatrzymał się przy nas samochód policyjny. Jeden z policjantów wysiadł i podszedł do nas.

- A wy co tu robicie, młodzi ludzie? - zapytał.

- Wracamy do domu - odpowiedziałam, a on zapytał natychmiast, skąd wracamy. - Od mojej ciotki - skłamałam na poczekaniu.

- A jak dostaniecie się do domu? - pytał dalej.

- Autobusem.
- Gdzie mieszkanie?
- W Clondalkin.
- Czy wy przypadkiem skądś nie uciekliście?
- Nie - wszyscy troje odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

- A ja myślę, że jednak tak. Dzwoniono do nas z pobliskiego szpitala, że od dwóch godzin nie mogą się doliczyć trójki dzieci, dwóch dziewczynek i chłopca, w wieku czternastu, trzynastu i dwunastu lat. Myślę, że to chodzi o waszą trójkę. Wsiadajcie do radiowozu! Pojedziemy na posterunek i tam wszystko się wyjaśni.

Wsiedliśmy do samochodu. Facet zawiózł nas na posterunek policji i usadził w dużym pokoju, dając nam herbatę i kanapki. Potem przeszliśmy do gabinetu, w którym siedział duży i gruby mężczyzna.

- Ten pan zajmie się waszą sprawą - oświadczył policjant, po czym wszystkie pytania, które nam wcześniej zadał, padły po raz wtóry. Zaczął od tego, skąd wracamy.

- Od ciotki.
- A dokąd szliście po wyjściu od ciotki?
- Do mnie do domu. Mieszkam w Clondalkin.

- Nie wydaje mi się - zawyrokował. - Jesteście trójką uciekinierów z miejscowego szpitala. Za chwilę przyjedzie tu ktoś stamtąd, żeby was zabrać, równie dobrze możecie więc powiedzieć mi prawdę.

- Tak! Jesteśmy ze szpitala. Uciekliśmy - rzuciłam, rozumiejąc, że zabawa się skończyła. Wtedy zapytał, dlaczego to zrobiliśmy. - Bo dają nam tam zastrzyki i karzą bez powodu.

- Dlaczego to robią? - dopytywał się.
- Nie wiem - odparłam, a wtedy on spojrzał na Mary.
- A robią wam tam jakieś złe rzeczy?
- Jakie rzeczy? - zapytała Mary.

- No, czy was na przykład dotykają? Johnny, dotkają was tam? Albo robią wam jakieś inne rzeczy?

- Tak - odpowiedział Johnny.

- A jak was dotykają?

- Biją mnie.

- A tobie robią jakieś złe rzeczy, Kathy? Może ciebie dotykają?

- O jakie złe rzeczy pan pyta? - odpowiedziałam pytaniem. Doskonale już wiedziałam, o co mu chodzi, bałam się jednak powiedzieć cokolwiek. - Co ma pan na myśli?

- Chodzi mi o to, czy wkładają ci ręce pod ubranie - tłumaczył.

- Nie wkładają - odpowiedziałam aż za szybko. Ilekroć dotychczas komuś powiedziałam prawdę o tym, co mi robiono, sprowadzało to na mnie jeszcze gorsze kłopoty. Uznałam więc, że bezpieczniej będzie skłamać.

- Na pewno?

- Na pewno.

- A więc wszystko jest jasne - oświadczył. - Wkrótce ktoś tu po was przyjedzie.

Zabrano nas do szpitala i od razu wylądowaliśmy w gabinecie lekarskim. Pani doktor już na nas czekała. Johnny dostał takie lanie po udach, że aż się popłakał. Mnie i Mary za karę wpakowała do łóżka. Zabrano nas do małego pokoiku na końcu tego samego korytarza, w którym znajdował się gabinet. Stały w nim dwa łóżka, jedno po lewej i jedno po prawej, a między nimi pod oknem duży fotel. Przez cały czas siedziała w nim nadzorująca nas pielęgniarka. Jeśli któraś z nas potrzebowała iść do toalety, szła razem z nią. Nazywali to oddziałem specjalnym.

Przywiązali mnie do łóżka, żeby zrobić mi zastrzyk. Mary też dostała za swoje. Kiedy obudziliśmy się następnego ranka, byłam tak otumaniona, że nie miałam siły zjeść śniadania.

Dostałyśmy jednak po zastrzyku i pogrążyłyśmy się w nieświadomości aż

do wieczora. Po przebudzeniu znów byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły zjeść kolacji. Trzeciego dnia pozwolono nam wstać, zakazano jednak opuszczania oddziału. Mnie zabrano do pokoju na końcu korytarza, w którym dostałam następną porcję elektrowstrząsów.

Nazajutrz zjawił się nowy lekarz, podobno ordynator oddziału psychiatrycznego szpitala. Musiałam znów przejść do gabinetu zabiegowego; doktor zrobił mi zastrzyk w ramię.

Natychmiast się uspokoiłam i poczułam, jakbym unosiła się w powietrzu. Wszystko działo się w zwolnionym tempie. Zadawał mi pytania, nie pamiętam jednak ani o co pytał, ani co mu odpowiadałam. Za to słyszałam, jak później pielęgniarki rozmawiały między sobą o zastrzyku, który mi zrobił, i użyły nazwy „ketamina”. Niedawno się dowiedziałam, że ketaminę podają koniom weterynarze, gdy chcą je uspokoić. Po wizycie u ordynatora psychiatrii często dostawałam takie właśnie zastrzyki. Czułam się po nich zupełnie bezbronna; wokół mnie działy się różne rzeczy, a ja nie miałam siły, żeby na nie w jakikolwiek sposób zareagować. Chyba wstrzykiwali mi to świństwo, żeby sprawdzić, jaki wywiera wpływ.

Poddano mnie po raz kolejny terapii elektrowstrząsowej, z niewyjaśnionych jednak powodów przed zabiegiem nie dostałam już zastrzyku ze środkiem usypiającym. Wstrząs elektryczny był potwornie bolesny; czułam się tak, jakby przez całe moje ciało przebiegł piorun. Rzuciło mną po całym stole, trzęsłam się i krzyczałam. Krztusiłam się kawałem gumy, który wsadzali mi w usta, a w tym samym czasie doktor powtarzał swoją kwestię: „A teraz przygrzyź. Przecież nie chcemy, żebyś połamiała sobie zęby, prawda?”.

Przeszłam kilka takich zabiegów, dopóki jedna z pielęgniarek nie zrobiła lekarzowi karczemnej awantury. Słyszałam, jak na niego wrzeszczy:

- Co pan wyprawia! Ona nie powinna w ogóle znaleźć się w tym pokoju! To jeszcze dziecko! Jeśli kiedykolwiek ją tu zobaczę, napiszę na pana raport.

Wyprowadziła mnie stamtąd i zawiozła do mojej sali, byłam jednak w

bardzo kiepskim stanie. Gdy próbowałam wstać, trzęsły mi się nogi i moczyłam się ze strachu. Po awanturze, która zrobiła ta pielęgniarka, nigdy więcej nie zaaplikowano mi elektrowstrząsów. Szczęśliwie po kilku dniach wydobrałam. Razem z Mary i Johnnym mogliśmy znowu się wygłupiać. Inni pacjenci poddawani terapii elektrowstrząsowej nie mieli tyle szczęścia.

Niektórzy pracownicy szpitala byli dla nas dobrzy, zwłaszcza panie z kuchni. Jednak szczególne miejsce w moim sercu przeznaczyłam dla kobiety, która wieczorami pełniła dyżury w centrali telefonicznej. Kiedy pracownice z dziennej zmiany szły do domu, przychodziłam do recepcji znajdującej się w głównym budynku, żeby z nią porozmawiać. Najwspanialsze jednak było to, że znała numer do budki telefonicznej

I stojącej naprzeciwko mojego domu i dzwoniła tam tak długo, aż któryś z przechodniów nie podniósł słuchawki. Prosiłyśmy wtedy tego kogoś, żeby przeszedł na drugą stronę ulicy i poprosił do telefonu moją mamę. Dzięki temu mogłam z nią rozmawiać. Pytała mnie, jak się czuję i czy jestem grzeczna.

Mówiłam jej, jak bardzo za nią tęsknię i że bardzo chcę wrócić do domu. Wspominając to dzisiaj, rozumiem doskonale, że moje wyznania tylko raniły jej serce, wtedy jednak możliwość porozmawiania z mamą zastępowała mi cały świat.

Po odłożeniu słuchawki zawsze ogarniał mnie smutek, a pani telefonistka starała się go rozproszyć. Pozwalała mi usiąść na swoim miejscu i pobawić się sznurami i przełącznikami centrali. Kilka razy narobiłyśmy sobie kłopotów, ponieważ przypadkiem rozłączyłam jakąś rozmowę, ona jednak zawsze brała winę na siebie, twierdząc, że się pomyliła.

Powtarzała mi ciągle, że jestem zbyt blada i chuda:

- Jak ty wyglądasz?! Któregoś dnia zabiorę cię do siebie i trochę podtuczę, zobaczysz! - przyrzekała często.

Również niektóre pielęgniarki były dla nas dobre, najważniejsze jednak w tym ponurym miejscu były dla mnie kontakty z rówieśnikami.

Któregoś razu Mary, Johnny i ja znaleźliśmy na podwórzu śliczne małe kocięta. Chodziły już, ale były jeszcze naprawdę maleńkie. Bardzo nam się podobały. Wzięłam jedno kocię na ręce i od razu wiedziałam, że zabiorę je ze sobą do sali. Miało szaro-białe futerko, mięciutkie jak puszek. Dałam mu na imię Lady, choć tak naprawdę nie miałam zielonego pojęcia, czy to kot, czy kotka.

Gdy przyszła pora zakończenia spaceru, schowałam Lady pod kurtkę i przemycałam na oddział. Leżałam wtedy w sali z czterema innymi dziewczynkami i wszystkie chciałyśmy ją głaskać. Umościłam Lady posłanie na swoim swetrze w szafce przy łóżku. Przyniosłyśmy jej mleko z kuchni.

Jedna z dziewczynek położyła obok niej swojego pluszowego misia, po czym położyłyśmy się spać.

Następnego ranka od razu zajrzałyśmy do Lady. Jeszcze smacznie spała. Zostawiłyśmy ją w szafce do śniadania. Po powrocie ze stołówki natychmiast wypuściłyśmy ją na zewnątrz. Zaczęła miauczeć. Dostała mleko i za jakiś czas z powrotem wylądowała w szafce. Wszystko szło świetnie, ale trzeciego dnia pod wieczór w sali zjawiała się pielęgniarka.

- Która z was trzyma tu kota?

- Nie ma tutaj żadnego kota - odparłam.

- Nie kłam. Wiem, że jest. Zaraz mi go oddaj!

Otworzyłam szafkę, wzięłam Lady na ręce i przytuliłam do piersi.

- Nie oddam jej nikomu! Jest moja! - krzyczałam. Pielęgniarka próbowała mi ją wyrwać, ale nie pozwoliłam na to.

- Dobrze! Znów sobie narobiłaś kłopotów - oświadczyła i wyszła z sali. Mniej więcej godzinę później wróciła z jakąś lekarką, której nigdy wcześniej nie widziałam na oczu Pielęgniarki zawsze uciekały się do pomocy lekarzy, jeśli wyniknęły jakieś problemy z pacjentami. Usiadłam na łóżku, tuląc do piersi moje kociątko, w końcu jednak mi je odebrały. Potem dostałam zastrzyk z jakimś środkiem nasennym.

Nigdy już nie zobaczyłam Lady i nie mam pojęcia, co z nią zrobiły.

Ponieważ wszystkie brałyśmy udział w tym przestępstwie, wszystkie zostałyśmy ukarane. Jak zwykle karą była praca w budynku przy bramie. Jedenastoletnie dzieci myjące w kostnicy ludzkie zwłoki!

Kiedyś posłano nas z Mary do kostnicy, w której akurat nikt nie leżał; bardzo byłyśmy rozradowane. Po jakimś czasie dołączył do nas Johnny i zaczęliśmy się wygłupiać.

- Gdyby tego ohydneho budynku nie było, nie musielibyśmy tu przychodzić - stwierdził nagle Johnny.

- Nie musielibyśmy? - zapytałam.

- Ale on tu jest - skwitowała ponuro Mary.

- Więc go spalmy - rzucił Johnny. - Mam zapalki.

Uznaliśmy, że to świetny pomysł. Na skraju dachu znajdowało się opustoszałe ptasie gniazdo. Johnny wspiął się po rynnie, by je podpalić. Nie buchnęło otwartym ogniem, tylko się tliło i okropnie dymiło. Po chwili jednak zapaliła się deska gontowa i wtedy zrobiło się jeszcze więcej dymu i pojawiły płomienie.

Natychmiast przybiegły pielęgniarki, które wezwały ochroniarzy do ugaszenia ognia. Pożar nie był duży i wbrew naszym zamiarom budynek nie spłonął. Zabrano nas na oddział i zmuszono, byśmy się przyznali do podpalenia. I tak wiedzieli, że to my, bo oprócz nas nie było tam żywej duszy

Kiedy się przyznaliśmy, z początku nie zareagowali. Odesłali nas do świetlicy na resztę popołudnia, a potem zjedliśmy kolację. Mniej więcej o ósmej wieczorem kazano nam stawić się w gabinecie lekarskim.

Czekała na nas lekarka i jedna z pielęgniarek.

- Pojedziesz tam, gdzie nauczą cię wreszcie robić to, co ci się każe - lekarka zwróciła się surowo najpierw do Johnnynego.

- A wy dwie wróćcie na razie do świetlicy. Zajmę się wami później.

Wyszliśmy, a Johnny chciał iść za nami; lekarka jednak kazała mu zostać

w gabinecie.

- Ty nigdzie teraz nie pójdziesz - powiedziała stanowczo. - Zostaniesz tutaj aż do wyjazdu.

Myślałyśmy, że ona żartuje i że jak zwykle skończy się na zastrzyku i leżeniu w łóżku. Jednak po jakimś czasie usłyszałyśmy Johnnyego, jak przeraźliwie wrzeszczy, wzywając ratunku. Pobiegłyśmy sprawdzić, co się dzieje. Dwóch mężczyzn ciągnęło go korytarzem. Bronił się, jak umiał, młóćąc powietrze rękami i nogami. Zaczęłam krzyczeć, żeby go zostawili, że naprawdę przepraszamy za wszystko i że nie chcieliśmy zrobić nic złego, ale moje błagania na nic się zdały.

Wyciągnęli Johnnyego na zewnątrz i wsadzili do furgonetki. Krzyczał coś przez łzy, machał rękami do mnie i do Mary

Stałyśmy w drzwiach, obserwując, jak samochód toczy się w kierunku bramy. Ani Mary, ani ja nigdy więcej nie zobaczyłyśmy Johnnyego. Nie udało nam się też dowiedzieć, dokąd go wtedy zabrano i jak potoczyły się jego dalsze losy.

Dwa dni później lekarka oświadczyła, że Mary wyjeżdża na cały dzień ze szpitala. Tego samego popołudnia moja przyjaciółka wyszła z oddziału pod opieką pielęgniarki i nigdy już nie wróciła. Zapytałam lekarkę, co się z nią stało.

- Poszła tam, gdzie nauczają ją robić, co jej się każe - usłyszałam jak zwykle w odpowiedzi. Byłam załamana; bardzo brakowało mi Mary i Johnnyego. Bez nich czułam się jeszcze bardziej samotna.

Minął tydzień. W końcu przyszła pora na mnie. Pani doktor poinformowała mnie w gabinecie, że zostanę wysłana do nowej szkoły. Choć nienawidziłam tego miejsca z całej duszy, bałam się, że mogę wylądować w jeszcze gorszym. Nie miałam jednak wyboru. Poszłam do sali i do plastikowej torby spakowałam swój niewielki dobytek.

Jedna z miłszych pielęgniarek na naszym oddziale pojechała ze mną taksówką, która czekała przed bramą szpitala.

Wsiadałam do auta, ściskając w dłoniach czarną plastikową torbę.

Rozdział szósty

Niewolnica w pralni sióstr magdalenek

Buty.

Zbliżającą się zakonnice rozpoznaję po butach.

Słyszę, jak nadchodzi długim korytarzem, żeby wypędzić z nas wszystkie grzechy.

Szczęk.

Paciorków długiego różańca wiszącego u boku.

Krzyk.

Upadłe kobiety! Grzesznice!

Grzesznice!

Uderzenie.

Pięścią w nasze drobne twarze.

I zakonnice.

Całe wieki zajęła podróż długą aleją prowadzącą do kolejnego już w moim życiu zakładu opiekuńczego. Z przerażeniem myślałam, co też mnie czeka tym razem. Kuląc się ze strachu na tylnym siedzeniu taksówki, przysuwałam się coraz bliżej do towarzyszącej mi pielęgniarce, aż w końcu roześmiała się głośno i powiedziała:

- Zaraz wejdiesz mi na głowę!

Próbowała dodać mi otuchy, zapewniając, że wszystko się na pewno ułoży, miałam jednak przeczucie, że nic dobrego mnie nie czeka.

Pierwszym, co zauważyłam obok klasztoru, była stojąca po lewej stronie przepiękna figura Matki Boskiej. Nad nią górował kościół - duży gmach z czerwonej cegły z wielkimi kratami w oknach. Kraty zainstalowano także w budynku, który miał być moim nowym „domem”. Przywodziło to na myśl

poprawczak prowadzony przez zakonnice i poczułam ciarki na plecach.

Wysiadłyśmy z taksówki. Na powitanie wyszła nam zakonnica. Pielęgniarka wręczyła jej moje dokumenty medyczne z oddziału dziecięcego, po czym obróciła się do mnie, żeby powiedzieć mi do widzenia. Widać było, że spodziewa się z mojej strony jakiejś straszliwej awantury i protestów przeciw zostawianiu mnie w tym miejscu, zdążyłam się jednak już wtedy nauczyć, że stawianie oporu i podejmowanie walki nie mają najmniejszego sensu. Wydawała się prawie zawiedziona, że mała dziewczynka, która biegła za nią po szpitalu, zebrząc o chwilę uwagi, teraz po prostu odwróciła się na pięcie i odeszła bez okazania choćby odrobiny sympatii.

Pewnie dlatego spytała, czy jej nie uściskam, zanim się rozstaniemy. Zmierzyłam ją tylko spojrzeniem i bez słowa podążyłam za zakonnica. Dla mnie pielęgniarka była już tylko kolejną pozycją na długiej liście osób dorosłych, które zawiodły moje oczekiwania.

Przeszłyśmy przez wielkie drzwi. Znajdujący się za nimi olbrzymi korytarz wydawał się nie mieć końca. Zakonnica doprowadziła mnie do ogromnego gabinetu, w którym czekała wielebna matka przełożona, wpuściła mnie przez drzwi i wyszła. Wielebna matka miała srogą i poważną twarz. Omiotła mnie wzgardliwym spojrzeniem od góry do dołu, jakbym była czymś, co przyczepiło jej się do podeszwy buta.

- Przysłano cię tutaj, ponieważ nadal nie zachowujesz się jak należy - powiedziała zaraz na wstępie. - Jesteś tu, żeby pracować, i będziesz pracować. W szpitalu mogłaś uważać, że wyprowadzisz wszystkich w pole i twoje będzie na wierzchu. Zapamiętaj jednak sobie, że stąd prędko się nie wydostaniesz.

Do dziś pamiętam jej tubalny głos, który przypominał grzmot. Na kilka dni przed opuszczeniem szpitala odstawiono mi wszystkie lekarstwa. Nie przyjmowałam niczego.

Po całym okresie ogłupiania lekami miałam uczucie, jakbym wynurzyła się z gęstej mgły. Wszystko wokół zaczęło toczyć się żwawiej i było

barwniejsze; miałam też wrażenie, że nagle pokrętko głośności ustawiono na maksimum. Dlatego z wielką ulgą powitałam koniec jej kazania i możliwość ucieczki przed tym okropnym głosem.

Zabrano mnie do pomieszczenia, w którym siedziała młoda kobieta, najwyżej dwudziestokilkuletnia. Była piękna i miała śliczne długie włosy.

- To Jessica - odezwała się zakonnica. - Zajmie się twoimi włosami. Nie chcemy tu żadnych insektów.

- Nie mam brudnych włosów - powiedziałam.

- Już my to sprawdzimy - odparła.

Usiadłam na krześle, a Jessica wyjęła jakiś duży metalicznie połyskujący przedmiot, który przypominał grzebień.

I rzeczywiście, był to metalowy bardzo gęsty grzebień. Zaczęła rozczesywać nim moje włosy, a ja myślałam, że odrywa mi skórę od głowy. Krzyczałam z bólu, ale zakonnica powiedziała, że wszystkie dziewczęta pojawiające się w klasztorze muszą mieć w ten sposób wyczesane włosy. Jessica kontynuowała więc pracę, a kiedy skończyła, czułam się, jakby mi wylała na głowę wrzątek.

Po tym zabiegu kazano mi zanieść rzeczy do olbrzymiej sypialni. Tam musiałam nałożyć zgrzebny fartuch.

- Będiesz pracować w pralni razem z innymi dziewczętami. Ale zanim tam pójdziesz, zanieś to wiadro z wodą do budynku szkolnego po drugiej stronie podwórza i postaw je przy drzwiach - poleciła mi zakonnica.

Zaniosłam ciężkie wiadro we wskazane miejsce. Drzwi prowadziły do pomieszczenia najwyraźniej będącego salą lekcyjną, a ponieważ były otwarte, zerknęłam ciekawie do środka. W ławkach siedziało wiele dziewcząt. Omal nie wyskoczyły mi z orbit oczy kiedy w jednej z uczennic rozpoznałam Mary. Poczulałam w sercu wielką radość, bo już myślałam, że rozdzielono nas na zawsze. Fakt, że będę tu miała sojuszniczkę, dodał mi pewności siebie i odważniej ruszyłam na spotkanie tego, co mnie czekało.

Zakonnica zaprowadziła mnie do budynku wyglądającego jak wielka szopa. Kiedy otworzyła drzwi, natychmiast ogarnął mnie ogłuszający huk maszynerii. Dobiegał spod gęstych kłębow pary, które unosiły się w całym pomieszczeniu.

Śmierdziało w nim chemikaliami, detergentami oraz potem; było też piekielnie gorąco. Nigdy wcześniej nie przebywałam w tak bardzo rozgrzanym pomieszczeniu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam pralnię magdalenek. Miałam dwanaście lat, kiedy wprowadzono mnie do tego piekła. Polecono mi dołączyć do grupy dziewcząt składających prześcieradła.

Ponieważ nie wolno nam było rozmawiać, po prostu zajęłam wskazane miejsce i starałam się naśladować ruchy pracujących koleżanek. Rozglądałam się przy tym w poszukiwaniu znajomych twarzy ze szkoły u zakonnice albo ze szpitala psychiatrycznego. Ponieważ nie zobaczyłam żadnej koleżanki, skupiłam się na pracujących koło mnie, próbując je rozgryźć. Był to mój trzeci zakład opiekuńczy, doskonale więc wiedziałam, że przynajmniej niektóre z nich zechcą mi pokazać moje miejsce w szyku, zaczną mną rządzić i czepiać się. Teraz już spływało to po mnie jak woda po gęsi. Potrafiłam się skutecznie bronić przed agresją dziewcząt. Oczywiście, z zakonnicami było trudniej.

W pralni panował bezlitosny reżim. Każdego ranka pod bramę podjeżdżały furgonetki z brudną bielizną, często poplamioną ekskrementami i krwią. Przywożono ją z więzień, szpitali, domów opieki i tym podobnych miejsc. Po rozładowaniu brudy lądowały w pralni, a przetrzymywane przez zakonnice kobiety prały je, maglowały i składały. Wszystko musiało być gotowe na wieczór, bo wtedy furgonetki przyjeżdżały po odbiór czystej bielizny.

Pracowałyśmy ciężko. Nigdy w życiu nie widziałam tylu prześcieradeł. Przez cały dzień musiałyśmy pracować, wywabiać plamy i płukać. Te z nas, które zajmowały się praniem, pod koniec dnia miały ręce popalone od wybielaczy dodawanych do wody. Wiele dziewcząt dostawało wysypki i świądu od kontaktu z zabrudzoną pościelą.

W pralni nadzorowało nas kilka zakonnicy; musiały być dobierane specjalnie do tego zadania, bo wszystkie były bardzo agresywne oraz całkowicie pozbawione litości i innych ludzkich uczuć. Jeśli którakolwiek z nas zachowała się nie tak, jak sobie życzyły, na przykład odezwała do koleżanki albo głośno roześmiała, dostawała od dyżurującej zakonnicy okrutne lanie skórzanym pasem. Między jednymi a drugimi ciągami kazały nam się modlić. Miałyśmy przez cały czas prosić Boga, by darował nam nasze grzechy. Na zawsze wryła mi się w pamięć Modlitwa do Pana Naszego Jezusa Chrystusa, którą musiałyśmy powtarzać w kółko:

Litościwy Panie fezu, wybacz nam grzechy nasze, wybaw nas od piekielnego ognia, przyjmij wszystkie dusze do nieba, a pomoc swą okaż zwłaszcza tym, co Twojej łaski potrzebują najbardziej.

Po pierwszym dniu w pralni padłam na łóżko wyczerpana bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zrozumiałam, że praca tutaj jest cięższa niż wszystko, do czego zmuszano nas w szkole poprawczej. Bolał mnie każdy miesiąc. Jediną chyba korzyścią z całego tego dnia był fakt, że potworne zmęczenie nie pozwoliło mi ani przez chwilę zastanawiać się nad okrucieństwem losu. Natychmiast zapadłam w głęboki sen. Następnego ranka miałam przed sobą perspektywę kolejnego dnia niewolniczej pracy. Zerwano nas z łóżek wcześniej; o szóstej trzydzieści poprowadzono na mszę. Potem dostałyśmy po łyżce brei na śniadanie i wysłano nas na katorgę - dwanaście godzin pracy w pralni, w której było gorąco jak w piekle.

Jedząc tamtego ranka śniadanie, uświadomiłam sobie nagle, że nigdzie wokół nie zauważyłam Mary. Nie było jej poprzedniego wieczoru na obiedzie ani rano na mszy. Okazało się, że trzymają ją w innym budynku, tak zwanym centrum szkoleniowym. W tym samym kompleksie budynków, zajmującym spory kawał terenu, mieścił się sierociniec. Nie wiem, czym kierowały się zakonnice, podejmując decyzje o przydziale powierzonych ich opiece dziewcząt. Wtedy jednak pomyślałam, że trafiłam do pralni dlatego, że byłam

wyjatkowo zła i brudna. Promyk nadziei, którego przeblysłk ujrzałam na widok Mary, szybko zgasł. Pogodziłam się z harówką, która najwyraźniej miała być moim przeznaczeniem.

Kilka dni później kazano mi przynieść coś z centrum szkoleniowego. Natychmiast dostrzegłam w tym szansę. Weszłam do sali lekcyjnej i powiedziałam prowadzącej zajęcia zakonnicy, że jedna z sióstr wzywa do siebie Mary. Pozwoliła jej wyjść, zapowiadając, że ma wracać natychmiast po zakończeniu rozmowy.

Na mój widok Mary zrobiła wielkie oczy, nie odezwała się jednak ani słowem, dopóki nie znalazłyśmy się w bezpiecznej odległości od sali lekcyjnej. Wtedy wyściskałyśmy się z okrzykami radości.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytała.

- Pielęgniarka mnie przywiozła. Taksówką - odpowiedziałam szybko. - Johnny też tu jest?

- Ty chyba zgłupiałaś! - odpowiedziała ze śmiechem. - To nie szpital! To miejsce nazywa się przytułkiem i są tu tylko kobiety. Chodź! Wiem, którą możemy uciec.

Przebiegłyśmy przez podwórze, ominęły główny budynek i pobiegły aleją. Pod murem leżała kupa gruzu. Wspięłyśmy się na nią i przeskoczyły na drugą stronę ogrodzenia.

Później biegłyśmy jak oszalałe, aż zabrakło nam tchu. Niebawem dogonił nas samochód. W środku siedzieli zakonnica i policjant. Znów puściłyśmy się biegiem, ale oni podążali krok w krok za nami.

Wpadłyśmy do jakiegoś warsztatu samochodowego i tam wczółgałyśmy się pod samochód. Leżałyśmy na brzuchu przez kilka minut, starając się nie czynić najmniejszego nawet hałasu. Nagle usłyszałyśmy, jak zakonnica mówi:

- Są tutaj. Widziałam, jak wbiegały.

Widziałyśmy tylko dół jej wielkiego czarnego habitu i czarne buty.

Ledwo powstrzymałyśmy śmiech i byłyśmy przekonane, że udało nam się

wystrychnąć ich na dudka, po chwili jednak zobaczyłyśmy twarz policjanta, który przyklęknął i oparł się na łokciach, zaglądając pod samochód. Nie zauważyłyśmy - śmy, że w biurze warsztatu pracowała jakaś młoda kobieta; na pewno ona wskazała im naszą kryjówkę.

- Chodźcie no, obydwie! - rozkazał, po czym zwrócił się do zakonnicy: - Ma siostra rację, są tutaj.

- Wiedziałam, że je znajdziemy - odparła.

Przez chwilę jeszcze siedziałyśmy pod samochodem, ignorując rozkazy policjanta. W końcu jednak musiałyśmy wyjść, bo zaczęła się na nas wydierać zakonnica. Wyczołgałyśmy się spod samochodu. Zobaczyłyśmy jej czerwoną z wściekłości twarz. Próbowaliśmy jeszcze szukać jakiejś drogi ucieczki, zaraz jednak pojawił się w warsztacie drugi policjant i zamknął drzwi wejściowe.

Nie miałyśmy którejdy zbiec. Mimo to ganiłi nas po całym pomieszczeniu, zanim dopadli; w końcu policjant złapał mnie za rękę, a zakonnica dopadła Mary Wywleki nas z budynku i wepchnęli do samochodu. Po krótkiej podróży znalazłyśmy się z powrotem w pralni. Dostałyśmy porządną burę i solidne lanie. Zakonnice zapowiedziały, że jeśli jeszcze raz spróbujemy uciec, to nigdy już się stamtąd nie wydostaniemy. Kilka dni później Mary skierowano do pracy w pralni. Widocznie zakonnice doszły do wniosku, że jest tak samo zła jak ja. Znow byłyśmy razem.

Zakonnice uważały swoje podopieczne za najgorsze męty i szumowiny na tym ziemskim padole, za grzesznice niezasługujące na odkupienie win, kobiety upadłe, zmierzające prosto do piekielnego ognia drogą wypełnioną przede wszystkim brudną i katorzniczą pracą. Jedna ze starszych kobiet, od lat harująca jako praczka, stwierdziła kiedyś, że sam diabeł nie wymyśliłby piekła gorszego niż pralnia magdalenek.

Urabiałyśmy sobie ręce po łokcie. Byłyśmy przez cały czas pod ścisłym nadzorem zakonnicy, które próbowały pilnować, byśmy się między sobą nie kontaktowały. Podczas posiłków i w sypialni musiałyśmy zachowywać

całkowite milczenie. Nakaz ten był nie do zniesienia. Zakonnice powtarzały ciągle, że milczenie pomoże dobrym pokutnicom stać się jeszcze lepszymi, natomiast złe odciągnie od grzechu. W rzeczywistości jednak nakaz milczenia był to jeszcze jeden sposób na okazanie ich władzy nad nami, narzędzie utrudniające nam nawiązanie przyjaźni, która pozwoliłaby jakoś przetrwać w tym surowym reżimie. Stosowana przez zakonnice polityka izolacji zdawała egzamin, ponieważ im bardziej czułyśmy się osamotnione, tym byłyśmy słabsze i bardziej bezbronne.

Zakonnice bez litości stosowały okrutne kary. Jedną z nich zawsze nosiła przy sobie gumę grubości rowerowej dętki, którą nas okładała. Pewnego razu chciała mnie zbić za nieposłuszeństwo, a ja postanowiłam uciec przed karą. Wybiegłam na korytarz, ale upadłam, potykając się na zakręcie. Tak niefortunnie, że aż mi coś w środku zachręściło. Bardzo bolało, zakonnica jednak nawet słuchać nie chciała, że naprawdę zrobiłam sobie krzywdę. Odesłała mnie do pracy. Ból się nasilał. Tylko nocą znajdowałam odrobinę ulgi, leżąc na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Minął tydzień i nadal nie mogłam się wyprostować, w końcu więc zawiozły mnie do lekarza, który stwierdził pęknięcie kości miednicy. Przeleżałam w szpitalu trzy dni, po czym dano mi kule i odesłano do pralni, a tam kazano przystąpić od razu do pracy.

Prawie nie używałam kul, ponieważ było mi z nimi niewygodnie, a niektórych obowiązków praczki w ogóle nie dało się wykonać, wspierając się na nich.

Zakonnice nie tylko zmuszały nas do katorżniczej pracy

Starły się też stłamsić w nas wszelkie poczucie godności, powtarzając ciągle, że jesteśmy bezwartościowymi i skazanymi na potępienie grzesznicami. Wmawiały nam, że zostałyśmy odrzucone, wyklęte i zapomniane przez rodziny i cały świat istniejący za klasztorными murami, powinniśmy więc być im wdzięczne za opiekę i troskę, której celem jest zbawienie naszych dusz i ochrona przed wiecznym potępieniem - nawet jeśli ich metody wydają nam się

brutalne i okrutne. Zakazy - wały nam mówić o życiu, które wiodłyśmy, nim wylądowałyśmy w pralni. Dla zakonnice nie miałyśmy ani przeszłości, ani przyszłości: liczyła się tylko teraźniejszość, a tę chciały utrzymywać pod całkowitą kontrolą.

Praczkami były zarówno starsze kobiety, jak i młode dziewczyny. Wiele z nich pracowało dla zakonnice przez całe życie; niektóre nawet trzydzieści albo czterdzieści lat. Jeśli trafiała się okazja, opowiadały nam, jak wyglądała praca w pralniach przed laty; było jeszcze gorzej, choć trudno wyobrazić sobie cokolwiek gorszego. Wszystkim kobietom nadawano zakonne imiona, żeby pozbawić je przeszłości, tożsamości i związków ze światem zewnętrznym. Powtarzano im ciągle, że nikt ich nie potrzebuje, bo są grzesznicami i zmierzają prosto do piekła. Nieustannie słyszały, że ciężka praca w pralni jest ich jedyną szansą odprawienia pokuty za grzechy, choć na zbawienie duszy mają naprawdę marne widoki.

Kobiety były przepracowane, niedożywione i wyniszczone. Praca fizyczna od świtu do zmierzchu po łyżce brejowatej zupy nieuchronnie prowadziła do problemów zdrowotnych.

Wiele z kobiet borykało się z poważnymi schorzeniami dróg oddechowych z powodu wdychanej pary i wilgoci. Przeważnie miały zepsute zęby i problemy skórne wskutek ciągłego kontaktu z detergentami, a także brudną i zainfekowaną różnymi świństwami pościelą. Sama ciągle leczyłam rany na dłoniach i przedramionach. Raz nawet wdało się zakażenie i rany podeszły ropą, co zdaniem zakonnice nie stanowiło żadnej przeszkody w pracy.

Przez cały dzień byłyśmy na nogach. Nie istniało coś takiego jak przerwa albo odpoczynek. Ani chwili wytchnienia.

W pralni grasowały myszy i szczury. Biegały między maszynami, w których prałyśmy bieliznę. Czuliśmy, jak ganiają nam w tę i we w tę między nogami. Śmiertelnie się ich bałyśmy, nie mogłyśmy jednak uciekać, bo zostałybyśmy srogo ukarane. Zakonnice twierdziły, że to polne myszki, które

nikomu nie czynią krzywdy Ale zakonnice nie musiały stać w miejscu przez cały dzień, podczas gdy te niewinne polne myszki plątały się nam między nogami. Nigdy więc nie podjęły żadnych działań, by pozbyć się z pralni gryzoni. Nie obchodziło ich też, że kontakt ze szczurami oznaczał dla nas ryzyko groźnych chorób.

Posiłki były ohydne i pozbawione wartości odżywczych.

Nierzadko na talerzu coś się ruszało. Najgorsze były gąsienice. Te włochate stwory zawsze znajdowałyśmy w kapuście.

Mówiliśmy o nich zakonnicom, ale te próbowały nas przekonać, że to doskonałe źródło białka.

Niektóre kobiety podczas pracy padały na podłogę - albo z wycieńczenia, albo z powodu choroby Zakonnice bezlitośnie kazały im się podnosić i wracać do pracy.

- Wstawaj! Wstawaj! - ryczały - Nie mamy czasu na żadne szopki!

Wiele kobiet i dziewcząt umierało w pralniach na gruźlicę i gripę. Niektóre popełniały samobójstwo, a jeszcze inne dosłownie umierały ze zgryzoty Dużo strasznych rzeczy wydarzyło się w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu.

Kobiety, które dokonały żywota podczas wysługiwania się zakonnicom, grzebano na terenach należących do zakonu. Zmarłą przewożono wzdłuż alei na wózku, który ciągnęli dwaj mężczyźni akurat znajdujący się pod ręką. Czasem byli to zatrudnieni do pracy w polu. Ciało owinięte w prześcieradło umieszczano na wózku; nie było mowy o trumnie. Jedna z zakonnice kładła na prześcieradle czarny krzyż symbolizujący diabła. Miał na celu skierować pokutnicę prosto do piekła.

Zwłoki dowożono wózkiem na skraj grobu, dwaj mężczyźni wrzucali je do ziemi, po czym odmawiano krótką modlitwę. Czasem w pogrzebie uczestniczyło kilka zakonnice i koleżanki zmarłej z pralni, a nawet okoliczni mieszkańcy. Po zasypaniu grobu umieszczano na nim czarny krzyż z napisem:

„Pokutnica”, co miało niewątpliwie oznaczać, że była istotą grzeszną. Za życia warte byłyśmy niewiele, a po śmierci jeszcze mniej.

Mimo podejmowanych przez zakonnice prób powstrzymywania praczek przed rozmowami i nawiązywaniem między sobą bliższych kontaktów, korzystałyśmy z każdej okazji, by się choć trochę poznać. Nie udawało im się dopilnować, byśmy milczały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Okazja do nawiązania przyjaźni pojawiała się w weekendy: rozmawiałyśmy, siedząc w świetlicy i grając w wojnę kartami zrobionymi z pudełek po papierosach, które starsze kobiety dostawały od mężczyzn przywożących bieliznę do prania.

Wtedy był czas na dzielenie się życiowymi zawirowaniami, które przywiodły nas do tego piekła.

Wiele pensjonariuszek dostało się tu z tych samych powodów. Niektóre dziewczęta zostały wcześniej osierocone, powierzano je więc „opiece” zakonnice w bardzo młodym wieku.

Inne, jak na przykład mnie, odebrano rodzicom i przepuszczono przez tryby ośrodków poprawczych. Wejście do tego systemu wycisnęło na nas piętno pralni magdalenek na długo przedtem, zanim przekroczyłyśmy ich progi. Szkoły poprawcze były instytucjami sposobiącymi dziewczęta do ciężkiej pracy, która je czekała w pralniach Zgromadzenia Sióstr

Miłosierdzia.

Były też dziewczynki i młode kobiety przysyłane do pralni przez lokalnych księży albo sądy rodzinne; wcześniej narobiły sobie kłopotów w szkole albo złapano je na drobnych przestępstwach, na przykład kradzieżach w sklepie. W pralniach kończyły również dziewczęta, których matki przedwcześnie zmarły. Wtedy księża wysyłali córki do pracy dla zakonu magdalenek, a synów - do zakładów wychowawczych dla chłopców; miało to zapobiegać zejściu pólserot na złą drogę. Jeszcze inne zostawały praczkami, ponieważ zaszły w ciążę przed zamążpójściem, a rodzina pragnęła uniknąć

hańby.

Jak na ironię, wszystkie mieszkanki kierowanych przez magdalenki zakładów opiekuńczych, w których przecież miały być chronione przed grzechem, były narażone na takie samo, jeśli nie większe, zagrożenie. Wiele dziewcząt gwałcono; zachodziły w ciążę już po przybyciu do zakonu. Bez względu na okoliczności, żadnej podopiecznej zakonnice nie pozwalały zatrzymać urodzonego dziecka. Wszystkie kobiety zostawiały niemowlęta w domach matki i dziecka, a same wracały do pralni, w której zmuszano je do dalszej pracy dla zakonnice. Pozbawione dzieci matki opowiadały o swoich cierpieniach w związku z odebraniem im maleństw. Wszystkie zgodnie twierdziły, że noworodki raz w miesiącu wywożono na północ Irlandii i statkiem transportowano do Ameryki. Niektóre z kobiet widziały księgę, w której obok nazwisk dzieci widniały sumy, jakie za nie otrzymano. Podobno dzieci sprzedawano bogatym Amerykanom. Za chłopców uzyskiwano wyższe ceny niż za dziewczynki. Zgadzałyśmy się wszystkie, że to ohydne: jak jakieś dziecko może być warte więcej niż inne?

Jedna z dziewcząt powiła bliźniaczki, które zabrano jej wkrótce po narodzinach. Po sześciu tygodniach pielęgnowania, karmienia i ubierania ich któregoś dnia po prostu nie znalazła dzieci w łóżeczkach. Zakonnice sprzedały obie jej córeczki. Te cudowne dziewczynki były tylko towarem, który oznaczał zysk, przedmiotem wymiany handlowej. Gdy kobieta ta zapytała, gdzie podziały się jej córki, usłyszała w odpowiedzi, że zostały wysłane tam, gdzie czeka je lepsze życie i gdzie będą miały porządnych rodziców. Błagała ze łzami o zwrot córeczek, siostry jednak kompletnie zignorowały jej rozpacz i kazały natychmiast wracać do pralni. Zmarła kilka lat później w zakładzie opiekuńczym. Wyzwolenie od bólu znalazła w śmierci.

Zakonnice wynajdowały różne sposoby, by okazać nam okrucieństwo. Gdy jedna z dziewcząt poprosiła o pozwolenie na wyjazd do domu, odpowiedziały jej, że nie ma rodziny ani domu, a zatem nie ma kogo odwiedzać.

Kiedy protestowała, że przecież dobrze pamięta mamę, usłyszała w odpowiedzi, że jej mama zmarła. Dziewczyna pogрузyła się w rozpacz, i sądząc, że została na świecie sama. Dwadzieścia lat później, kiedy udało jej się wreszcie wyrwać z pralni, odkryła, że nie tylko jej matka żyje, ale ona sama ma dwie siostry i brata.

Okazało się też, że oprócz rodzeństwa posiada liczną rodzinę - wujków, ciotki i kuzynów.

Mary-Ann na przykład dowiedziała się od zakonnicy, że jest sierotą, bo jej matka zmarła podczas porodu. Wiele lat później dziewczyna odkryła, że było to kłamstwo. Będąc w ciąży, jej matka wpadła w depresję i wylądowała w szpitalu psychiatrycznym. Tam urodziła bliźniaczki, które jej odebrano, ponieważ nie była mężatką. Poinformowano ją, że dziewczynki zostały oddane do adopcji. Po jakimś czasie matka

Mary-Ann wyzdrowiała, wyszła za mąż i urodziła kolejne dzieci, nigdy jednak nie zapomniała o córeczkach, które odebrano jej przed laty. Ciągłe się zastanawiała, kto je adoptował i co się z nimi dzieje, aż w końcu po latach wyznała wszystko mężowi. Rozpoczęli wspólnie pięcioletnie poszukiwania.

Okazało się, że żadnej z nich nie przekazano do adopcji. Przez rok trzymano je w domu matki i dziecka, po czym rozdzielono. Jedną wywieziono do sierocińca na wsi, a drugą do znajdującego się w Dublinie. Obydwie skończyły jako pracznki u zakonnicy: Mary-Ann w Dublinie, a Ellen - w Cork.

Tam właśnie odnaleźli je matka z ojczymem, dzięki czemu po wielu latach odzyskały rodzinę.

Alice także była pracznką u zakonnicy. Jej matka zaszła w ciążę jako siedemnastolatka, a ponieważ nie była zamężna, nie pozwolono jej zatrzymać dziecka - żaden mężczyzna nie wziąłby przecież za żonę kobiety z nieślubnym dzieckiem. Po wielu latach Alice w końcu wyrwała się zakonnicom, jakoś usamodzielniała i rozpoczęła poszukiwania matki. Niestety, już jej nie znalazła wśród żywych. Kilka lat wcześniej matka zmarła na gruźlicę; Alice nie miała szczęścia - za późno wy dostała się z pralni. Nigdy nie wyszła za mąż ani nie

urodziła dziecka. Mieszka w małym mieszkanku w Dublinie i pracuje w opiece społecznej, zajmując się ludźmi starymi.

Młodsze dziewczynki były zabierane z pralni przez ludzi świeckich. Miały u nich wieść lepsze życie, w rzeczywistości jednak ich egzystencja była dość ponura. Na przykład moją przyjaciółkę Mary zabrało małżeństwo rolników, którzy wywieźli ją na wieś. Była uradowana perspektywą normalnego życia, trzymali ją jednak w stodole i kazali pracować od rana do nocy jak niewolnicy. Regularnie wykorzystywano ją seksualnie. Jako szesnastolatka zaszła w ciążę i wtedy została wyrzucona z domu. Wylądowała z powrotem w pralni u magdalenek. Tuż przed porodem zgłosiła się do domu matki i dziecka. Tam urodziła córeczkę, którą jej odebrano, przeznaczając dziecko do adopcji.

Po porodzie Mary wróciła do pralni, udało jej się jednak uciec od zakonnic i przedostać do Anglii; znalazła tam pracę i stała się samodzielną. Po jakimś czasie wróciła do Irlandii, wyszła za mąż i urodziła najpierw syna, a potem córkę.

W 2002 roku, po latach poszukiwań prowadzonych z pomocą męża, odnalazła córeczkę, której tak okrutnie jej pozbawiono. Przyjaźnimy się z Mary do dziś. Jest w dalszym ciągu szczęśliwą żoną Bernarda, dobrego i troskliwego mężczyzny, który pomógł jej w odzyskaniu utraconego dziecka.

Kilku kobietom udało się wyrwać ze szponów zakonnic.

Uciekały różnymi drogami. Niektóre chowały się w furgonetkach z praniem i wyskakiwały gdzieś po drodze. Inne ukrywały się w pobliżu bramy i czekały na okazję, żeby się wymknąć. Gdy zakonnice odkrywały, że którejś brakuje, pralnia zmieniała się w prawdziwe pandemonium. Niemal zawsze uciekinierki zostawały schwytane albo w ciągu doby, albo po upływie kilku dni. Po powrocie opowiadały o tym, co robiły na wolności. Przeważnie jednak bardzo się bały życia na wolności, ponieważ nigdy wcześniej nie wychodziły za mury klasztoru bez nadzoru zakonnic.

Sama uciekałam z pralni dwukrotnie. Zakonnice utrudniały nam kontakt z

rodzinami, a ja tak bardzo tęskniłam za mamą, że po prostu musiałam ją odwiedzić. Nie miałam pojęcia, czy mama wie, co się ze mną dzieje, martwiłam się więc, że któregoś dnia wybierze się do szpitala, nie zastanie mnie tam, a personel nie zechce jej poinformować o moim dalszym losie. A może ojciec pogodził się wreszcie z moim powrotem do domu - myślałam naiwnie - a ja nawet nie dowiem się o tym? Podczas obu ucieczek wymknęłam się na zewnątrz przez furtę klasztorną i dotarłam do domu, a stamtąd policjanci bardzo szybko odwozili mnie z powrotem do pralni. Ale dzięki temu mama przynajmniej wiedziała, gdzie jestem więziona.

Czasem spędzałyśmy w pralni nawet sześć dni w tygodniu, jeśli było dużo prania, nigdy jednak nie pracowałyśmy w niedzielę - dzień wyznaczony przez Boga na odpoczynek.

Tego dnia jak zwykle szłyśmy rano na mszę i na śniadanie.

Potem miałyśmy czas na swoje własne zajęcia, jak choćby sprzątanie sypialni i łazienek. Popołudniami często odwiedzali nas członkowie różnych świeckich stowarzyszeń. Przychodzili, żeby nam prawić kazania, a także rozdawać święte medaliki oraz obrazki z modlitwami i psalmami na odwrocie. Czasem odbywały się jakieś koncerty albo pokazy ludowego tańca irlandzkiego.

Właśnie podczas takich odwiedzin zaczął się mną specjalnie interesować jeden z gości, mężczyzna znacznie ode mnie starszy. Ciągłe do mnie podchodził i nawiązywał rozmowę, dawał słodycze i papierosy. Dziewczętom wolno było spacerować po terenie, zabierał mnie więc na spacer podczas których rozpytywał o warunki życia u magdalenek. Wydawał się mną szczerze zainteresowany.

Po kilku takich spacerach pewnej niedzieli wybraliśmy się na przechadzkę, tym razem jednak do ogrodu, w którym znajdowała się wielka szopa. Gdy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku zakonnic, przewrócił mnie na ziemię, zakrył mi usta rękami i zgwałcił. Gdy skończył, wyrwałam się spod niego i cała zapłakana uciekłam. O tym, co zrobił, powiedziałam

koleżankom. Dowiedziałam się, że nie ja jedna padłam ofiarą gwałtu. Wcale nie były zaskoczone moją opowieścią. Przeciwnie, takie rzeczy ponoć zdarzały się często.

Jedna z kobiet skwitowała moją opowieść następująco:

- A jak myślisz, po co oni tutaj przychodzą?

Ostrzegła mnie, żebym nikomu się nie skarżyła, bo znów zamkną mnie w domu wariatów

Trzymałam więc język za zębami. Nigdy więcej nie widziałam tego mężczyzny w klasztorze. Po jakimś czasie, nie pamiętam już jak długim, zaczęłam się źle czuć. Rano wymiotowałam. Dolegliwości te szybko się uspokoiły i przez parę tygodni czułam się lepiej. Potem zaczęłam gwałtownie przybierać na wadze. Ubrania zrobiły się za ciasne. Wiedziałam, że coś jest nie tak, nawet przez myśl mi jednak nie przeszło, że mogę być w ciąży. Wciąż miałam umysł niewinnego dziecka i naiwnie sądziłam, że po prostu utylam.

Zaczęłam miesiączkować krótko po przewiezieniu mnie do pralni magdalenek. Nie miałam pojęcia, co się ze mną dzieje i byłam przekonana, że cierpię na jakąś nieuleczalną chorobę. Powiedziałam jednej z zakonnice, że mam krwawienia, i usłyszałam, że to dzieło szatana i kolejna oznaka tego, że jestem obrzydliwą grzesznicą. Do dziś pamiętam swoje przerażenie. Oczywiście, odesłała mnie z powrotem do pracy nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Zwierzyłam się jednej z kobiet, że chyba niedługo umrę, ta jednak po prostu wybuchnęła śmiechem i oświadczyła, że jeśli tylko to mi dolega, to niewątpliwie jestem całkiem zdrowa.

Nie zapewniano nam podpasek higienicznych ani niczego, czym mogłybyśmy je zastąpić, choć zakonnice otrzymywały od państwa pieniądze przeznaczone na potrzeby kobiet przez nie zatrudnianych. Dzięki instrukcjom starszej koleżanki nauczyłam się dbać w miarę możliwości o czystość, korzystając ze starych szmat, które przynosiłam z pralni.

Oczywiście, szmaty nie były dostatecznym zabezpieczeniem, niczego

lepszego jednak nie wymyśliłam. Dlatego żadna z nas nigdy nie powiedziała złego słowa dziewczętom obnoszącym przez kilka dni krwawe plamy na fartuchach: było jasne, że właśnie nadszedł ten przeklęty czas.

Przypuszczałyśmy, że zakonnice jako święte nigdy nie mają takich dolegliwości.

Nikt mi nie wyjaśnił związku między tym bolesnym krwawieniem a przychodzeniem na świat dzieci, byłam więc szczęśliwa, kiedy comiesięczne przypadłości nagle ustały.

Sądziłam, że brak miesiączki to oznaka skuteczności mojej pokuty i dobrego sprawowania. Dlatego byłam kompletnie zaskoczona, gdy kilka miesięcy później jedna ze starszych kobiet sprowadziła mnie brutalnie na ziemię.

- Będiesz miała dziecko - powiedziała.

- Jak to: dziecko? - zdziwiłam się niepomiernie. - Niby skąd?

- Kobiety mają dzieci, kiedy mężczyźni robią im te rzeczy Ale nie martw się! Wszystko będzie dobrze.

Byłam zszokowana. Objawy się zgadzały i wszystko, co słyszałam od starszych kobiet, znajdowało potwierdzenie, a jednak wciąż nie rozumiałam, jaki związek może mieć brutalny gwałt sprzed kilku miesięcy ze zbliżającymi się narodzinami dziecka. Miałam mętlik w głowie i bardzo się bałam. Pewnego dnia zabrano mnie do miejsca, które wyglądało jak szpital, ale okazało się domem matki i dziecka. Zawiozła mnie tam samochodem kobieta z Legionu Maryi. Obejrzała mnie pielęgniarka i zbadał lekarz. Potwierdził, że spodziewam się dziecka. Nie pytano mnie, jak do tego doszło ani gdzie się stało. Nie zadano sobie też trudu, by mi wyjaśnić, jak dziecko przychodzi na świat. Myślałam, że wydostanie się z brzucha przez pępek, ponieważ nie bardzo wyobrażałam sobie inną drogę. Po badaniu wróciłam do pralni i nadal pracowałam tak ciężko jak przedtem.

Kilka miesięcy później, po trzech dniach nieopisanego wprost bólu,

urodziłam córeczkę. Ważyła dwa kilogramy i sześćdziesiąt sześć dekagramów. Poród odbył się na miesiąc przed moimi czternastymi urodzinami.

Ja w wieku dziesięciu miesięcy.

Moja mama, kiedy miała około dwudziestu lat. Zawsze uważałam, że wyglądała jak gwiazda filmowa.

Mój ojciec Oliver. Światu pokazywał twarz bogobojnego ojca rodziny, zasługującego na szacunek społeczności. W domu był tyranem i despota.

Pamiętka mojej pierwszej komunii św. w wieku siedmiu lat. Nie dane mi było uczestniczyć w tej uroczystej chwili w stanie czystości i łaski.

Laura - lalka, która dała mi mama podczas pierwszej wizyty w szkole poprawczej.

Ja w wieku dziesięciu lat, podczas odwiedzin w domu rodzinnym na przepustce ze szpitala psychiatrycznego.

Tuż przed tym weekendem pielęgniarki ścięły mi włosy.

Podczas bierzmowania. Dostałam od ojca w skórę. Zniszczyłam wtedy nową sukienkę, którą mama kupiła mi specjalnie na tę okazję. i

Pralnia magdalenek od wewnątrz na początku dwudziestego wieku. Kiedy ja tam pracowałam, pralnie dysponowały już nowocześniejszymi urządzeniami, ale i tak były gorącym i cuchnącym piekłem.

Procesja dziewcząt z jednej z dublińskich pralni magdalenek, lata pięćdziesiąte dwudziestego wieku.

Ja w wieku czternastu lat. Byłam w domu z okazji pierwszej komunii św. mojej młodszej siostry.

Zdjęcie z automatu zrobione podczas jednej z całodniowych ucieczek z domu dla dziewcząt. Zapłaciłyśmy za nie pieniędzmi ukradzionymi z automatu telefonicznego.

Tego dnia ukradłam płaszcz z domu towarowego. Wylądowałam przez to na trzy miesiące w więzieniu Mountjoy.

Podczas pracy w szpitalu w Dublinie, 2000 rok.

Na przyjęciu urodzinowym u koleżanki w 2002 roku. Jeden z dwóch medalików to otrzymany od mamy cudowny medalik Przenajświętszej Panienki.

Na przyjęciu, które wydałam w moim mieszkaniu po podpisaniu umowy wydawniczej na tę książkę, 2004 rok.

Z Liz podczas jednej z wizyt w szpitalu psychiatrycznym, w którym przebywała do końca życia. Liz była wyjątkowa: emanowała z niej radość życia, choć było ono przepelnione boleścią.

Liz strasznie cierpiała, gdy drucziana siatka w jej brzuchu zaczęła przebijać ciało.

Przy jednym z masowych grobów kobiet pracujących w pralniach magdalenek na cmentarzu w Glasnevin, 2004 rok.

W niektórych kościołach Dublina słowa "pokutnik" używa się do dzisiaj.

Z arcybiskupem Diarmuidem

Martinem na przyjęciu wydanym dla uczczenia jego ingresu w 2004 roku.

Rozdział siódmy

Moja cudowna córeczka Annie

Wczoraj płakałam.

Nad latami samotności i smutku, nad całym cierpieniem, które mi zadano, nad wszystkimi wyrządzonymi krzywdami, nad bólem w tamtym okropnym pokoju.

Byłam bezradna. Nie wiedziałam, co robić.

Płakałam.

Nad potwornościami, które zgotowali mi ludzie.

Płakałam.

Kiedy otuliłam moją maleńką córeczkę w koc i ukryłam w szafce przy łóżku, żeby ją ochronić, waliło mi serce, przepelniał mnie strach.

Nie miałam pojęcia, co mam z nią zrobić.

Nie chciałam, żeby ją znalazły, bo wiedziałam, co ją wtedy czeka.

Byłam tylko dzieckiem i naiwnie sądziłam, że mogę ją przed nimi uchronić.

Płakałam.

Nad poniżeniem i krzywdą gwałconego dziecka.

Płakałam.

Kiedy wróciłam myślą do lat dziecięcych i wszystkiego, co mi wtedy zrobiono.

Płakałam.

Dlaczego ja?

Kochana Annie!

Moja cudowna, jasnowłosa i niebieskooka córeczko! Właśnie taka byłaś: cudowna, piękna, delikatna. Dziesięć małych paluszków u nóg i dziesięć małych

paluszków u rąk. Byłam wtedy trzynastoletnim dzieckiem i bez przerwy liczyłam twoje paluszki. Nie wiedziałam, jak się tobą opiekować, ale szybko się nauczyłam. Szczęście mi trochę dopisało, a trochę nie. Byłaś chora i właśnie dlatego nie wsadzili cię na wielki statek do Ameryki.

Nie zabierali do Ameryki chorych dzieci.

Byłam taka szczęśliwa! Nie z powodu twojej choroby, oczywiście. Byłam szczęśliwa, że nie wsadzą cię na wielki statek. Jak by to było, gdyby moją małą córeczkę sprzedali Amerykanom za jakieś marne pieniądze? Pamiętam sukieneczkę, w którą cię pierwszy raz ubrałam: biała, wiązana z tyłu na kokardę i ze trzy razy na ciebie za duża. Sięgała ci do kostek. Pamiętam białą, przypominającą ręcznik pieluchę, którą trzeba było składać w trójkąt jak chustę. Pamiętam ceratowe majteczki wiązane po bokach. Mały sweterek, mały czepek i koc, w który cię zawijałam.

Byłam taka szczęśliwa, kiedy wreszcie się do ciebie przyzwyczaiłam! Myślałam, że skończyły się wszystkie moje zmartwienia i lęki. Ale to nie był naprawdę koniec. Po prostu zapomniałam o nich na chwilę, bo całą moją uwagę zaprzętałaś ty. W podświadomości zmartwienia i lęki stawały się coraz potężniejsze, bo ilekroć słyszałam przechodzącą obok moich drzwi zakonnicę, obawiałam się, że idzie po ciebie. Szybko brałam cię wtedy na ręce i chowałam do szajki przy łóżku. Jakże byłam naiwna!

Obawiałam się, że mi cię zabiorą. Nie zabrali, ale strach pozostał. Ponieważ od czasu do czasu jedno albo dwoje maleństw wywożono wielkim statkiem do Ameryki, w której podobno czekało je lepsze życie i miały dorastać u boku porządnych ludzi.

Tak przynajmniej mówiły one. To znaczy zakonnice.

Ty, Annie, moja cudowna mała dziewczynko, zostałaś. Mijały tygodnie i miesiące. Wszyscy cię kochali. Wszystkie się śmiałyśmy do rozpuku, kiedy wypowiadałaś pierwsze słowa. Byłaś taka zabawna! A gdy zaczęłaś raczkować, wyglądałaś jak nakręcana kluczykiem zabawka.

Taka była moja Annie! Kiedy zaczęła chodzić, przewracała się częściej niż inne dzieci. Moje koleżanki ją uwielbiały. Powtarzały wciąż, że to cała ja. Nauczyłam ją tańczyć i śpiewać. I wszystko wiedziała. Opiekowałyśmy się nią na zmianę, w miarę możliwości. Wkładaliśmy ją do wielkiego kosza i przechodziła z rąk do rąk. Cieszyła się z tego. Ubierałyśmy ją najlepiej ze wszystkich dziewczynek. Wyglądała jak księżniczka. Bo ona księżniczką była. Moją maleńką księżniczką.

Wprost nieprawdopodobne dziecko! Chociaż praktycznie przez cały czas chorowała. Ale to przecież było nieważne w przypadku córki dziewczyny, która przeszła przez zakład poprawczy, szpital psychiatryczny i pralnię sióstr magdalenek. Córeczka takiej matki nie podda się łatwo. Annie była pogodna i kochała wszystkie moje towarzyski niedoli, a one odwzajemniały jej miłość. Jak tylko trochę podrosła, śpiewałyśmy jej wszystkie, i bardzo jej się to podobało. Specjalnie dla niej wymyśliłyśmy nawet piosenkę:

Na statku do Ameryki wiele dzieci było, a tobie się poszczęściło, tobie się poszczęściło!

Annie wносиła w nasze życie wiele szczęścia. Dla mnie była szczególnie wielką radością. Bardzo ją kochałam, a ona bardzo kochała mnie. Była moja. To ja ją miałam. Nauczyłam ją modlitw i wielu piosenek. Chłoneła wszystko. Była dobrą i kochaną dziewczynką; chwytala za serce każdego, kogo napotkała na swej drodze. Przyjaźnie odnosiła się do wszystkich.

Z każdym rokiem jej choroba się pogłębiała, aż w końcu dokładnie w swoje dziesiąte urodziny przegrała walkę o życie, opuszczając ten ziemski padół. Nie popłynęła wielkim statkiem do Ameryki. Pożeglowała w inną stronę; do miejsca wyzbytego z wszelkiego bólu i cierpienia, do świata, w którym nikomu nie brak miłości i szczęścia.

Taka jest krótka historia mojej największej radości. Mojej cudownej, jasnowłosej i niebieskookiej córeczki Annie.

Zostaniesz w moim sercu na zawsze.

Twoja kochająca mama Kathy

Poród był koszmarem doświadczeniem dla młodej dziewczyny, zwłaszcza że nie miałam pojęcia, czego należy się spodziewać. Nie było nikogo, kto by mnie wspierał w tych chwilach. Nie wezwano lekarza ani nawet położnej. Byłam zdana na łaskę i niełaskę zakonnice. Jedna z nich, zmęczona moim ciągłym krzykiem, wsadziła mi dłonie do środka i próbowała wyciągnąć dziecko.

W końcu Annie przyszła na świat. Spojrzałam na nią i zobaczyłam pomazane krwią stworzenie, małe fioletowe paskudztwo. Pomarszczone i wciąż przymocowane do mnie jakimś potwornie wyglądającym przewodem. Dotychczas widywałam niemowlęta starannie umyte i ubrane w czyściutkie ubranka, które kupiły im matki. To wrzeszczące i brudne coś zwyczajnie mnie przeraziło.

Po przecięciu pępowiny zakonnice umyły małą i zaczęła trochę bardziej przypominać niemowlę. Pamiętam, że wciąż liczyłam jej paluszki u rąk i nóg, żeby się upewnić, że ma wszystkie i w dodatku tam, gdzie trzeba. Gdy nosiłam ciężę, zakonnice wciąż mi powtarzały, że urodzę dziecko diabła; i teraz myślę, że podświadomie się spodziewałam, iż to maleństwo urodzi się zdeformowane. Mimo to nie zauważyłam, by było w niej coś nienormalnego.

Niestety, tego najgorszego zobaczyć nie mogłam. Moja córeczka przyszła na świat z rzadką chorobą jelit. Powinnam była od razu spostrzec, że ma wzdęty brzusek, ale wszystko wokół widziałam jak przez mgłę z powodu wielkiego bólu.

W końcu ktoś z personelu mi powiedział, że coś jest nie tak z brzuszkiem i płucami Annie, ale najwyraźniej nie potrafiono tego czegoś nazwać, bo nie padła nazwa żadnej konkretnej choroby. Nikt też nie umiał jej pomóc. Usłyszałam tylko, że dziewczynka nie jest wystarczająco zdrowa, aby ją oddać do adopcji, i dlatego zostanie pod opieką zakonnice.

Kiedy po jakimś czasie otrząsnęłam się z szoku wywołanego przyjściem

na świat Annie, byłam bardzo szczęśliwa, bo miałam nadzieję, że z tego powodu mi jej nie odbiorą. Przez trzy miesiące przebywałam razem z nią w domu matki i dziecka; przez ten czas czułam się tak, jakbym dostała żywą lalkę do zabawy, choć oczywiście wymagało to z mojej strony wielkiej czujności.

Zakonnice chciały, żebym przez pierwsze kilka tygodni karmiła ją piersią, i usiłowały mi pokazać, jak powinno się to robić. Mnie ten pomysł przerażał, ponieważ dotykanie tej okolicy ciała kojarzyło mi się z praktykami seksualnymi księdza i innych, którzy mnie molestowali; powiedziałam zakonnicom, że Annie nie chce ssać, i przestawiły ją na mleko z butelki. Podobny problem miałam z przewijaniem córeczki.

Dzisiaj ze wstydem wspominam, że kazałam jej leżeć godzinami w mokrych i brudnych pieluszkach. Płakała tak głośno, że w końcu zjawiała się jedna z zakonnicek, by sprawdzić, co się dzieje. Robiły mi za każdym razem niezłą awanturę za brak opieki nad dzieckiem, nie mogłam jednak się pozbyć uczucia, że zdejmowanie pieluszki i mycie pupy to coś niedobrego; kojarzyłam dotykanie intymnych okolic ciała ze wszystkimi świństwami, które mi się wcześniej przytrafiły.

Mimo to kochałam Annie bardzo, ponieważ ona była naprawdę i bez zastrzeżeń moja. Kiedy zabierałam ją z wielkiej sali, w której trzymano wszystkie dzieci, nie miałam cienia wątpliwości, wskazując moją malutką córeczkę leżącą pośród dziesiątek niemowląt ubranych w takie same śpioszki, dar jakiegoś dużego przedsiębiorstwa dla domu matki i dziecka.

Kochałam ten cudowny zapach dziecka, który czułam, gdy ją brałam na rękę. Wydawała mi się taka doskonała i taka niewinna! Ze wszystkich sił starałam się nią opiekować i chronić ją przed złem, którego sama doświadczyłam. Godzinami obserwowałam, jak śpi, a gdy się uśmiechała, rozpierała mnie duma, ponieważ wierzyłam, że ten uśmiech przeznaczony jest wyłącznie dla mnie.

Pierwsze trzy miesiące upłynęły bardzo szybko. Wydawało się, że

zaledwie przyszła na świat, a już niebawem miałam wracać do pralni, zostawiając Annie w domu matki i dziecka.

Dostawałam hysterii na samą myśl, że mnie rozdzielią z córeczką, i groziłam, że się zabiję, jeśli każą mi wrócić do pralni. W końcu zakonnicom udało się mnie przekonać, żebym się rozstała z Annie; obiecały, że będę mogła ją stale odwiedzać.

Oczywiście, ta obietnica była ich kolejnym podstępem.

Wróciłam do kieratu, do codziennej harówki w pralni. Żyłam tylko dla tych kilku weekendów, podczas których pozwalano mi odwiedzać moją Annie. Nigdy nie zapomniałam, kim dla niej jestem, a kiedy zaczęła mówić, pierwszym jej słowem było „mamusia”. I tak się zawsze do mnie zwracała.

Wkrótce potem, gdy powróciłam do pralni, zostałam przeniesiona do innego zakładu dla dziewcząt, prowadzonego przez jakiegoś księdza; pracowało w nim może pięć wychowawczyń. Nigdy mi nie powiedziano, dlaczego postanowiono tam przenieść akurat mnie. Przerazliwie się bałam, że po przeprowadzce nie będę mogła widywać Annie. Ale nikogo to nie obchodziło.

Pani z opieki społecznej zawiozła mnie do tego nowego miejsca, które przypominało raczej dom dziecka i było o wiele mniejsze od ogromnej pralni magdalenek. Mieszkało tam zaledwie dwadzieścia dziewcząt i miałyśmy o wiele większą swobodę. Musiałyśmy zajmować się prowadzeniem domu i utrzymaniem go w czystości, było to jednak niczym w porównaniu z katorżniczą harówką w pralni.

Niedługo po moim przybyciu do tego zakładu zaczęła w nim pracować nowa, wyjątkowo oschła wychowawczyni, prawdziwa suka. Rozeszły się plotki, że przedtem była zakonnica i pracowała w jakimś klasztorze, ale ją wyrzucili; w ten sposób trafiła do nas. Względna swoboda, jaką się cieszyłyśmy, po jej przybyciu została znacznie ograniczona. Kazała założyć zamki na wszystkich szafkach kuchennych i zaczęła wprowadzać swoje porządki. W ciągu dnia zamykała nawet drzwi do kuchni, żebyśmy nie mogły sobie zaparzyć filiżanki

herbaty. W naszych oczach była drugim Hitlerem.

Nigdy nie przepuściła okazji, żeby nas ukarać za najłżejsze choćby przewinienie. Gdy przeklinałyśmy, kazała nam stać przez całą noc na schodach przed drzwiami wejściowymi, a jeśli któraś odmówiła wykonania jej polecenia, otrzymywała tygodniowy zakaz opuszczania budynku.

Szybko miałam tego dosyć i uciekłam stamtąd wraz z koleżanką. Policjanci złapali nas po kilku godzinach i za karę ja oraz Patricia zostałyśmy wysłane do innej pralni magdalenek.

Zakonnice były tam o wiele miłsze, a reżim nie tak bardzo surowy, nie powstrzymało nas to jednak przed kolejnymi uciezkami. Po jakimś miesiącu zaczęłyśmy się obydwie przy bramie wjazdowej i gdy zakonnice ją otworzyły, żeby wpuścić furgonetki z praniem, wybiegłyśmy na ulicę. Tym razem ucieczka trwała kilka tygodni. Szybko nauczyłyśmy się żyć na ulicy. W ciągu dnia włóczyłyśmy się po centrum miasta, a noce spędzałyśmy w zajezdni autobusowej w Summerhill. Musiałyśmy czekać, aż wszyscy kierowcy opuszczą teren zajezdni, a to oznaczało, że często kręciłyśmy się po

O'Connell Street grubo po północy. Różni faceci nas zaczepiali. Pewnej nocy podjechał samochód osobowy i kierowca zaproponował, żebyśmy pojechały z nim do domu. Nie okazałyśmy się idiotkami i odpowiedziałyśmy, że jesteśmy już umówione. Czasem się zastanawiam, co by się stało, gdyby któraś z nas wsiadła wtedy do auta. Innej nocy też zatrzymał się obok nas jakiś samochód, kierowca opuścił szybę i zapytał, czy byłyśmy już kiedyś z mężczyzną. Popatrzyłyśmy na niego wymownie, a on powiedział, że jako dziewczynki mogłybyśmy więcej zarobić. Zapewniał, że pracował z wieloma dziewczynami w naszym wieku, i obiecywał, że dopilnuje, by nie stało się nam nic złego. Kiedy to usłyszałyśmy, dałyśmy w długą, aż się kurzyło.

W Summerhill spotykałyśmy inne dzieci, które uciekły z domu albo tak jak my z zakładu wychowawczego. W tamtych czasach autobusy nie miały drzwi, łatwo więc było wejść do środka. Ganiałyśmy się, bujałyśmy-na

poręczach, śpiewaliśmy i wyczyniali najróżniejsze szopki, dopóki nie zmorzył nas sen. Razem z Patricia zajmowałyśmy „kanapy” na tyłach autobusu, na których można się było wygodnie rozłożyć. Przykrywałyśmy się płaszczami, ale nie było nam pod nimi zbyt ciepło.

Rano w zajezdni, pojawiali się pracownicy. Nigdy nie uprzykrzali nam życia. Kiedy myślę o tym dzisiaj, jestem pewna, że nam współczuli, ponieważ doskonale wiedzieli, skąd wyrwała się większość z nas. Jednak musieliśmy wstać i opuścić teren, zanim tuż przed piątą rano w trasę wyjechał pierwszy autobus.

Przepędzone z zajezdni maszerowałyśmy z Patricia wzdłuż

OConnell Street aż do Dorset i potem przez most do dużej piekarni. Zakradałyśmy się na podwórze; tam świeży chleb czekał na paletach, aż zabiorą go dostawcy. Każda z nas wtykała sobie pod płaszcz bochenek i czym prędzej stamtąd uciekałyśmy. Piekarze przywykli do naszych porannych wizyt i zamiast nas wyganiać, zaczęli co rano zostawiać chleb specjalnie dla nas. Z piekarni przechodziłyśmy z powrotem na

Dorset Street, brałyśmy po butelce mleka z dostawy dla Fortes Cafe; pozostawiano ją zawsze na progu kawiarni. Do dziś pamiętam smak gęstej śmietanki, którą zbierałam z wierzchu po przebiciu palcem aluminiowego kapsła na butelce.

Przed dziewiątą zaczynałyśmy się kręcić pod biurem kuratorów sądowych i opieki społecznej, wypatrując kobiety, która przez jakiś czas pracowała w zakładzie wychowawczym dla dziewcząt. Okazywała nam wiele życzliwości. Nawet nie próbowała nas nakłonić do powrotu do pralni. Przeciwnie: dawała nam pieniądze, żebyśmy miały na jedzenie. Jeśli udało nam się spotkać ją w drodze do pracy, brałyśmy pieniądze i szłyśmy na targ owocowo-warzywny. Tam kupowałyśmy owoce i inne produkty spożywcze. Zachodziłyśmy też do przytułku opieki społecznej na Ushers Island, w którym można było się ogrzać i napić herbaty, oraz do schroniska dla bezdomnych na obiad za marne grosze

albo nawet darmo, jeśli nie miało się tych marnych groszy, żeby zapłacić.

Używałyśmy najróżniejszych sztuczek i przekrętów, żeby zdobyć coś do jedzenia. Głównym źródłem łupów była dla nas Fortes Cafe. Rano zabierałyśmy sprzed kawiarni mleko, a po południu wracałyśmy na chipsy. Zamawiałyśmy je przy okienku, a potem biegłyśmy co sił w nogach do parku i jakby nigdy nie spokojnie je zjadałyśmy. Niedługo trwało, zanim właściciel kawiarni nas namierzył. Okazał się kochanym człowiekiem i zamiast wezwać policję, dawał nam chipsy i zapraszał do środka. Mogłyśmy wypić tyle herbat, ile nam się tylko podobało.

Zaczęłyśmy też chodzić do restauracji Bewley na Westmorland Street. Po wejściu na salę udawałyśmy, że szukamy stolika, a tak naprawdę zbierałyśmy napiwki pozostawione przez klientów dla kelnerek. Następnie zamawiałyśmy kawę i ciastka, po czym wymykałyśmy się z kolejki do kasy, idąc do stolika bez płacenia. Ale szczęśliwa karta musiała się kiedyś odwrócić; pewnego dnia zostałyśmy przyłapane na gorącym uczynku. Właśnie zabierałyśmy się do potężnego lunchu złożonego ze steku, cynaderek, kawy i tortu beżowego, za które oczywiście nie zapłaciłyśmy, gdy przy stoliku pojawiła się właścicielka restauracji.

- A wy już kolejny raz nie płaciecie - powiedziała, opierając ręce o blat stolika. Próbowaliśmy zaprzeczać, ale najwyraźniej obserwowała nas od dłuższego czasu i była pewna swego, ponieważ w ogóle nie zwracała uwagi na nasze zapewnienia, że się myli. - Jeśli macie zamiar nadal tu przychodzić, to przede wszystkim musicie odpracować to, co jesteście mi winne, a potem będziemy się rozliczać raz na tydzień, dopóki nie wyrównamy rachunków - oświadczyła raczej niż zaproponowała.

Raz jeszcze spróbowałyśmy zaprotestować, ale ona siłą zaprowadziła nas do kuchni. Wskazała na olbrzymią stertę brudnych naczyń w zlewie i zapowiedziała, że nawet nie mamy co marzyć o wyjściu stamtąd, dopóki wszystkie nie zostaną wyszorowane do czysta.

Patricia omal się nie popłakała, patrząc na ten olbrzymi stos garów. Żadna z nas nigdy wcześniej nie widziała tylu brudnych naczyń. Jednak ucieczka nie wchodziła w grę, zakasałyśmy więc rękawy i zabrały się za zmywanie. Spędziłyśmy nad zlewem kilka godzin i pod koniec obojdwie miałyśmy zaczerwienioną i pomarszczoną skórę na dłoniach.

Kiedy wszystko pozmywałyśmy, właścicielka nas wypuściła. Powiedziała, że możemy się u niej stołować, pod warunkiem jednak, że odpracujemy to raz na tydzień. Ona naprawdę zainteresowała się naszym losem; później, kiedy zmuszono nas do powrotu do zakładu, często zabierałam Annie do niej w odwiedziny, ilekroć pozwalali mi spędzać z córeczką weekend. Kupowała Annie ubranka i zabawki. Jeśli się nie mylę, najchętniej przygarnęłaby ją do siebie na stałe.

W niektóre dni dojeżdżałyśmy autobusem do szpitala w Elm Park, żeby w tamtejszych toaletach wykąpać się i umyć włosy. Po jakimś czasie poznałyśmy kobietę i mężczyznę prowadzących łaźnię publiczną na Tara Street. Gdy im opowiedziałyśmy niektóre historie z naszej biografii, pozwolili nam kąpać się w łaźni, kiedy tylko miałyśmy na to ochotę. Byli dla nas bardzo mili. Dzięki nim nie musiałyśmy jeździć kawał drogi do Elm Park, żeby się umyć.

Problemem były także ubrania. Stałyśmy się całkiem sprytnymi sklepowymi złodziejkami. Większość rzeczy, w tym bieliznę i buty, kradłyśmy w domu towarowym Penneys. Stare ciuchy wkopywałyśmy pod ladę i bezczelnie wychodziłyśmy w nowych. Pewnego dnia jednak noga nam się powinęła.

Trochę podreperowałyśmy fundusze, okradając budki telefoniczne. Tego przekrętu nauczyły nas dziewczyny z domu opieki. Wystarczyła spinka do włosów, którą otwierało się zamek, i kapelusz, do którego wpadały monety z automatu.

Naszą ulubioną była budka telefoniczna w starym pubie na

Dorset Street. Patricia udawała, że rozmawia przez telefon, a ja

wyciągałam metalową kasetkę i przesypywałam monety do kapelusza. Pewnego dnia poszliśmy zaraz potem na dworzec kolejowy do automatu fotograficznego. Kilka zdjęć zrobiliśmy sobie razem, a kilka oddzielnie; byliśmy z siebie bardzo zadowolone.

Następnie skierowałyśmy się do domu towarowego Penneys; tam wcześniej wpadły nam w oko płaszcze przeciwdeszczowe, wówczas ostatni krzyk mody. Wcisnęłyśmy stare płaszcze za stelaż i w nowych przemaszerowałyśmy do restauracji Bewley na kawę i papierosa. Chociaż płaszcze były na nas sporo za duże, czułyśmy się jak modelki w beżowych prochowcach z paskiem i rozcięciem z tyłu.

Żadna z nas nie pomyślała, że w kieszeniach starych płaszczy zostawiłyśmy nasze zdjęcia. To dzięki nim nas zidentyfikowano; gdy wyszłyśmy z restauracji, przed drzwiami czekali już policjantka i policjant. Zabrali nas na posterunek przy Store Street i pokazali nasze stare prochowce oraz zdjęcia, które znaleźli w ich kieszeniach; zażądali naszych danych.

Chociaż nie było najmniejszej wątpliwości, że zdjęcia przedstawiają właśnie nas, z początku zaprzeczałyśmy wszystkiemu. Po jakimś czasie jednak musiałyśmy się do wszystkiego przyznać i powiedzieć, skąd uciekłyśmy. Przetrzymani nas przez noc na posterunku, ale nie zamknęli w celach. Spałyśmy pod stołem w szatni. Policjanci byli dla nas naprawdę mili. Dali nam kanapki, herbatę i koce.

Następnego ranka przewieziono nas do sądu dla nieletnich w Dublinie i skazano za kradzież sklepową. Wielkim wstrząsem była dla mnie obecność mamy na sali sądowej.

O całej sprawie musiała ją powiadomić policja. Zadrzałam na jej widok - od bardzo dawna się z nią nie kontaktowałam. Jednak rozmowa osoby siedzącej na ławie oskarżonych z kimkolwiek okazała się niemożliwa.

Po wysłuchaniu zeznań policjantów sędzia uznał nas winnymi kradzieży i zarządził umieszczenie nas na powrót w ośrodku wychowawczym” do którego

przeniesiono nas z pierwszej pralni u magdalenek. Ale jedna z tamtejszych wychowawczyń stanowczo się temu sprzeciwiła. Sędziemu wręczono pismo, które zaczynało się od stwierdzenia, że obecnie nie ma dla nas miejsca w tamtym zakładzie. W kolejnych akapitach rekomendowano „odosobnienie” jako karę za ucieczkę z zakładu. Po latach zdobyłam kopię tego pisma.

Oto, co w nim napisano:

...[odosobnienie] w naszym przekonaniu miałoby pozytywny wpływ na Kathy uświadamiając jej, że są granice dozwolonego zachowania. Jesteśmy zdania, że dałoby jej możliwość rozpoczęcia wszystkiego od nowa. [...] Jeśli Kathy zostanie skazana na karę pozbawienia wolności, [tutaj nazwa instytucji]podejmie się po odbyciu kary dalszej pracy wychowawczej...

Sędzia wydawał się zadowolony z takiego obrotu sprawy i ogłosił, że wobec powyższego każda z nas spędzi trzy miesiące w więzieniu Mountjoy. Gdy wypowiadał te słowa, patrzyłam na mamę: twarz jej się wykrzywiła i nagle wybuchnęła płaczem. Można sobie wyobrazić, co czuje matka, słysząc, że jej nastoletnia córka zostaje skazana na pobyt w najsurowszym więzieniu dla dorosłych. Była zdruzgotana.

Więzienie Mountjoy cieszyło się w Dublinie najgorszą opinią. Któż nie słyszał przerażających historii o tych, których tam zamknęli? Powiadano, że jest to wielki ciemny loch z wydzielonymi celkami dla więźniów, których karmiono jedynie chlebem i wodą. Ani ja, ani Patricia nie mogłyśmy uwierzyć, że niebawem się tam znajdziemy. Obydwie się rozbeczałyśmy, gdy wyprowadzano nas z sali sądowej.

Wciąż zapłakane znalazłyśmy się w piwnicach gmachu sądu; tam zamknięto nas w celi, w której miałyśmy czekać na transport do więzienia. Karetka więzienna kursowała tylko dwa razy dziennie, przed nami były więc godziny oczekiwania. Strażnicy najwyraźniej nam współczuli, bo częstowali papierosami i chipsami.

W końcu przyjechała furgonetka więzienna i wraz z innymi skazanymi w

tym dniu zostałyśmy wyprowadzone z celi.

W oknach pojazdu były kraty i niewiele widziałam podczas podróży do tego najnowszego miejsca pobytu.

Po przybyciu na miejsce przeszukano nas, po czym zapisano nasze imiona, nazwiska i daty urodzenia. Następnie zaprowadzono pod prysznic. W łaźni wpadłam w histerię - za nic nie chciałam rozebrać się do naga. Strażniczka ulitowała się nade mną, pewnie dlatego, że byłam znacznie młodsza od reszty, i pozwoliła mi wejść pod prysznic w majtkach.

Gdy wreszcie przeszłam przez tę męczarnię, wylądowałam w magazynie. Nie wierzyłam własnym oczom, widząc, co mi dają: sześć par majtek, trzy koszule nocne, buty sportowe, trzy swetry, dwie pary spodni, skarpetki, koc wełniany, prześcieradła, poszewki na poduszki, poduszki i cieńsze koce. Wszystko zupełnie nowe! Nigdy w życiu nie miałam takiego dobytku! Nie zmartwił mnie zupełnie fakt, że większość ubrań była za obszerna.

Wyposażone w to wszystko, przeszłyśmy do cel. Do tej chwili Patricia była ciągle obok mnie, teraz jednak rozdzielono nas i zaprowadzono każdą do innej celi. Za olbrzymimi stalowymi drzwiami z judaszem kryło się maleńkie pomieszczenie z zakratowanym oknem z grubego zbrojonego szkła.

Po jednej stronie znajdowało się łóżko i przy nim szafka, po drugiej - stół i krzesło. Na podłodze stał nocnik, z którego w razie potrzeby korzystało się po zamknięciu cel. Pamiętam także wielki czerwony przycisk; jak mi powiedziano, można było go używać tylko w nagłych przypadkach.

Pierwsza samotna noc w celi była koszmarem. Prawie całą przeplakałam. Wyłam tak strasznie, że nad ranem strażnicy mieli mnie dość i przenieśli do celi Patricii. Mama odwiedziła mnie następnego dnia; nadal była bardzo przejęta. Za całą sytuację winiła wychowawczynie z zakładu. Powtarzała ciągle, jak bardzo czuje się przygnębiona. Dała mi trochę papierosów, które kupowała z marnych groszy co tydzień wydzielanych jej przez ojca. Do dzisiaj mam przed oczami paczkę, z której zostawiła sobie kilka papierosów, resztę wręczając mnie.

Bardzo płakałam, kiedy nadszedł koniec widzenia. Mama odwiedzała mnie w więzieniu kilka razy i przyniosła nowe ubrania.

Więzienne życie poddane było surowemu reżimowi. Każdego ranka budzili nas strażnicy, których wszyscy nazywaliśmy klawiszami, waląc kluczami w drzwi naszych cel o siódmej trzydzieści. Zaraz potem trzeba było wyjść z nocnikami w rękach; szorowało się je w toalecie. Potem następowało mycie nad umywalkami, ponieważ prysznic udostępniano nam tylko raz w tygodniu. Kobietom przysługiwały dodatkowe kąpiele podczas miesiączki; pamiętam, że codziennie kilka z nas głośno krzychało, że właśnie dostały okres.

Umyte i ubrane, odbierałyśmy śniadanie w okienku kuchennym, po czym zamykano nas z powrotem w celach na mniej więcej godzinę. Posiłki spożywałyśmy w odosobnieniu, żeby strażnicy mogli zjeść spokojnie. Po śniadaniu znów nas wypuszczano i mogłyśmy iść do biblioteki albo do pralni. Obiad i kolację jadałyśmy też w celach, a na noc zamykano nas już o dziewiętnastej.

Wyobrażam sobie, jak potworna musi wydawać się opowieść o pozbawionej wolności nastolatce zamkniętej w maleńkiej celi więziennej. Ale chociaż trudno w to uwierzyć, czas spędzony w Mountjoy wspominam jako jeden z najszcześniejszych okresów mojego dzieciństwa. Byłam najmłodsza w tym więzieniu, wszyscy więc mnie hołubili; zarówno strażnicy, jak i współwięźniarki. Niektóre z towarzyszek niedoli docinały mi, nazywając pupilka strażniczek, większość jednak była chyba przekonana, że jestem zbyt młoda, by zamykać mnie w więzieniu.

Gdy ja oraz Patricia oswoiliśmy się trochę z Mountjoy, z niekłamaną radością witałyśmy coraz to nowe dziewczyny, które wcześniej pracowały z nami w pralni albo były zamknięte w zakładzie wychowawczym. Gdy udało im się wyrwać z łap zakonnic, przeważnie żyły z prostytucji i popełniały drobne przestępstwa. Już pierwszego dnia po wejściu do świetlicy zostałyśmy powitane głośnymi okrzykami:

- Jezusie, Maryjo! A wy co tu robicie? Gdzie się nie ruszymy, zawsze was za nami przyniesie!

Pytały, za co wsadzono nas do więzienia i jaki wyrok dostałyśmy. Nie tylko my im, ale i one nam miały wiele do opowiedzenia. Spotkanie starych znajomych sprawiło, że więzienie nie wydawało się nam takie straszne.

Po ucieczce od zakonnic niektóre dziewczyny żyły po prostu na ulicy. Kiedy dostawały wyrok, odsiadywały go i w jakiś czas po wyjściu na wolność rozmyślnie dawały się na czymś złapać; wcześniej przysyłały koleżankom wciąż jeszcze odbywającym karę w Mountjoy kartki pocztowe z krótką informacją: „Zobaczymy się w przyszłym tygodniu”. Gdy nieco przywykłam do życia za kratkami, wcale mnie to nie dziwiło: więzienie to naprawdę pensjonat w porównaniu na przykład z pralnią magdalenek. Podczas odsiadki wyroku nie byłam bita ani molestowana seksualnie. Wkładałam każdego dnia nową bieliznę i trzy razy dziennie dostawałam solidny posiłek. Wszystkie byłyśmy czyste, ponieważ dawano nam podpaski higieniczne, mydło oraz pastę i szczoteczki do zębów. Podczas pobytu w Mountjoy po raz pierwszy miałam okazję użyć suszarki do włosów.

Praca w więzieniu dosłownie w niczym nie przypominała niewolniczej harówki w pralni magdalenek. Na tym etapie mojego życia byłam już przyzwyczajona do ciężkiej pracy fizycznej, a także niezwykle sprawna w wykonywaniu powierzanych mi zadań; przeszłam niezłą „szkołę” w poprawczaku u zakonnic. W więzieniu codziennie rano musiałyśmy szorować drewniane podłogi w celach, a wyniki naszej pracy sprawdzała starsza strażniczka. Z dumą usłyszałam pewnego dnia jej pochwałę:

- Muszę przyznać, Kathy, że podłoga w twojej celi jest najczystsza w całym Mountjoy.

Zgłosiłam się na ochotnika do pracy w pralni. Klawiszki przynosiły czasem z domu bieliznę i za jej pranie płaciły mi papierosami albo pudełkami czekoladek. Co miłsze powtarzały, że jestem dobrym dzieckiem i że według

nich nie powinnam się była znaleźć w tym miejscu.

Do moich obowiązków w więzieniu należało także czyszczenie kominka w kantynie, która mieściła się w osobnym budynku, solidnym i starym, wyglądającym jak normalny duży dom. Zawsze towarzyszyła mi któraś ze strażniczek. Czasem, kiedy już rozpałam ogień po uprzednim wyczyszczeniu kominka, dostawałam w nagrodę papierosy albo krakersy.

Popołudniami mogłyśmy odpocząć. Wychodziłyśmy na podwórze, by pograć w piłkę ręczną albo nożną. Mogłyśmy też spędzać czas w świetlicy, w której stały stół do ping-ponga, radioodbiornik i czarno-biały telewizor. Któregoś dnia strażniczki zorganizowały zawody sportowe dla więźniarek.

W pierwszej chwili odmówiłam udziału, później jednak, przekonana przez koleżanki, zgłosiłam się do kilku konkurencji i zdobyłam nawet kilka medali, które, oczywiście, przyniosły mi wielką satysfakcję. Na zakończenie rozgrywek sportowych zorganizowano ceremonię wręczenia nagród, podczas której oprócz medali dostałyśmy ciastka i czekoladki.

Czwarta po południu była ulubioną przeze mnie godziną życia więziennego. Wtedy mogłyśmy podejść do okienka kuchennego po bekon, kiełbaski i fasolkę, które nam serwowano na kolację. Każda mogła wziąć porcję, jaką chciała.

Więzienne jedzenie smakowało jak najwykwintniejsze specjały, szczególnie po brei wydzielanej w pralniach i zakładach opiekuńczych. Dawali nam też pieczone ciasto, a porcje były znacznie większe od zwykłych bułek; jeśli się chciało, można było wziąć nawet cztery kawałki. Bez ograniczeń brało się też masło i dżem. Do posiłków dodawano owoce i warzywa, których nigdy nie dostawałyśmy w pralniach.

W każdą niedzielę obowiązkowo musiałyśmy być na mszy.

Na wszelki wypadek trzymałam się od księdza jak najdalej.

Gdy jedna z wyższych funkcjonariuszek służby więziennej zleciła mi sprzątnięcie zakrystii, wpadłam w panikę. Odżyły we mnie wspomnienia tego, co

przeszłam w szkole poprawczej u zakonnic. Zapewne strażniczka była zdziwiona, że tak szczegółowo i natarczywie zaczęłam ją wypytywać o wszystko, w końcu jednak zapewniła mnie, że podczas gdy będę pracować, ksiądz nigdy w zakrystii nie będzie. Wtedy zgodziłam się przyjąć na siebie nowe obowiązki bez dalszych zastrzeżeń, a ona była ze mnie jak zawsze zadowolona. Jednego tylko nie potrafiła zrozumieć, wzięła mnie więc kiedyś na stronę i zapytała, dlaczego nigdy nawet nie dotykam kielicha mszalnego, chociaż do połysku czyszcę i szoruję w zakrystii wszystko. Odpowiedziałam, że kielich jest moim zdaniem świętością i nie ma prawa go dotykać osoba taka jak ja.

Szczerze wierzyłam, że gdy podczas mszy ksiądz błogosławi kielich, w cudowny sposób pojawia się w nim krew Chrystusa. Przez chwilę patrzyła na mnie z niedowierzaniem, po czym powiedziała:

- Jeśli zachowasz tę swoją dziecięcą niewinność na zawsze, będziesz cudownym człowiekiem, Kathy!

To ona była niezwykłą kobietą - duża, korpulentna i o złotym sercu. Często prosiła, żebym jej coś zaśpiewała, i w nagrodę dostawałam papierosy albo słodycze. Należała do moich ulubionych strażniczek wraz z jeszcze jedną starszą rangą funkcjonariuszką, która opowiadała mi historie więzienne z dawnych lat. Kiedyś pokazała mi nawet celę, w której trzymano więźniów ostatniej nocy przed powieszeniem. Aż mnie dreszcz przeszedł i błagałam ją, żeby mnie zapewniła, że z mojej celi nikt nie został nigdy zabrany na szubienicę.

Sporo czasu spędzałam w więziennej bibliotece i właśnie tam przypominałam sobie i rozwijałam umiejętności czytania i pisanie, które zaczęłam opanowywać, zanim zabrano mnie do szkoły poprawczej. Nauczyciele więzienni w końcu się mną zainteresowali i bardzo zachęcali do pracy. W więzieniu można się było nauczyć niemal wszystkiego. Oprócz lekcji odbywały się na przykład kursy szydełkowania i robienia na drutach. Mogłam więc

posiąć znacznie więcej umiejętności niż w zwykłej szkole, ale oczywiście za naukę nie dostawałam papierosów.

Życie w więzieniu było naprawdę o niebo lepsze od egzystencji w pralni prowadzonej przez magdalenki. Podczas odbywania kary ani razu nie zetknęłam się z nadużywaniem leków psychotropowych czy narkotyków, które później stały się ponoć więzienną plagą. Towarzyszki niedoli były dla mnie na ogół bardzo miłe. Nie znaczy to, że nie czułam się osaczona i zamknięta. Wysokie więzienne mury przypominały mi te, którymi otoczona była szkoła poprawcza. W więzieniu też czułam się zamknięta. Kilka razy straciłam panowanie nad sobą, a kiedyś nawet strażniczki musiały mnie uspokajać. Poszło o zapalniczkę. Więźniarkom nie wolno było mieć zapalniczek, dlatego wiele kobiet trzymało je w butach. Technikę ukrywania różnych przedmiotów opanowałam już w pralni, świetnie więc sobie z tym radziłam. Tamtego dnia wparowała do mojej celi jedna ze strażniczek i zażądała, żebym oddała jej zapalniczkę, którą ukrywam. A ja akurat wtedy zapalniczki nie miałam! Nie uwierzyła mi i kazała opróżnić kieszenie, a potem zdjąć buty i skarpetki. Nie wiem dlaczego, po wyjściu zgasła światło w mojej celi. Pewnie chciała mnie w ten sposób nastraszyć i zmusić do większej uległości. Ale zamiast spotulnieć, wpadłam w prawdziwy szał. Rzuciłam się po celi na oślep, odbijając od ścian. Strażniczka wezwała pomoc i razem z dwiema koleżankami weszła do środka, żeby mnie obezwładnić. Uratowała mnie jedna z tych, które mnie lubiły. Zjawiała się nagle i oświadczyła:

- Skoro Kathy mówi, że nie ma zapalniczki, to na pewno jej nie ma!

Musiała być wyższą rangą od pozostałych, bo strażniczki natychmiast mnie puściły. Jednak ta, która zgasła światło, nigdy mi chyba nie darowała, bo starała się utrudniać mi życie, a kilka razy nawet straszyla, że za karę zetnie mi włosy

Nawet w więzieniu nie potrafiłam powstrzymać wrodzonej chyba skłonności do psot i wygłupów; również i tam nieraz ściągnęła mi ona na głowę spore kłopoty. Każdego popołudnia po zakończeniu spaceru na powietrzu

wszystkie ustawiałyśmy się w kolejce przed drzwiami, by zostać wpuszczone do środka. Kiedyś razem z Patricią narobiłyśmy niezłego zamieszania: wymknęłyśmy się z kolejki i schowały w pralni. Kiedy strażniczki odkryły, że nas nie ma, zrobił się wielki raban. Wysłano na poszukiwania specjalną ekipę. Słyszałyśmy, jak wchodzi do pralni, ale nie było siły, żeby nas znaleźli w naszym schowku. Kiedy w końcu postanowiłyśmy wyjść z ukrycia, zaczęły się prawdziwe tarapaty. Zaciągnęli nas do naczelnika więzienia i za karę straciłyśmy szansę na wcześniejsze zwolnienie. Niespecjalnie nas ta kara obeszała, za to ubawiłyśmy się jak nigdy w życiu.

Innym razem zostałam złapana na podawaniu papierosów mężczyznom osadzonym na innym piętrze. Takie rzeczy robiło się w więzieniu często. Wyglądając przez okno celi, widziałam sznurki spuszczone z okien po ścianie budynku.

Ale ta metoda transportu wymagała niezłej wprawy - zanim udało się wychylić przez okienne kraty i pochwycić zwisający sznurek, trzeba było długo balansować, żeby utrzymać równowagę na pochyłym parapecie w celi.

Tamtego feralnego dnia posyłałam szlugi dla kolegi z góry, znanego mi jako PJ. Więźniowie robili takie rzeczy przede wszystkim dla rozrywki, ale strażniczki podchodziły do tego śmiertelnie poważnie. Dlatego miałyśmy system ostrzegania się przed nadchodzącymi klawiszkami, polegający na stukaniu w rury biegnące przez wszystkie cele. Jednak tym razem system zawiódł. Zawiesiłam na sznurku papierosa i krzyknęłam do góry:

- Trzymasz, PJ? Targaj do góry!

W tym momencie po drugiej stronie stalowych drzwi rozległ się głos:

- Kathy OBeirne! Wybiję ci z głowy kontakty z PJ!

Zaraz potem do celi wpadła strażniczka.

Tak bardzo się wystraszyłam, że upadłam na łóżko i omal nie przetrąciłam sobie karku. Strażniczka narobiła nam obojgu kłopotów i po raz kolejny musiałam stanąć przed obliczem naczelnika więzienia.

Moje problemy z żołądkiem nie skończyły się, niestety, podczas pobytu w Mountjoy. Dlatego część wyroku spędziłam w dublińskim Szpitalu Matki Miłosierdzia. W więzieniu nigdy nie kwestionowano naszych potrzeb związanych z wizytą u lekarza. Nie musiałam więc przechodzić męczarni, przekonując, że naprawdę mnie boli. Lekarze najwyraźniej jednak nie znali odpowiedzi na pytanie, skąd się biorą moje bóle. Pobierano mi bez końca próbki moczu i krwi do analizy, ale wyniki badań nie przynosiły żadnego rezultatu.

Często chwytały mnie tak potworne skurcze, że wyłam z bólu i chciałam umrzeć, żeby tylko przestać cierpieć.

W końcu minęły trzy miesiące i nadszedł koniec odsiadywania kary. W tamtym okresie nie bardzo potrafiłam ocenić upływ czasu. Tak było i w więzieniu, z wielkim więc zdziwieniem przyjąłm oświadczenie strażniczki, która pewnego ranka pojawiła się w mojej celi, mówiąc, że mam zebrać wszystkie swoje rzeczy i przygotować się do „natychmiastowego zwolnienia”. Było mi naprawdę smutno, że wychodzę na wolność; nawet pieniądze, które otrzymałyśmy jako wynagrodzenie za wykonywaną w więzieniu pracę, nie pomogły.

Podczas pobytu w Mountjoy czułam, że strażniczki i współwięźniarki są osobami mi bliskimi, i doskonale wiedziałam, że nikt nie będzie się o mnie tak troszczył po powrocie do zakładu wychowawczego. Zadrżałam na widok wychowawczynie, która przyjechała, by nas obie stamtąd zabrać. Nie byłam już więźniarką, ale też nie byłam jeszcze wolna.

Rozdział ósmy

Nareszcie wolna?

Powiedziałam: „Boże, cierpię!”.

A Bóg odparł: „Wiem”.

Powiedziałam: „Często płaczę”.

A Bóg odparł: „Po to dałem ci łzy”.

Powiedziałam: „Taka jestem przygnębiona!”.

A Bóg odparł: „Po to dałem ci słońce”.

Powiedziałam: „Życie tak ciężko doświadczają”.

A Bóg odparł: „Po to dałem ci dziecko”.

Powiedziałam: „Moje dziecko zmarło”.

A Bóg odparł: „A moje przybili do krzyża”.

Powiedziałam: „Ale twoje dziecko żyje”.

A Bóg odparł: „Twoje też”.

Powiedziałam: „Nie wiem, gdzie”.

A Bóg odparł: „Moje po prawicy, a twoje w jego wiekuistej światłości”.

Powiedziałam: „To boli”.

A Bóg odparł: „Wiem”.

(na kanwie wiersza znalezionego w internecie, autor oryginału nieznany)

Miałam jeszcze przed sobą dwa lata w zakładzie dla dziewcząt. Na samą myśl o poprawczaku ogarniały mnie mdłości. Byłam po prostu wykończona tym systemem. Dokonywano na mnie gwałtów, bito brutalnie, molestowano i wykorzystywano w każdy chyba możliwy sposób. Przed powrotem do zakładu pomyślałam: „Co ja się, kurwa, będę przejmowała? Przecież nic gorszego zrobić mi już nie mogą!”.

Dni potulnych odpowiedzi: „Tak, siostrze! Nie, siostrze!” albo

„Tak, ojcze! Nie, ojcze!” skończyły się bezpowrotnie. Robiłam się coraz bardziej buńczuczna. Jeśli miałam ochotę, to pracowałam, a jeśli nie, to nie pozwalałam się do pracy zmuszać.

Krótko byłam zatrudniona w Szpitalu Matki Miłosierdzia.

Nie dopuszczałam, by ktokolwiek mną dyrygował, choć nocami za karę wystawiałam na ganku. Zawsze się starałyśmy, żeby na zewnątrz przebywały co najmniej dwie dziewczyny, bo nie wiadomo, co w tak niebezpiecznej okolicy mogło się nam przytrafić. W sąsiedztwie zakładu włóczyło się po ulicach wielu mężczyzn i nie czułyśmy się bezpieczne. Doskonale wiedzieli, że często za karę spędzamy noce przed budynkiem, i przychodzili specjalnie, żeby na nas trafić.

Kiedyś podczas odbywania przeze mnie takiej kary zdarzył się wypadek tak przerażający, że nigdy go chyba nie zapomnę. Wieczorem na zewnątrz wystawiała za karę dziewczyna, którą nazywałyśmy Mousy. Jakiś czas po niej na dworze wylądowała także ja z koleżanką, nie pamiętam już za co.

Minęłyśmy siedzącą na schodach Mousy i przeszłyśmy na drugą stronę, po czym schowałyśmy się za murem, żeby zapalić papierosa. Stojąc tam, widziałyśmy, jak przez ulicę przechodzi pięciu mężczyzn i podchodzi do miejsca, w którym siedziała Mousy. Gdy zaczęli ją zaczepiać, schowałyśmy się w bramie, żeby nas nie zauważyli. Po chwili mężczyźni siłą zaciągnęli ją w ciemny kąt i zgwałcili. Kiedy wyglądało na to, że z nią skończyli, jeden z nich podniósł z chodnika butelkę, rozbił ją i wsadził jej między nogi. A my przez cały ten czas schowane w bramie modliłyśmy się, żeby nas nie zauważyli, bo na pewno byłybyśmy następne w kolejce. W końcu mężczyźni odeszli. Jak tylko zniknęli z zasięgu naszego wzroku, wyskoczyłyśmy z ukrycia i zaczęłyśmy wzywać pomocy, z całych sił kopiąc w drzwi wejściowe zakładu. Te kanalie najpierw tylko patrzyły przez okno, ale w końcu zrozumiały, że stało się coś złego i otworzyły drzwi. Zaraz potem po

Mousy przyjechała karetka. Nigdy już jej nie widziałam ani nie udało mi się dowiedzieć, jakie były jej dalsze losy.

Nawet ten incydent nie oduczył naszych wychowawczyń wysyłania nas za karę na zewnątrz budynku. Zresztą w środku też narażone byłyśmy ciągle na ryzyko. W dni powszednie do księdza często przychodzili praktykanci, a niektórzy z nich pojawiali się także w weekendy na organizowanych przez niego przyjęciach. Osoby odpowiedzialne za zakład wychowawczy lub opiekuńczy otrzymywały dla każdej z dziewcząt przydział pieniędzy na artykuły pierwszej potrzeby, między innymi na środki higieny osobistej. Żadna z nas nigdy nie skorzystała z tych funduszy, ponieważ wszystkie szły na wino i jedzenie spożywane podczas wydawanych przyjęć. Mężczyźni się upijali, po czym każdy wybierał jedną z dziewcząt, zabierał ją na spacer i wykorzystywał. Niektóre z nas zmuszono potem do uczestniczenia w podobnych przyjęciach w innych zakładach, w których sprawowali posługę przyjaciele naszego księdza; tam następował dalszy ciąg seksualnego maltretowania.

Niektóre dziewczęta zostawały w zakładach wychowawczych po ukończeniu osiemnastego roku życia, bo najzwyczajniej nie miały dokąd pójść. Ponieważ w świetle prawa były dorosłe, państwo nie ponosiło już za nie odpowiedzialności i dotacje przejmowane dotąd przez księdza oraz wychowawczynie się kończyły. Nie było sposobu, żeby takie dziewczęta mogły przebywać w zakładzie za darmo. Personel bezwzględnie się domagał, żeby znalazły sobie jakiś sposób zarobkowania i wносиły opłaty za wikt i opierunek.

Oczywiście, personel doskonale wiedział, że to bezwzględne wymaganie opłat zmuszało większość dziewcząt do prostytucji. Pracowały w centrum Dublina na ulicach przylegających do Baggot Street, a wręczając księdzu co tydzień trzydzieści funtów czynszu, mówiły mu prosto w oczy:

- Masz tu swoje brudne pieniądze. Wiesz doskonale, jak je zarobiłyśmy.

Dziewczyny opowiadały przerażające historie o tym zarabianiu na ulicy. Wiele było bitych, a kilka zniknęło bez śladu.

Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogą ulegać mężczyznom za pieniądze. Na samą myśl o tym ogarniały mnie mdłości.

Nikt tym dziewczynom nie pomagał, choć przecież w zakładzie wychowawczym regularnie bywali pracownicy opieki społecznej. Muszę jednak przyznać, że miałyśmy dwie albo trzy naprawdę kochane wychowawczynie, które robiły dla nas co w ich mocy. Problem polegał jednak na tym, że personel często się zmieniał, nie było więc czasu, żeby sobie nawzajem zaufać.

Jedynym jasnym punktem pobytu w zakładzie wychowawczym były weekendy, w które mogłam widywać Annie.

W tym czasie moja córeczka mieszkała w sierocińcu prowadzonym przez zakonnice. Rosła bardzo szybko i - jeśli nie liczyć problemów z brzuszkiem - była wspaniałym dzieckiem: bystrą i piękną małą dziewczynką. Któregoś razu zabrałam ją z sierocińca i poszliśmy do zoo. Było z nami kilka moich koleżanek. Przy wejściu wynajmowało się za trzy pensy małe samochodziki, w których można było obwozić maluchy po terenie zoo jak w wózku. Wyczekałyśmy na moment, gdy wypożyczający samochodziki pracownik się odwrócił, wsadziłyśmy Annie do środka i szybko przeszłyśmy przez bramę, nie płacąc. Wszystkie bawiłyśmy się świetnie, a Annie z niekłamaną radością oglądała zwierzęta. Nie zwróciłyśmy wózka, wychodząc z zoo. Odwiozłyśmy nim Annie do sierocińca, a potem mały samochodzik został gdzieś na ulicy.

Innym razem zabrałam moją córeczkę do domu towarowego Frawley na Thomas Street. Oglądałyśmy wszystkie stoiska, między innymi poszłyśmy też do działu z ubrankami dziecięcymi. Patrząc na cudowne sukienki dla małych dziewczynek, nagle zrobiłam się zła, że żadnej z nich nie mogę kupić Annie. Bo niby dlaczego moja córeczka nie mogła mieć ładnych ubranek? Bez namysłu sięgnęłam po jedną z tych pięknych sukieneczek i po urocze majteczki z falbankami.

Ubrałam Annie w nowe rzeczy, uważnie się rozejrzałam, czy nikt nas nie obserwuje, po czym zwinęłam jej stare ubrania w kłębek, wetknęłam w kąt i bezczelnie wymaszerowałam ze sklepu. Zakonnice na pewno spostrzegły zmianę, kiedy odprowadziłam ją do sierocińca, ale nie powiedziały na ten temat

ani słowa. Także moje koleżanki podbierały ze sklepów ubranka dla Annie, gdy tylko wychodziły na przepustkę. Jakże wspaniale było widzieć ją w czymś innym niż te obrzydliwe kaftaniki przekazywane sierocińcowi jako dary!

Liz, która razem ze mną przeszła przez szkołę poprawczą i szpital psychiatryczny, przebywała teraz w domu dla dziewcząt. Uwielbiała spotykać się ze mną i Annie. Zabawa z moją córeczką przynosiła jej wiele radości, a Annie ją uwielbiała.

Liz była nawet taka kochana, że kiedyś przysłała mi kartkę z życzeniami na Dzień Matki, podając się za Annie. Była to jedyna kartka z okazji Dnia Matki, jaką dostałam.

Oprócz widzeń z mamą w więzieniu, nie kontaktowałam się z domem rodzinnym od bardzo dawna. Mama rozmawiała ze mną o Annie, ale ponieważ miałyśmy mało czasu, pytała o nią bardzo ogólnie. Kiedy po wyjściu z więzienia wróciłam do zakładu wychowawczego, odwiedziła mnie razem z tatą. Siedzieliśmy w świetlicy, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Czekałam, kiedy zagadną mnie o Annie i kompletnie nie rozumiałam, dlaczego mama o nią nie zapytała.

Kiedy poinformowano mnie, że przyszli w odwiedziny, pozwoliłam sobie na optymistyczne myślenie, że może teraz ojciec się zgodzi, żebym wróciła do domu, i przyjmie też moją córeczkę. W końcu podczas rozmowy zebrałam się na odwagę i zapytałam go o to wprost.

- W moim domu nie będzie żadnych dzieci - odpowiedział krótko.

Na tym rozmowa się zakończyła. Matka tak bardzo się go bała, że nie odezwała się ani słowem. I niedługo potem wyszli.

Nigdy się nie dowiedziałam, jak mojemu ojcu udało się pogodzić z myślą, że jego córka zaszła w ciążę w wieku trzynastu lat i urodziła dziecko, znajdując się pod nadzorem zakonnic. Czy miał choćby zielone pojęcie, co się ze mną stało, czy też zrzucał wszystko na karb tego, że jestem z gruntu zła i nigdy ze mnie nic dobrego nie wyrośnie? Jestem pewna, że nie pozwolił matce nikomu

nawet o tym wspomnieć, obawiając się, że rzuciłoby to cień na jego opinię nieskazitelnego obywatela. Na temat okoliczności poczęcia Annie nie rozmawiałam z matką także wtedy, gdyśmy się ponownie połączyły, ponieważ i dla niej, i dla mnie był to temat zbyt bolesny.

Po ich odwiedzinach kilka razy złożyłam im wizytę w domu i błagałam matkę, by mi pozwoliła zostać i przyprowadzić Annie. Mama bardzo chciała ją zobaczyć i zapewniała, że porozmawia z ojcem; miała nadzieję, że ten w końcu zmięknie. Ale ilekroć zaczynała o tym mówić, wpadał w szał i wybiegał do pubu, wrzeszcząc na całe gardło, że nie chce mnie widzieć, jak wróci.

Nie traciłam jednak nadziei, że pewnego dnia zamieszkam z moją córeczką w rodzinnym domu. Kiedy Annie miała jakieś dwa i pół roku, postanowiłam bez zapowiedzi zabrać ją do rodziców na weekend, mając nadzieję, że zdarzy się cud i ojciec zmieni zdanie, gdy zobaczy wnuczkę. Mama natychmiast zakochała się w niej po uszy i stwierdziła, że jesteśmy do siebie podobne jak dwie krople wody. Próbowала jakoś przekonać do niej ojca; zachęcała go, żeby ją zaakceptował. On jednak pozostał nieugięty i kompletnie ignorował moją Annie.

Razem siedliśmy do herbaty i ciastek. Mama była taka szczęśliwa!

- Czy to nie cudowne? - powtarzała bez przerwy.

Sielanka nie trwała długo. Zaraz po podwieczorku ojciec oświadczył:

- A teraz zabierz stąd to dziecko i nigdy nie wracaj!

Wstałam od stołu i zaczęłam się zbierać do wyjścia. Obydwie z mamą płakałyśmy, ale co można było zrobić? Ojciec przedstawił swoje zdanie na ten temat i najwyraźniej nie miał zamiaru go zmieniać. Posadziłam więc sobie Annie na biodro, wyszłam z domu i ruszyłam przed siebie ulicą. Zapadał już wieczór i robiło się ciemno. Weszłam po drodze do kawiarenki i spędziłam tam chwilę, starając się bawić z Annie, choć serce pękało mi z żalu. Przecież chciałam tylko pobyc trochę dłużej z córeczką, ale nikt nie miał chęci ani zamiaru mi tego ułatwić.

Przypomniałam sobie, że niedaleko mieszka moja koleżanka. Poszłyśmy więc do niej. Miałam nadzieję, że pozwoli nam u siebie zostać. Odniosłam wrażenie, że bardzo chciała nam pomóc, ale bała się, że mój ojciec będzie miał do niej o to pretensje.

Wyszłam od niej mniej więcej o wpół do dziewiątej.

Z Annie na rękach ruszyłam do domu najstarszego brata.

Annie była taka słodka! Musiałyśmy pokonać jakieś półtora kilometra. Trochę szła sama, trochę ją niosłam, potem znów szła sama, a potem znowu ją wzięłam na ręce. Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, nie zastałyśmy w domu nikogo. Któryś z sąsiadów mi powiedział, że wyszli do pubu na drinka.

Czekała mnie znów ta sama droga, którą właśnie pokonałam, tylko w przeciwnym kierunku. Przed pubem musiałam poczekać na kogoś, kto wejdzie do środka, znajdzie brata i powie mu, żeby na chwilę wyszedł. W końcu ktoś taki się trafił. Brata bardzo zdziwił nasz widok:

- Dlaczego włóczysz się z małym dzieckiem w taki zimny wieczór? A w ogóle co wy tu robicie?

Wyjaśniłam mu, że przyjechałyśmy autobusem i że zabrałam ze sobą Annie, żeby ją pokazać rodzicom.

- Ale tata mnie wyrzucił i powiedział, że nie mogę jej przyprowadzać, kiedy przyjeżdżam do domu - dodałam.

- Wiesz, jaki on jest. Pewnie się boi, co sobie pomyślą sąsiedzi. Pójdę do niego i spróbuję go przekonać, by zgodził się was obydwie przenocować.

Powiedziałam, że poczekam do zamknięcia pubu. Ale gdy wszedł do środka, przyszło mi do głowy, że to przecież i tak nie ma sensu i że tylko niepotrzebnie stracimy czas. Odeszłam więc spod pubu i poszłam do koleżanki, bo niczego lepszego nie potrafiłam wymyślić. Przez chwilę się zastanawiałam, czy nie wrócić do rodziców, ale zaraz odrzuciłam ten pomysł, ponieważ i tak nie mogłabym tam przenocować. Oprócz tego nie chciałam narażać Annie na niebezpieczeństwo, z własnego doświadczenia wiedząc, do czego potrafi się

posunąć mój ojciec.

Zwyczajnie nie wiedziałam, co zrobić w tej sytuacji. Nie mogłam się zdecydować. Przed jedenastą wyszłam od koleżanki i wróciłam pod pub. Usiadłam na wielkim kamieniu przed wejściem i okrywszy Annie swoim płaszczem, czekałam, aż zaczną wychodzić. Była zmęczona i pewnie głodna, wierciła się więc i popłakiwała, a ja próbowałam ją uspić, kołysząc w ramionach.

W końcu jakieś pół godziny przed dwunastą ludzie zaczęli wychodzić z pubu. W tłumie dostrzegłam brata z żoną i zaczęłam się ku nim przedzierać, trzymając na ręku zawodzącą Annie.

- Mój Boże! Dziewczyno! Tyle czasu siedziałaś na tym zimnie? - wykrzyknął mój brat.

- Nie mogę odwieźć Annie do sierocińca. Muszę z nią wrócić do domu - wyjaśniłam.

- Wiesz co? - zaczął, a ja wyraźnie słyszałam w jego głosie, że zrobiło mu się nas żal. - Pojedziesz z Annie do mnie, a ja tymczasem porozmawiam z tatą.

Tak zrobiłam. Razem z jego żoną wsiadliśmy do taksówki, która zawiozła nas do domu. Brat dołączył do nas około pierwszej. Gdy usłyszałam, jak wchodzi, modliłam się, żeby przyniósł mi dobrą wiadomość. Tak na nią czekałam.

Ale nie przyniósł.

- Zrobiłem, co w mojej mocy, Kathy Rozmawiałem z nim, dopóki dało się z nim rozmawiać. Powiedział, że nie pozwoli się wprowadzić do domu ani tobie, ani dziecku.

Byłam zrozpaczona. Naprawdę miałam nadzieję, że Annie i ja zaczniemy żyć razem od początku. Sądziłam, że jej choroba jakoś zmiękczy mojego ojca, ale okazał się tak samo nieubłagany jak zawsze.

Spędziłyśmy tamtą noc w domu brata. Następnego ranka świeciło słońce i była piękna pogoda. Brat zaproponował, że wraz z żoną zabiorą mnie i Annie na

całodniową wycieczkę, ale odmówiłam. Powiedziałam mu, że zaraz wychodzę i odprowadzę Annie z powrotem do sierocińca. Ze względu na ojca i tak nic z tego nie będzie, a całodniowy wyjazd tylko niepotrzebnie by nas rozdrażnił. Niebawem znalazłam się z moją córeczką w autobusie. Odwiozłam ją do sierocińca i zostałam z nią tam przez chwilę, po czym wróciłam do zakładu.

Przez cały czas pobytu w zakładzie dla dziewcząt nękały mnie bóle brzucha. Z ich powodu kilka razy wysyłano mnie do szpitala. Podłączali mi różne kroplówki, podawali silne antybiotyki, ale nic nie pomagało i nadal nikt nie wiedział, co mi tak naprawdę dolega. Lekarze powtarzali tylko, że mam przewlekłą infekcję jelit, która jest oporna w leczeniu. Ataki zdarzały się często, dlatego byłam chuda i ciągle zmęczona.

Marie, pracownica opieki społecznej, która przez jakiś czas zajmowała się nami w zakładzie, utrzymała ze mną kontakt po odejściu stamtąd i bardzo przejmowała się moimi ciągłymi atakami. Przekonawszy się, że pobyty w szpitalu i lekarze nic mi nie dają, postanowiła wziąć sprawy we własne ręce. Któregoś dnia odwiedziła mnie i rozmawiałyśmy jak zwykle, aż tu Marie zapytała ni z tego, ni z owego:

- Chciałabyś pojechać do Lourdes, Kathy?

W pierwszej chwili mnie zatkało, a potem ogarnął entuzjazm. Przecież nigdy w życiu nie byłam za granicą! Oprócz tego miałam nadzieję, że może zostanę cudownie uzdrowiona, jak pielgrzymi, o których mówiono nam od czasu do czasu podczas mszy. Powiedziałam, że bardzo bym chciała pojechać do Lourdes i Marie zajęła się przygotowaniem mojego wyjazdu, który miał nastąpić już za kilka tygodni.

Marie była kochana; ona sama opłaciła ten wyjazd. Kupiła mi nawet nową walizkę z zamkiem, a w dniu wyjazdu odebrała mnie z zakładu i zawiozła na lotnisko. Przed pielgrzymką pojechałam z wizytą do mamy. Z radością przyjęła wiadomość, że odwiedzę miejsce, w którym Najświętsza Panna ukazała się świętej Bernadecie. Obiecałam odwiedzić mamę zaraz po powrocie i dokładnie

jej wszystko opowiedzieć.

Kiedy Marie wspomniała mi o tym pomysśle, myślałam z początku, że pojedzie tam ze mną. Tymczasem ona wykupiła wycieczkę tylko dla mnie, ponieważ w tym czasie jechali do

Lourdes jej znajomi, których poprosiła, aby się mną zaopiekowali. Gdy dotarłyśmy na lotnisko, pomogła mi w odprawie, a następnie odnalazła tych znajomych, żeby nas sobie przedstawić. Było to małżeństwo podróżujące z dwójką dzieci. Na pielgrzymkę wyruszała także duża grupa dziewcząt i szybko zaprzyjaźniłam się z jedną z nich. Miała na imię Catherine.

Usiadłyśmy razem w lotniskowej kawiarni i rozmawiałyśmy podniecone, paląc papierosa za papierosem.

Gdy ogłosili nasz lot i przyszła pora się pożegnać, wydawało mi się, że upłynęła zaledwie chwilka. Zaczęłam się denerwować, ale Marie mnie zapewniła, że przede mną same wspaniałe chwile i obiecała, że będzie mnie oczekiwać na lotnisku w dniu powrotu. Przeszliśmy przez halę odlotów, a później przez coś w rodzaju tunelu, który miał nas doprowadzić do samolotu. I wtedy właśnie wpadłam w panikę. Nigdy w życiu nie byłam w samolocie i wchodząc do tego tunelu, postanowiłam, że nigdy w życiu do samolotu nie wsiądę.

Bałam się lecieć. Stanęłam w drzwiach i zalałam się łzami.

- Ja się przecież do Lourdes nie pchałam! - rzuciłam jak niewdzięcznica wśród szlochów i łkań. - Nigdy w życiu nie leciałam samolotem i za nic w świecie nie wsiądę do środka.

W końcu jakoś mnie uspokoili, przekonując, że latanie jest całkowicie bezpieczne i nawet nie będę wiedziała, kiedy samolot oderwie się od ziemi. Gdy usiadłam w fotelu, posadzili obok mnie tę nową koleżankę, którą poznałam na lotnisku. Zaczęłam się w końcu uspokajać, nie na długo jednak.

Ponownie ogarnął mnie paniczny lęk, gdy z fotela podniósł się wysoki, postawny ksiądz i zaczął odmawiać różaniec. Powiedział, że zawsze to robi

przed odlotem do Lourdes, dzięki czemu Najświętsza Paniienka przez całą podróż otacza nas opieką. Wydawało mi się, że trwa to wszystko całe wieki.

I chociaż ksiądz zapewniał, że nigdy nie zdarzyła się katastrofa lotnicza podczas pielgrzymki do Lourdes, jego modlitwa wytrąciła mnie z równowagi i zaczęłam rozmyślać, co też złego się wydarzy podczas tego lotu.

Catherine była wspaniałą towarzyszką podróży. Natychmiast rozśmieszyła mnie do łez:

- Ja pierdołę! A już myślałam, że zaśpiewa nam piosenkę! - mruknęła pod nosem, przedrzeźniając księdza. Śmiałam się tak bardzo, że zapomniałam o strachu. Zanim się zorientowałam, byliśmy już w powietrzu. W tamtych czasach wolno było jeszcze palić w samolotach, po starcie więc obydwie z Catherine straszłyśmy piórka w części dla palaczy, każda przekonana, że jest królową balu.

Kiedy byliśmy w powietrzu już jakieś dwadzieścia minut, Catherine podciągnęła roletę i kazała mi wyjrzeć przez okno. Przechyliłam się nad jej kolanami i z zachwytem patrzyłam na jasny błękit nieba i wielkie masy bieli.

- Lecimy nad Islandią? - zapytałam naiwnie.

- Ja pierdołę! To nie śnieg, to chmury - odpowiedziała rozbawiona. Jednak pod koniec lotu się okazało, że nie była taka dzielna, za jaką chciała uchodzić. Kiedy zniżaliśmy się do lądowania, zerknęła przez okno i sama wpadła w panikę.

- Idź na przód, tam, gdzie siedzi pilot, i powiedz mu, żeby trochę zwolnił - poleciła mi nagle po dłuższej chwili milczenia.

W Lourdes wylądowaliśmy bezpiecznie i sprawnie przeszliśmy przez odprawę, po czym zapędzono nas do autokaru, który nas zawiózł do hotelu. Przez całą drogę nos miałam przyklejony do szyby; wszystko za oknem było takie inne i chciałam zapamiętać jak najwięcej. Jak wspaniale było znaleźć się z dala od wszystkich problemów!

Kiedy przybyliśmy do hotelu, nie mogłam uwierzyć, że nie musimy sami

dźwigać bagaży. Miałam zarezerwowany pokój jednoosobowy, ale ponieważ tak przypadłyśmy sobie z Catherine do serca, zaproponowano, żebyśmy zamieszkały wspólnie. Bardzo nam ta propozycja odpowiadała. Byłam zachwycona moją nową przyjaciółką. Opowiadałyśmy sobie różne historie z życia wzięte i szybko stało się jasne, że jej los był tak samo opłakany jak mój, jeśli nie gorszy.

Jedzenie w hotelu było przepyszne. Na posiłki schodziliśmy do dużej sali na parterze. Do dziś pamiętam, że pierwszego wieczoru podano na deser lody z brzoskwiniami dwa razy większymi od tych, które jadłam kiedykolwiek w Irlandii. Następnego ranka zaszalałyśmy z Catherine i przytaknęłyśmy, gdy nas zapytano, czy życzymy sobie śniadanie kontynentalne. Sądziłyśmy, że dostaniemy coś podobnego jak w Irlandii, i aż nam leciała ślinka na smażone pyszności. Najwyraźniej po to, żeby nam skrócić czas oczekiwania, kelnerka przyniosła nam po dwie bułeczki: jedną żytnią i jedną słodką, oraz kawę w filiżankach wielkich jak miski. Patrzyłyśmy, jak inni wcinają, zastanawiając się, co też dostaniemy na nasze kontynentalne śniadanie. W końcu do stolika podeszła jedna ze starszych uczestniczek wycieczki i zapytała, na co czekamy. Odparłyśmy, że na kontynentalne śniadanie, a ona omal nie zakrztusiła się ze śmiechu. Jak się uspokoiła, wytłumaczyła nam, że kontynentalne śniadanie mamy właśnie przed sobą na talerzach. Nigdy więcej nie popełniłyśmy tego błędu.

Pobyt w Lourdes trwał sześć dni. Odwiedzaliśmy różne święte miejsca w okolicy. Podczas wycieczki do Bartres zwiedzaliśmy zagrodę, w której święta Bernadetta opiekowała się owcami. Stała tam szopa cała pokryta fotografiami małych dzieci. Obok znajdowało się mnóstwo pluszowych zabawek, smoczków i becików. Miałam ze sobą fotografię mojej Annie i jej bransoletkę, bo chciałam poprosić świętą o jej wyzdrowienie. Zmówiłam także za moją córeczkę specjalną modlitwę.

Odwiedziliśmy kościół, w którym święta Bernadetta przystąpiła do

pierwszej komunii. Pamiętam, jak promień słońca nagle zalał całe wnętrze ciepłym światłem, wpadając do wewnątrz przez piękny witraż, pod którym siedziałam. Zrobiło się jakoś wyjątkowo i poczułam, jak moje problemy powoli odpływają.

Zdarzył się jeden przykry wypadek podczas całego pobytu w Lourdes, kiedy odwiedziliśmy słynne źródła. Tyle tam było ludzi, że staliśmy w kolejce trzy albo cztery godziny.

Wchodząc, należało się rozebrać i założyć szlafrok pobrany od szatniarza. Oczywiście, nie było siły, która by mnie do tego zmusiła; narobiłam takiego wrzasku, że w końcu się zgodzili, żebym tylko podwinęła nogawki spodni. Woda była tak zimna, że aż mi zabrakło tchu, kiedy zanurzyłam w niej stopę.

Potem po dnie źródła przeszliśmy na drugą stronę; tam kolejny pracownik pomógł nam wyjść z wody. Jeszcze inny napełniał mały srebrzysty kubek wodą ze źródła i podawał każdemu do picia. Podobno woda jest tam tak czysta, że nawet po przejściu wszystkich tych chorych ludzi można ją bezpiecznie pić i ozdrowieć z każdej choroby. Ja jednak nie mogłam się zmusić do wypicia wody, w której tyle osób moczyło nogi, i odmówiłam.

W grocie na ścianach wisiało mnóstwo drewnianych kul inwalidzkich i lasek. Były ich tam całe rzędy, ponoć zostawione przez tych, którzy zostali uzdrowieni. Nie poczułam, by w grocie nastąpiła we mnie jakaś cudowna przemiana, chociaż naprawdę nigdy w życiu nie byłam tak odprężona i zadowolona. Odkąd pamiętam, zawsze miałam w głowie rozbiegane i niespokojne myśli, a tam po raz pierwszy doświadczyłam wewnętrznego spokoju i ukojenia. Było to cudowne uczucie i bardzo chciałam, żeby się nigdy nie skończyło.

Trzeciego dnia wieczorem postanowiłyśmy z Catherine przejść drogę krzyżową, tę z figurami naturalnej wielkości na każdej stacji. Mówiono nam, że wielu ludzi robi to boso jako pokutę lub ofiarę w intencji czyjegoś uzdrowienia, postanowiłyśmy więc tak właśnie postąpić. Zdjęłyśmy buty i skarpetki i

ruszyłyśmy śmiało w drogę, która okazała się znacznie dłuższa niż sobie wyobrażałyśmy. Przez cały czas musiałyśmy iść po żwirze i kamieniach, na końcu więc stopy nam krwawiły. Ale widoki po drodze były przepiękne i nigdy tego przeżycia nie zapomnę.

W sumie przez cały czas było wspaniale. Z Catherine zaprzyjaźniłyśmy się na dobre i nie ruszałyśmy się jedna bez drugiej. Poznałyśmy wielu sklepikarzy i właścicieli stoisk z pamiątkami oraz kawiarni. W jednym z lokali właściciele, Chantelle i Henri, częstowali nas ciastkami i kawą. Wieczorem zawsze w którymś hotelu odbywały się spotkania z piosenką, miałyśmy więc dokąd pójść. Wszyscy byli dla nas serdeczni i naprawdę czułam, że wreszcie jestem człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Byłam zrozpaczona, kiedy nadszedł czas powrotu. Płakałam przez prawie całą drogę do domu, podobnie zresztą jak większość pielgrzymów. Zgodnie z obietnicą, Marie czekała na lotnisku w Dublinie. Była szczęśliwa, kiedy powiedziałam, jak bardzo mi się podobało. Zabrała mnie do mamy, z którą spędziłam całą noc przed powrotem do zakładu. Nie mogłam się doczekać, by opowiedzieć jej wszystkie wrażenia z podróży do Lourdes i wręczyć srebrną filiżankę, którą kupiłam dla niej w prezencie. Jeszcze następnego dnia, gdy znowu znalazłam się w zakładzie wychowawczym, czułam w sobie ten spokój, który towarzyszył mi podczas pielgrzymki. Niestety, nie było mi dane zachować go na dłużej.

Tego lata szalałyśmy wspólnie z moją przyjaciółką Alice.

Wymykałyśmy się z internatu, jak tylko trafiła się okazja, bez względu na czekającą nas za to karę. Ustawiałyśmy się przy skrzyżowaniach w nadziei, że uda nam się wskoczyć na tył którejś z zatrzymujących się na czerwonym świetle ciężarówek. Dzięki temu, wskakując ciągle do nowych samochodów, jeździliśmy po całym mieście. Bawiliśmy się świetnie; nie wyobrażałyśmy sobie lepszej rozrywki. Wspominając dzisiaj tamte dni, myślę, że miałyśmy kupę szczęścia, bo nic złego nam się nie stało.

Jadąc do miasta, poznałyśmy raz w autobusie cudowną kobietę. Opowiedziałyśmy jej trochę o sobie, a ona dała nam swój adres i telefon, prosząc, żebyśmy się z nią skontaktowały, gdy będziemy w potrzebie. Mówiła, że zna pewną starszą kobietę, która pracowała kiedyś w pralni u magdalenek, i dlatego doskonale rozumie, przez co obydwie z Alice musiałyśmy przejść. Po kilku tygodniach postanowiłyśmy zadzwonić do tej kobiety. Wy tłumaczyła nam przez telefon, jak do niej dojechać, i złożyłyśmy jej wizytę. Czekala na nas z herbatą i pieczonymi babeczkami z masłem. Dużo jej wtedy opowiedziałyśmy o naszym życiu. Okazała nam wiele współczucia i bardzo się zainteresowała losem mojej Annie. Tamtego popołudnia musiałyśmy szybko wracać do zakładu, ale potem odwiedzałyśmy ją regularnie, dopóki ksiądz nie wysłał nas do pracy

Kazał nam sprzątać u pewnej lekarki. Kobieta mieszkała w wielkiej willi z mężem i dwojgiem dzieci. Miałyśmy chodzić tam codziennie rano i sprzątać cały dom. Nie wiem, gdzie pracował mąż pani doktor, ale pewnego dnia wrócił do domu bardzo wcześnie - my jeszcze nie skończyłyśmy pracy. Akurat sprzątałyśmy pokój dziecięcy, kiedy wszedł i zamknął drzwi. Próbował nas czarować: mówił, że ładnie wyglądamy i dopytywał się, czy mamy już chłopaków. Po chwili zaczął nas zapewniać, że jeśli będziemy dla niego dobre, to on się nam odwdzięczy. Słyszałam to już w życiu tyle razy, że ani przez chwilę nie wątpiłam, do czego zmierza. Gdy poprosił, żebym go dotknęła, z całej siły kopnęłam go w jaja.

Przewrócił się na podłogę, wyjąc z bólu.

Kiedy wybiegałyśmy z pokoju, krzyczał za nami, że to były tylko żarty. Nawet się nie obejrzałyśmy i czym prędzej uciekłyśmy stamtąd, zapominając o zabraniu kurtek.

- Co z kurtkami? - zapytałam w biegu.

- A niech je sobie wsadzi tam, gdzie małpy wsadzają orzechy!

Po powrocie do zakładu opowiedziałyśmy o tym zdarzeniu księdzu. Nie

wydawał się zaskoczony. Kazał nam ignorować zaloty gospodarza i po prostu pracować. Uznał, że nie wydarzyło się nic strasznego i następnego dnia polecił nam jak zwykle zgłosić się do pracy w tym domu. My jednak nie miałyśmy zamiaru tam wracać, bez względu na karę, która mogła nas za to spotkać. Próbowaliśmy poskarżyć się innym pracownikom zakładu, ale nic nie udało się nam wskórać, bo ksiądz był przyjacielem rodziny pani doktor.

Wróciłyśmy więc do swoich dawnych zwyczajów i urywałyśmy się z zakładu, gdy tylko się dało. Znow zaczęłyśmy odwiedzać Maisie, naszą znajomą od pieczonych babeczek i herbaty Powitała nas z radością, a historia z mężem lekarki przeraziła ją i zasmuciła. Zaczęłam ją odwiedzać także w weekendy, bo pozwalała mi przyprowadzić do siebie Annie na cały dzień. Moja córeczka ją uwielbiała i nazywała „ciocią Maisie”.

W tamtym czasie odwiedziny u córeczki były dla mnie jedynym promykiem szczęścia. Miałam już siedemnaście lat i czułam, że moje życie zmierza donikąd. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić po opuszczeniu zakładu wychowawczego; wszystko zaczynało tracić sens. Ogarniała mnie coraz głębsza depresja i coraz częściej kłóciłam się z wychowawczyniami. Którejś nocy chciały wygonić mnie na zewnątrz za jakieś błahe przewinienie. Straciłam panowanie nad sobą i w furii wybiłam pięścią szyby we wszystkich oknach w pokoju. Zabrali mnie do Szpitala Matki Miłosierdzia, ponieważ trzeba było mi założyć szwy. Stamtąd jednak nie zostałam odwieziona z powrotem do zakładu, tylko do szpitala psychiatrycznego - tego, w którym zamknęli mnie jako dziesięcioletnią dziewczynkę. Żeby w ogóle dała się przeprowadzić przez drzwi wejściowe, musieli mi zrobić zastrzyk; w dodatku założyli kaftan bezpieczeństwa.

Następnego ranka przewieziono mnie do jeszcze bardziej przerażającego szpitala psychiatrycznego, mającego opinię najgorszego w całej Irlandii. Jak tylko dotarłam na miejsce, zamknięto mnie w izolatce; pomyślałam wtedy, że to koniec, że utknę tu już na całe życie. Ogarnęła mnie największa chyba w życiu

rozpacz. Doskonale wiedziałam, że nie wytrzymam w zamknięciu, postanowiłam więc, że jeśli nie uda mi się stamtąd wyrwać, popełnię samobójstwo.

Następnego dnia zaprowadzono mnie do lekarki, która kazała sobie opowiedzieć po kolei, co się ze mną dotychczas działo. Zrobiłabym wszystko, żeby się wydostać ze szpitala, nawet gdyby wiązało się to z budzeniem upiorów przeszłości. Nie bardzo mogłam uwierzyć: po raz pierwszy w życiu ktoś naprawdę mnie słuchał. I słyszał, co mówię! Po wysłuchaniu mojej opowieści pani doktor obiecała, że mi pomoże. Bardzo spokojnie oświadczyłam, że jeśli każą mi zostać w szpitalu, to popełnię samobójstwo. Wtedy przyrzekła, że mnie stamtąd wyciągnie. Zapytała nawet, czy zamierzam wytoczyć proces ludziom, którzy mnie skrzywdzili, wtedy jednak zależało mi tylko na wyjściu ze szpitala.

Dotrzymała przyrzeczenia. Wypisano mnie ze szpitala na dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Nie potrafię opisać, jak wielką odczułam wtedy ulgę. Musiałam oczywiście wrócić do zakładu opiekuńczego, tam jednak pracownica opieki społecznej od razu mnie spytała, co myślę o własnym mieszkaniu. Moje relacje z niektórymi przynajmniej pracownikami zakładu kompletnie się popsuły, dlatego ludzie z opieki doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jak się stamtąd wyniosę. A ponieważ ojciec nadal nie chciał mnie w domu, postanowili znaleźć mi coś w mieście.

W końcu się to udało i razem z moją przyjaciółką Alice wprowadziłyśmy się do małego mieszkania. Było nam naprawdę dobrze, ale i tak wiedziałam, że za kilka miesięcy, gdy skończę osiemnaście lat, a więc nareszcie będę wolna, moje życie nagle legnie w gruzach. Nie mogłam się doczekać chwili, gdy będę mogła robić, co mi się będzie podobało i nikt nie będzie mnie za to karać ani się na mnie wydzierać.

Szybko przyszło mi odkryć, że za wolność trzeba cholernie dużo zapłacić.

Kolejnych dwadzieścia siedem lat przyniosło ze sobą różne koszmary, czasem nawet gorsze od tego wszystkiego, co przeszłam w swoim zwichniętym

dzieciństwie. Niewątpliwie najbardziej bolesna była utrata mojej cudownej córeczki. Annie miała dziesięć lat, kiedy zmarła. Chyba nigdy nie pozbięram się po tej stracie. Jednak zostawiam ją na inną okazję, by skupić się na skutkach dziecięcych urazów w późniejszym, dorosłym życiu. Bardzo długo próbowałam uciekać przed koszmarami z przeszłości, zanim zrozumiałam, że nigdzie się przed nimi nie ukryję i że jedynym wyjściem jest stanąć twarzą w twarz z moimi oprawcami.

Rozdział dziewiąty

Ciemna smuga

Dziewczynka we mnie wzywa pomocy, a ja nie wiem, co robić.

Choć próbowałam, nie umiem sobie z nią poradzić.

Najchętniej zamknęłabym ją w tej wielkiej sali i nigdy stamtąd nie wypuszczała.

Chcę ją trzymać z dala od wszystkich; wolę, żeby nikt o niej nie wiedział.

Czasem myślę, że jestem dla niej okrutna.

Chyba nie chcę, żeby istniała.

Chcę, żeby zniknęła.

Gdyby tak całkiem ją wymazać, usnąć z mojego życia!

Smutna jestem i zła, że choć jest częścią mnie, myślę o niej jak o kimś obcym.

I próbuję sobie wmówić, że cała przeszłość dotyczy jej, a nie mnie.

Każda myśl o niej przynosi potworny smutek i ból.

Więc ją odpycham.

Czułam się bezradna wtedy.

Równie bezradna czuję się teraz.

Kiedy o niej myślę albo mówię, myśli i słowa układają się w wyraźny obraz: widzę jej cierpienie i strach, i łzy w jej oczach.

I nic nie mogę zrobić.

Ogarnia mnie lęk. Chyba boję się właśnie jej.

Dopiero po wielu latach, podczas których nie dopuszczałam do siebie wspomnień o najpotworniejszych krzywdach, jakie mi wyrządzono, duchy mojej upiornej przeszłości zaczęły do mnie wracać w postaci koszmarów. Któregoś dnia wybrałam się po zakupy do supermarketu. Byłam jedną z wielu w

tłumie kupujących. Obok mnie przesuwali się emeryci, kobiety z dziećmi, dziewczęta, którym najwyraźniej brakowało tak jak mnie kiedyś opieki, robotnicy kupujący kanapki podczas przerwy na lunch, kierownictwo sklepu i młodzi pracownicy układający towary na półkach.

Wzięłam koszyk i zaczęłam wybierać to, co zwykle. Doskonale wiedziałam, co chcę zrobić: zakupy. Najzwyczajniejsze zakupy, rzeczy potrzebne do codziennej egzystencji.

W jasno oświetlonej hali sklepowej wszystko wydawało się toczyć jak zwykle, mimo to jednak nagle poczułam niepokój.

Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że znalazłam się w nieodpowiednim miejscu. Do głowy wkradły mi się wątpliwości. Po co tu przyszłam? Potrzebowałam pomocy. Poczułam, że dłonie mi potnieją. Zaczęła mnie ogarniać panika, z początku niewielka. Słyszałam głos rozsądku w mojej głowie - powtarzał mi, żebym się nie wygłupiała, że nic złego nie robię. Ale i tak zaczęło mnie ścisnąć w żołądku.

Szłam między półkami z koszykiem na zakupy w ręku.

Sama siebie próbowałam przekonać, że to zwykły dzień, podobny do wszystkich innych. Że robię to, co zawsze, i wszystko jest w porządku. Minęłam dział z wybielaczami i środkami czystości. Na jednej z półek stała mała buteleczka ze środkiem odkażającym. Jej widok przypomniiał mi pewne wydarzenie z przeszłości. Wtedy ścisnęło mnie w gardle i poczułam, że zamykają mi się powieki.

Serce waliło mi jak szalone, a jakiś głos gdzieś w środku zaczął mruczeć, że jestem nieczysta. Powiedział też, że umrę; i natychmiast płuca zaczęły falować, usiłując złapać oddech.

Umierałam i nikt wokół nie chciał mi pomóc. Umierałam, ale ludzie dookoła mnie z pewnością sądzili, że jestem po prostu wariatką. Wzywałam pomocy, ale krzyk zamykał się we mnie.

Rozpaczliwie chciałam uciec w bezpieczne miejsce, ale wystarczył

ułamek sekundy, abym znów znalazła się w przeszłości.

Kiedy skończyłam sprzątanie, kazał mi iść do pomieszczenia obok zakrystii. Któraś z dziewczynek ostrzegła mnie, żebym tam nie wchodziła, ale co mogłam zrobić? Był księdzem, a w dodatku obiecał, że pomoże mi się stamtąd wydostać, jeśli okażę się dobrą dziewczynką. Siadając na drewnianej ławeczce w malutkim, niewiele większym od szafy pomieszczeniu, doskonale wiedziałam, co się zaraz stanie. Czułam, że mięśnie sztywnieją mi ze strachu. Kompletnie przerażona nasłuchiwałam dochodzących dźwięków.

W końcu usłyszałam: skończyła się msza święta, a po niej rozległy się odgłosy jego kroków zbliżających się do zakrystii. Potem słyszałam, jak myje ręce, obracając w dłoniach to obrzydliwe mydło. Zaszleściła sutanna, kroki skierowały się w moją stronę i otworzyły się drzwi. Stał naprzeciw mnie, a ja trzęsłam się od stóp do głów. Widziałam tylko jego wielką owłosioną dłoń: podniósł ją i położył mi na głowie. A potem wyszeptał: „No proszę, jaka grzeczna dziewczynka. Zaopiekuję się tobą. Pomogę ci stąd wyjechać i wrócić do mamy. Tylko bądź grzeczna”.

Zamknęłam oczy. Wielka ręką gładka mnie po głowie, a potem przesunęła się w dół i wpełzła pod sukienkę. Słyszałam tarcie o sutannę drugiej ręki, którą poruszał. Potem w pamięci nie zostało mi nic oprócz obrzydliwego zapachu mydła karbolowego i kwaśnego od wina smrodu jego oddechu, który stawał się coraz szybszy.

Bolał mnie dotyk jego palców, a szelest sutanny i gwałtowne, cuchnące winem oddechy waliły mi w uszach jak grzmoty. Potem nagle sapanie się urwało, a on zakaszłał, żeby oczyścić sobie krtań. Ręka znów powędrowała na moją głowę. „Dobra dziewczynka” - powiedział. Po chwili usłyszałam, jak sięga do kieszeni po chusteczkę i się nią wyciera. Chciałam krzyknąć, ale głos uwiązł mi w gardle. Na policzkach poczułam łzy.

Gdy upuściłam koszyk, moje zakupy rozsypały się po całej podłodze. Drżałam ogarnięta panicznym strachem. Z oczu ciekły mi łzy i czułam, że serce

wali jak szalone, jakbym za chwilę miała dostać zawału. Biegałam między półkami, ale nie potrafiłam spomiędzy nich wyjść. Rozmywające obraz łyzy sprawiały, że przejścia między regałami wyglądały jak prowadzący do sypialni korytarz z oknem.

Słyszałam za sobą kroki i biegłam co sił. Mój dziecięcy głosik krzychał: „Nie! Nie!”. Dobiałam do drzwi, ale były zamknięte.

Kroki stawały się coraz bliższe. Walałam pięściami w drzwi.

Kasjerki i zebrani przed kasami ludzie patrzyli na mnie, jakbym przed chwilą uciekła z domu wariatów. Walałam pięściami w metalową barierkę. Oddychałam nienaturalnie szybko i głęboko. Ścisnęła mnie za gardło jakaś olbrzymia dłoń.

Potem wyciągnęłam przed siebie ręce i otworzyły się automatyczne drzwi. Pędem wybiegłam na ulicę. Jakiś samochód z piskiem opon zahamował i gwałtownie skręcił, żeby mnie ominąć.

- Głupia suka! - wrzasnął za mną kierowca.

Znalazłam się na zielonym skwerku przed swoim domem: tam, gdzie bawią się mieszkające w okolicy dzieci. Słońce stało wysoko na niebie, ale ja nie widziałam nic oprócz klamki w drzwiach mojego domu. Usiłowałam biec, ale nogi miałam sztywne jak stalowe drągi, poruszałam się więc bardzo powoli.

Brakowało mi powietrza. Gdzieś we mnie mała dziewczynka z zakrystii wołała o pomoc. Ale co mogłam zrobić? Sama sobie nie potrafiłam pomóc, a co dopiero jej. Więc krzychałam, bo krzychała ona.

Dotarłam wreszcie do domu, chwiejnym krokiem przeszłam po ścieżce i zaczęłam walić do drzwi. Nikt mi nie otworzył. Panika dosłownie sparaliżowała mi wszystkie mięśnie.

Nie mogłam nawet unieść ręki, by uderzyć w drzwi jeszcze raz. Zresztą - po co miałabym to robić? Zdałam sobie sprawę z faktu, że w domu nikogo nie ma. Przecież mieszkam sama.

Ręce drżały mi tak bardzo, że wyjęcie klucza z kieszeni i trafienie nim do

zamka trwało całą wieczność. W końcu weszłam do holu i zamknęłam za sobą drzwi. Dotarłam do pokoju i rzuciłam się na kanapę. Pierś mi falowała, ale po jakimś czasie oddech zaczął się trochę uspokajać. Ból małej dziewczynki zelżał, ale wciąż słyszałam, jak cicho płacze gdzieś w kącie. Zwinęłam się w kłębek na kanapie, podobnie jak robiłam to, będąc małym dzieckiem, na drewnianej ławce w zakrystii. I płakałyśmy obydwie, dopóki nie skończyły nam się łzy.

W takich sytuacjach dopada mnie wielkie poczucie straty, niczym dziewczynkę, której zabrano ulubioną lalkę, towarzyszącą jej przez bardzo długi czas. Chcę się cofnąć o wiele lat i przytulić do siebie tę małą dziewczynkę - tę dziewczynkę, którą byłam; chcę otoczyć ją ramionami i powiedzieć, że nic jej nie grozi, że nikomu nie pozwolę jej skrzywdzić. Usunąć cierpienie i ból, które w jej głosie słyszę co dzień i co noc, przez całe tygodnie, miesiące, lata. Jednak cierpienie nie znika, podobnie jak nie znika ona: wciąż we mnie jest i wciąż szuka pocieszenia, miłości i zrozumienia.

Kiedy w myślach wyciągam do niej rękę, wiem, że to na nic, bo ona i tak nie uwierzy, że ktoś ją może kochać albo troszczyć się o nią bez żadnych niecznych zamiarów. Zainteresować się nią tak po prostu, nie chcąc jej ranić czy krzywdzić. Bo przecież nikt nie kochał jej za to, że była dobrą, miłą i grzeczną dziewczynką. Ludzie wokół wykorzystywali ją jako obiekt swoich zboczonych przyjemności. Ciągłe przy tym prali jej mózg, aż w końcu uwierzyła, że jest beznadziejna, zła i nie zasługuje na lepsze życie.

Pyta mnie, co takiego złego zrobiła, że jej życie stało się karą. Przecież większość dzieci nie musi przechodzić przez takie piekło. „Dlaczego?” - pyta, a ja nie potrafię jej sensownie odpowiedzieć. Mówię, że jeszcze nie wiem. Ale się dowiem. Jestem to winna sobie i jej. Muszę rozwikłać zagadkę, dlaczego ten kraj godzi się na to, by jego dzieci były zamykane, torturowane i maltretowane bez żadnej litości! Jednak na razie jestem zbyt skołowana, obiecuję jej więc, że kiedyś zbadam wszystko do końca, prześwidruję aż do samego dna, bo wiem, że zakonnice mówiły nieprawdę. Jestem inteligentna i pewnego dnia zrobię coś ze

swoim życiem.

Po tym pierwszym epizodzie nawrotu przeszłości wpadłam w pogłębiającą się depresję. Przez długi czas czułam się brudna, skalana i bezwartościowa. W głowie kołatała mi bez przerwy myśl o samobójstwie. Po co żyć, skoro to doświadczenie może się powtórzyć? Im częściej myślałam o samobójstwie, tym silniejsza stawała się obecność sprawcy: był jak wampir, żywił się moim strachem, który przecież on sam sprowokował. Wymigał się od kary, a mnie skazał na dożywocie - aż do dnia śmierci będą mnie nawiedzać koszmary z przeszłości. Sądziłam, że im szybciej śmierć nastąpi, tym lepiej, bo przynajmniej uwolni mnie od męki.

Którejś nocy jak zwykle wzięłam tabletki nasenne przed położeniem się do łóżka. We śnie zobaczyłam moją piękną córeczkę Annie. Unosiła się w powietrzu, błyszcząc jak najwspanialsze niebieskie anioły, czysta i niewinna. Płakała. Ale niezbyt rozpaczliwie, tylko tak cichutko, jak to dzieci, kiedy się domagają, żeby je nakarmić albo przytulić. Otworzyłam oczy, ale w uszach nadal brzmiał jej płacz; przepelniała mnie miłość i czułość. W tym koszmarnym piekle, przez które musiałam przejść, miałam przynajmniej moją śliczną niebieskooką Annie. Miałam się o kogo troszczyć - i dzięki komu zapomnieć o minionych potwornościach. Uśmiechnęłam się, jak każda dobra matka na dźwięk głosu swojego maleństwa, i wstałam z łóżka, żeby ją utulić. Ale mojej malutkiej Annie nigdzie nie było. Ktoś mi ją ukradł. Na pewno ją sprzedali jakimś Amerykanom! Z najgłębszych zakamarków duszy wyrwał mi się przeraźliwy krzyk i zrozpaczona zaczęłam walić pięściami w ściany. Rozejrzałam się dokoła w nadziei, że ktoś udzieli mi pomocy, nikogo jednak nie zobaczyłam. Mojej córeczki także. Byłam sama. Zawylałam i z impetem uderzyłam w ścianę. Chciałam się zranić, okaleczyć.

Wtedy się obudziłam. Leżałam na podłodze obok łóżka i głośno płacząc, waliłam pięściami w komodę. Przestałam się rzucać, wstałam i po chwili uświadomiłam sobie, że nie jestem w sypialni domu matki i dziecka, tylko we

własnej, a moja córeczka nie żyje od wielu lat. Padłam jak kłoda i pogrążona w rozpacz leżałam nieruchomo na podłodze. W końcu przeniosłam się na łóżko, do rana jednak nie zasnęłam.

Całe moje życie wywróciło się do góry nogami. Ciężko pracowałam, żeby pogrzebać upiory z przeszłości, i sądziłam już, że mi się udało. Jednak rany zadane mi w tamtych latach cierpienia i męki są tak głębokie, że chyba nie zagoją się nigdy.

Bez najmniejszego ostrzeżenia przeszłość przeplata się z teraźniejszością, nawet w biały dzień i w tłumie na ulicy. Czasem nie mogę patrzeć na wszystkie te twarze, które zwracają się wtedy w moją stronę. Czuję, jak ludzie usiłują przeniknąć mnie wzrokiem, i mam wrażenie, że doskonale widzą, co się dzieje we mnie w środku. A wtedy spuszczam wzrok i patrzę pod nogi, jak niegdyś w różnych zakładach wychowawczych.

Raz nawet to opuszczanie wzroku doprowadziło do kolejnej wizji. Wbiłam wzrok w ziemię i wtedy nagle zobaczyłam, jak zbliża się do moich stóp inna para nóg w butach. I choć szłam po betonowym chodniku, wyraźnie słyszałam odgłos stąpania po drewnianych schodach. Zakręciło mi się w głowie. Zatrzymałam się nagle. Ludzie ocierali się o mnie, a ja zataczałam się jak pijana. Poczułam, że torebka wysuwa mi się z dłoni i zobaczyłam, jak upada na ziemię. Wydało mi się, że patrzę na nią z ogromnego oddalenia. Leżała tak bardzo długo, a ja nie mogłam się schylić, by ją podnieść. Stałam nieruchomo, wszystkie mięśnie mi zeszywniały, a serce waliło tak jak poprzednio. Gruczoły wydzielające adrenalinę i pot ruszyły do akcji.

Słyszałam kroki na schodach. Każde kolejne stuknięcie podeszwy odbijało mi się w głowie jak uderzenie młotem. Ksiądz wszedł do świetlicy i zaczął mnie dotykać. Był niczym nieznośne i psotne dziecko. Jego nastrój i ton głosu zmieniały się w jednej chwili, jak żarówka za naciśnięciem kontaktu: był czuły i troskliwy, a zaraz potem odpychający.

Tym razem był spokojny i miły. Obiecał, że dopilnuje, abym pojechała do

domu, do mojej kochającej rodziny, jeśli tylko zrobię to, czego żąda, i nikomu o tym nie powiem. Zapewniał, że wszystko jest w porządku. Ale nie było, a ja doskonale wiedziałam, co mnie czeka: uczucie obrzydzenia, obmacywanie i dyszący oddech.

Jednak byłam tylko dzieckiem, cóż więc miałam począć? Wiedziałam, że zada mi ból i zrobi coś złego. Coś bardzo złego.

Cała zeszywniałam i zaczęłam płakać. Powiedział, że nie ma powodu do łez, że jestem dobrą dziewczynką i niebawem znajdę się w domu. Wtedy skoczyłam na równe nogi, wybiegłam ze świetlicy i popędziłam jak szalona korytarzem. Nie widziałam nic wokół i biegłam tak szybko, że omal mi serce nie wyskoczyło. Dobiegłam do schodów, słysząc za sobą jego kroki. Wbiegałam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Słyszałam za sobą jego sapanie. Już byłam na szczycie schodów, kiedy się potknęłam i spadł mi but. Wtedy poczułam, że łapie mnie za kostkę i ściąga na dół. Udało mi się jakoś wyrwać. Pobiegnęłam wzdłuż korytarza w kierunku sypialni.

Wpadłam do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi. W sypialni nie było nikogo. Podeszłam do swojego łóżka. Usiadłam, zaplatając dłonie wokół metalowych prętów i nerwowo stukając stopami o podłogę. Nie miałam dokąd pójść. Nie miałam gdzie się ukryć. Mogłam tylko czekać. Usłyszałam, jak drzwi się otwierają, a potem zamykają. Zaraz też dobiegł do mnie odgłos jego czarnych skórzanych półbutów uderzających o podłogę. Zamknęłam oczy w nadziei, że wszystko wokół zniknie i zapadnie ciemność. Ale nie zapadła.

Usłyszałam jego głos. Zapytał, co się stało, jakby nie wiedział, dlaczego przed nim uciekam. Zaciskałam powieki tak mocno, że przez chwilę miałam wrażenie, iż oczy wyjdą mi tyłem głowy. Wtedy poczułam na sobie jego dłoń. Nie głaskał. Był brutalny.

Pamiętam ból, jaki odczułam, kiedy rzucił się na mnie, zakrył mi usta dłonią i przycisnął całym swoim ciężarem. A potem jeszcze gorszy, kiedy na mnie napierał. Paliło mnie w środku, jakby rozgorzały tam wszystkie piekielne

ognie, którymi tyle razy straszyły mnie zakonnice. Wolałabym jednak smażyć się w piekle do końca świata niż znosić całą wieczność tych trzech minut, w czasie których wymierzał mi karę po swojemu. Gdy skończył, cały obrzydliwie zadrzał, a potem zakaszłał, jakby zażenowany.

Leżałam odrętwiała, a on wyszedł ze mnie i sięgnął do kieszeni po tę swoją ohydną chusteczkę. Kiedy odjął ją od siebie, zobaczyłam na materiale krwawe smugi. Między nogami miałam jeszcze więcej krwi. Głos mu się zmienił: znów stał się miękki.

Jako człowiek świętobliwy miał dopilnować, żebym opuściła to miejsce. Ale w zamian miałam być grzeczna i nie mówić nikomu, do czego między nami doszło.

Popatrzyłam na niego z nienawiścią. Zdołałam z siebie wydobyć tylko jedno: „Powiem mojej mamie, co mi zrobiłeś! Wszystko jej powiem!”. Ale on doskonale wiedział, że jest bezpieczny.

Kazał mi się wytrzeć i dołączyć do pozostałych dziewcząt. Otworzył drzwi sypialni. Wyszłam pierwsza. Słyszałam, jak echo jego kroków odbija się od ścian korytarza. Ten dźwięk miał za mną podążać już na zawsze.

Torebka wciąż leżała na chodniku, gdy wyrwałam się z pułapki pamięci. Podniosłam ją. Wciąż mijali mnie ludzie.

Miałam nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na moje katusze.

Lekko się zachwiałam i poszłam przed siebie. Wciąż jeszcze byłam ogarnięta paniką, lecz jakoś udało mi się zapanować nad odruchami. Dalej wszystko było jak zawsze - kroczyłam, nie wiedząc, dokąd zmierzam i czy ta droga kiedyś się skończy. Wiedziałam tylko, że muszę iść, ciągle iść, dopóki nie padnę.

Wspomnienie to powróciło po wielu latach, podczas których upychałam je w najgłębszych zakamarkach pamięci.

Dziecko zazwyczaj radzi sobie z działaniami różnych potworów, zapominając o nich szybko. Ma na to niezawodny sposób: wymazać wszystko z

pamięci i mieć nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. Tymczasem prześladowcy poczynają sobie jeszcze śmieiej. Niektórzy z nich się żenią, mają dzieci i wnuki. Inni dożywają do kościelnej emerytury, otoczeni powszechnym szacunkiem wiernych, jako że poświęcili swoje życie naszemu Zbawcy i Kościołowi. Upływ czasu niszczy im ciała powoli. Natomiast ja od dawna jestem zniszczona wewnątrz przez ich ohydne poczynania.

Burzę się przeciwko tej niesprawiedliwości i hipokryzji.

Czasem snuję marzenia o zemście na moich oprawcach. Wyobrażam ich sobie smażących się w piekielnym ogniu i słyszę ich przeraźliwe wrzaski, odbijające się echem od ścian rozżarzonej jaskini. Przyglądam się, jak bijące mnie kiedyś ręce i narządy, którymi mnie molestowali, skwierczą w ogniu, a ciało moich niegdysiejszych oprawców kipi od czubka głowy aż po pięty. Ich wołanie o litość trafia do głuchych na wszelkie błagania uszu szatana, który śmieje się demonicznie, obracając ich na swoich wielkich widłach jak na rożnie. Powtarza im w kółko, że zostali skazani na wieczne potępienie za najgorszy ze wszystkich grzechów ciała - skalanie i torturowanie niewinnych.

Wyobrażam sobie twarz księdza, w którego grzesznych, świńskich oczkach odbijają się płomienie; te oczy zwęzły się jeszcze bardziej, gdy zabierał się do swoich ohydnych rozrywek. Otwiera usta i widzę zęby rozżarzone jak spirala grzejnika elektrycznego oraz język skwierczący jak kawałek wątróbki na patelni. Z pokrytych bąblami i opuchniętych warg skapuje mu wrząca ślina. Błaga o litość. Tylko ja mogę uwolnić go od tego nieznośnego bólu. Wystarczy, bym powiedziała, że to się nigdy nie zdarzyło. Ale ja mówię, że to niemożliwe. On i jego pomocnicy powtarzali nam przecież ciągle, żeby nie kłamać, bo to grzech. Oprócz tego, skoro on skazał mnie na niekończące się katusze, dlaczego sam miałby uniknąć cierpienia?

Tuż za nim topi się w płomieniach nos na twarzy wielebnej matki przełożonej. Ona także patrzy na mnie, grzesznicę i pokutnicę, błagalnym wzrokiem. Oto kobieta potwór, która zamieniła moje dzieciństwo w koszmar, a

mnie w rozdygotany kłębek nerwów, nieustannie powtarzając, że skończę tam, gdzie ona się teraz smaży Na osmalonym piekielnymi płomieniami czole ma wydrapany napis: „Litości!”.

Przebaczenie jest jednak luksusem, na który nie mogę sobie pozwolić. We śnie sięgam po lustro, umieszczam je naprzeciwko niej i z wielką satysfakcją obserwuję przerażenie na jej twarzy. Ale kiedy nagle się ocknę, słyszę tylko moje własne błaganie o litość; wykrzykuję je na całe gardło. Tylko że litości nie ma, miłosierdzie nie nadchodzi. Te i inne nocne koszmary przynoszą mi jedynie chwilową satysfakcję płynącą z zemsty W rzeczywistości to nie moi prześladowcy, tylko ja cierpię męki jak potępiona.

Przychodzą czasem dni, które nazywam „dniami zabójcy”. Mam wtedy ochotę wziąć karabin i strzelać do każdego napotkanego księdza i każdej napotkanej zakonnicy Potem jednak wraca rozsądek i znów rozumiem, że winni są tylko niektórzy, a nie wszyscy Wielu ludzi się dziwi, że po wszystkim, co przeszłam w moim życiu, jeszcze wierzę. Trudno mi to wyjaśnić. Wiele razy myślałam, że gdyby naprawdę istniał miłosierny Bóg, nie pozwoliłby tak bardzo mnie skrzywdzić, nie zgodziłby się na moje cierpienie. Kiedy zmarła moja kochana córeczka Annie, przeklełam Boga, a jednak nadal wierzę.

Wydaje mi się, że to zasługa Matki Boskiej. Podobnie jak moi bracia i siostry, zostałam oddana w opiekę Najświętszej

Maryi Pannie, kiedy miałam rok. Mama zawsze mi powtarzała, że cokolwiek się stanie, Matka Boska zawsze mnie będzie chroniła, stanie obok mnie nawet w najgorszych chwilach i pomoże mi przez nie przejść. Sądzę, że moja matka zwracała się pod opiekę Maryi ze względu na to, co sama w życiu przeszła. Ta święta osoba chroniła także mnie, choć wiara nie zdołała wyzwolić mnie z koszmarów.

Często w snach biegnę wzdłuż wielkich korytarzy, próbując uciec przed oprawcą. A jeśli śni mi się szpital psychiatryczny, wiem, że na końcu znajduje się pokój z maszyną i poplątanymi przewodami elektrycznymi. Kiedyś

przechodziłam obok rzeźni i widziałam stłoczone przy wejściu świnie.

Kwiczały głośno, jakby wiedziały co je czeka za drzwiami.

Takie samo przeczucie prześladowe mnie w snach. Przerazona jak te świnie, które za chwilę zostaną zarżnięte, obserwuję innych pacjentów wywożonych z sali zabiegowej i modlę się, żeby jakimś cudem lekarz o mnie zapomniał. Zaczynam wrzeszczeć, bo znam już ból, przez który za chwilę będę musiała przechodzić. Kiwam się na korytarzu jak niektórzy chorzy psychicznie starsi pacjenci i próbuję jakoś wcisnąć słowa: „Proszę, nie!” między szloch i łzy. Jednak nigdy nie udaje mi się zapobiec temu, co ma się wydarzyć za zamkniętymi drzwiami.

Wspomnienia dręczą mnie jak jakaś klątwa. Nie ma od nich ucieczki. Widma z odległej przeszłości ustawiają się do mnie w kolejce. Wracają przedmioty i ludzie. Wystarczy jedno imię i już jestem tam z powrotem. Laura. Choć minęło tak wiele lat, nie zapomniałam o niej. Była taka piękna!

Kiedy o niej myślę, przychodzą mi do głowy wszystkie okropności, które musiała przeżyć, a potem przed oczami staje mi człowiek za to odpowiedzialny. Cierpię tym bardziej, że nie potrafiłam jej pomóc; nie mogłam zrobić nic, by zapobiec okrucieństwu w stosunku do niej. Pamiętam ze szczegółami wygląd dręczącego ją mężczyzny; przede wszystkim jego odrażającą i złą twarz. Potrzebowałam dwudziestu pięciu lat, żeby zdobyć się na wymówienie jego nazwiska i teraz chciałabym wszystkim dokoła powiedzieć, co zrobił: zniszczył Laurę, doprowadził ją do kompletnej ruiny

Laura odeszła, zostawiając mi w sercu pustkę, której nikt już nie wypełni. Często o niej myślę. I ona też pojawia się w moich snach. Przechodzę po małym moście nad rzeką i nagle, choć przecież panicznie boję się wody, coś mnie kusi, żeby przystanąć i spojrzeć w dół. Widzę wszystko, co się znajduje na dnie. Między falującymi wodorostami przemykają ciemne cienie ryb. Zaczynam gonić je wzrokiem, a wtedy zielone liście się rozchylają i dostrzegam niemowlę w powijakach. Leży tam z otwartymi oczami. Po chwili rozpoznaję jego twarz:

to twarz Laury, zagubionej i samotnej, a rzeka to łzy, które wypłakuje. Nic jednak nie mogę dla niej zrobić.

Wiem, że jeśli spróbuję podejść, zostanę razem z nią wciągnięta do wodnego grobu, do mokrej otchłani. Odwracam się więc i zaczynam biec przez most. Ale nogi mam jak z ołowiu i poruszam się bardzo powoli. Słyszę bulgoczący nurt przelewającej się pode mną rzeki.

Dobiegam wreszcie na drugi brzeg i widzę idący w moim kierunku kondukt pogrzebowy. Za trumną podąża kilka kobiet w czarnych sukniach. Twarze mają zakryte mantylkami.

Grabarz też nie ma pod cylindrem twarzy, a zamiast dłoni - tylko kości nieobleczone nawet kawałkiem ciała. I nie nosi czarnego garnituru, tylko zakrwawiony rzeźnicki fartuch; jeden z tych, które musiałyśmy pracować u zakonnic. Za nim widać transparent z napisem PRALNIA SIÓSTR MAGDALENEK, a pod spodem mniejszymi literami słowa: „Pokutuj za grzechy, bo zostaniesz potępiony!”.

Kondukt zrównuje się ze mną. Mija mnie bardzo powoli.

Widzę trumnę: jest cała ze szkła. Leży w niej Laura nakryta białym całunem. Patrzę na nią, a ona się odwraca, podnosi rękę i kiwa do mnie, jakby mnie przywoływała. Z ruchu warg odczytuję prośbę: „Ocal mnie! Ocal! Miej zmiłowanie!”.

Czuję, że coś ciągnie mnie w kierunku karawanu. Podnoszę wzrok. Grabarz przemienił się w matkę przełożoną; teraz stoi, trzymając w podniesionej dłoni zakrwawiony rzemień, gotowa w każdej chwili uderzyć. Zimna jak lód ręka Laury obejmuje mnie w pół i słyszę jej wołanie: „Pomóż mi! Pomóż!”.

Budzę się, ponieważ to ja wykrzykuję te słowa. Ale nic nie mogę zrobić. Nie mam sposobu, by ją ocalić. Kończy się koszmar kolejnej nocy, a zaczynają długie tygodnie głębokiej depresji.

Chciałabym, żeby to wszystko ode mnie odeszło. Chciałabym wpakować całą swoją przeszłość do dużego pudełka, zamknąć je, starannie przewiązać

sznurkiem i nigdy już nie otwierać. Potem popłynęłabym na środek wielkiego ciemnego jeziora, doczepiła do pudełka kotwicę, wrzuciła je do wody i obserwowała, jak idzie na dno, wypuszczając na powierzchnię bańki powietrza. Ale w moim śnie kotwica się odrywa i pudełko ciągle wypływa na powierzchnię, jak wrzucone do wody ciało zamordowanego, które po jakimś czasie wypłutuje się z lin i wypływa na wierzch, żeby prześladować zabójcę. Chcę pobiec na szczyt wzgórza wznoszącego się nad moim wymyślonym jeziorem i krzycheć, krzycheć, krzycheć. Jak najgłośniej, żeby wykrzycheć wszystko. Ale nie mam siły Nie mam pojęcia, jak radzę sobie z tak wielkim stresem. To chyba ludzka chęć przetrwania popycha mnie dalej naprzód.

Mam także i dobre dni, choć nie zdarzają się często. Po miesiącach fizycznych i psychicznych cierpień pewnego ranka obudziłam się w lepszym nastroju. Przespałam całą noc i czułam się wypoczęta. Później zjadłam lunch z koleżanką, z którą nie widziałam się od dawna. Wszystko to przychodziło mi z trudem, zmuszałam się jednak do normalnego funkcjonowania i z zadowoleniem zauważyłam, że te wysiłki nie idą na marne. Do mojego serca zawitała nadzieja. Poczułam, że wraca mi ta odrobina wiary w siebie, a wtedy pomyślałam, że może zdołam jakoś uporać się z przeszłością. Wiem, że niemożliwe jest odzyskanie tego wszystkiego, co mi odebrano, i że nigdy nie oczyszczę się całkowicie z tych brudów, w których zmuszona zostałam się unurzać. Nadzieja pozwoliła mi jednak uwierzyć, że pewnego dnia spojrzę w lustro i powiem: „Udało ci się, Kathy! Przeżyłaś! Jakoś naprawiłaś swoje zrujnowane życie”.

Ale po tym dobrym dniu nastąpił naprawdę fatalny Czarny piątek. Rano nie mogłam się doczekać spotkania z moją prawniczką, ponieważ sądziłam, że poukładałam już sobie wszystko w głowie i poruszę z nią tematy, o których wcześniej bałam się rozmawiać. Wtedy nagle ogarnęła mnie panika i nie potrafiłam zapanować nad własnymi myślami. Pędziły w głowie, dudniąc jak pociągi pospieszne w zawrotnym tempie mijające stacje, na których się nie zatrzymują. Nie potrafiłam nad tymi galopującymi myślami zapanować. Nie

miałam pojęcia, co zrobić, żeby więcej nie dopuścić do takiej galopady, wyrzucić z siebie przeszłość i umieścić ją tam, gdzie jej miejsce: poza zasięgiem wzroku i z dala od świadomości. Im bardziej starałam się to osiągnąć, tym gorzej się czułam. Miałam wrażenie, że pochylałam się nad wielkim wulkanem i doskonale wiedziałam, że muszę się cofnąć, aby nie zginąć pod strugami wypływającej lawy. Ale nie mogłam się ruszyć, jakbym zapuściła korzenie w miejscu, w którym stałam. A przez krater już się przelewała gorąca magma - nie do zatrzymania, podobnie jak moje myśli, wspomnienia i emocje.

I wtedy spłynęła na mnie myśl jak wrząca lawa: to wszystko moja wina. Zasłużyłam sobie na taki los. Dlaczego nie mogę uciec? Dlaczego stoję jak wryta? Dlaczego bez protestu pozwalam się niszczyć? Dlaczego powtarzam sobie, że to się nie dzieje naprawdę, chociaż czuję żar pełznącej lawy, chociaż zaledwie kilka centymetrów dzieli ją ode mnie? Zaczyna palić się na mnie ubranie, a ja wciąż się upieram, że to się nie dzieje naprawdę.

Właśnie dlatego tamtego feralnego dnia nie mogłam sobie poradzić z myślami tej małej dziewczynki, która zaprzeczała wszystkiemu, co się jej stało. Dlatego nie chciałam dostrzec faktu, że wrząca lawa zaczyna mi przypalać ciało.

W takich chwilach to ją obarczam winą za wszystko, co się stało. Była głupia, bo przecież mogła coś zrobić, mogła powstrzymać jakoś oprawców. Nie zawsze miała sześć, osiem czy dziewięć lat. Krzywdzono ją przecież także, gdy miała dwanaście, potem trzynaście; i wtedy także się na to godziła.

Mój gniew osoby dorosłej zwraca się przeciwko dziecku, ponieważ pozwalało wykorzystywać się seksualnie ludziom, którzy mieli nad nim całkowitą władzę. To niesprawiedliwe, nieuczciwe, bo przecież mała dziewczynka nie mogła zrobić nic, żeby ich powstrzymać. Nic nie potrafię jednak poradzić na to, że winą za wszystko obarczam właśnie ją.

Kiedy te emocje mnie przepełniały i zupełnie nie potrafiłam sobie z nimi poradzić, trzykrotnie próbowałam popełnić samobójstwo. Za każdym razem uratowano mnie w ostatniej chwili. Nie wiem, co każe mi dalej żyć. Może to

upór i złość.

I nienawiść. Może więc mimo wszystko nie są to emocje aż tak złe, jak się powszechnie sądzi? Gdybym odebrała sobie życie, potwory z przeszłości wygrałyby wojnę i mogły spokojnie żyć, unikając kary za swoje podłe czyny. Walczę więc z nimi dalej, choć nie udaje mi się wyrzucić z pamięci tych obrazów i nie umiem powstrzymać ani nocnych koszmarów, ani zdarzających się za dnia przywidzeń. Przeszłość toczy mnie od wewnątrz jak rak. Ale jestem zdecydowana opowiedzieć wszystkim moją historię i walczyć o sprawiedliwość.

Rozdział dziesiąty

Kobiety, o których Irlandia zapomniała

Molly, moja przyjaciółko z dzieciństwa!
Dzisiaj znów cię odwiedziłam.
Nadal masz samotność wyrytą na twarzy.
Wszystko, co miałaś mi do powiedzenia, szeptałaś do ucha.
Jakaś ty wynędzniała!
Jaką radością lśnią twoje oczy na mój widok!
Krótka trwała ta wizyta, więcej jeszcze miałaś mi do powiedzenia.
Czegoś się bałaś, bo wciąż żyje w tobie cierpienie.
Sprawdzałaś, czy nas nie podsłuchują.
Widać było, kto traktuje cię dobrze, a kto źle.
Czy ktokolwiek wysłuchał twojej historii?
Albo zaoferował ci pomoc?
Myślę, że nie.
Zaprowadziłaś mnie do sali, w której żyjesz od tak dawna.
Nie masz nocnej lampki przy zimnym łóżku, w którym sypiasz samotnie.
Szeroko otwarte okna i tak wiele chłodu.
Ale tak samo zimno byłoby po zamknięciu okien.
Żadnych czasopism, żadnych kwiatów, żadnych obrazów.
Masz tak niewiele, a tak bardzo się boisz to stracić.
Tyle było zamieszania, kiedy wychodziłam.
Trzeba zamknąć drzwi na klucz, bo ktoś wszystko zabierze!
A ja sobie myślę: „Co ty masz, Molly? Przecież nie masz nic!”
Spędzam z nią chwilę na rozmowie.
I znów przeszłość wraca do niej w mgnieniu oka.

Bez przerwy mówi mi o tym, co zrobiono jej wiele lat temu.

Zastanawiam się, jakie piekło nosi w sobie.

Jej szept upiornie dźwięczy mi w uszach, jak wrzask mewy krążącej gdzieś wysoko.

W poszukiwaniu ucieczki.

Wybacz nam, Molly, wszystko, cośmy ci uczynili!

Nikt nie ujął się za tobą. Nie wysłuchano nas, gdyśmy chcieli cię bronić.

Nie wpuścili nas do środka ci, co mają władzę.

Cudze grzechy zniszczyły życie tej ludzkiej istoty.

Jeszcze jedno zapomniane dziecko z przeszłości.

Nikt nie zna Molly i nikt jej nigdy nie pozna.

Jest jak nieaktualna wiadomość sprzed lat, zapomniana na zawsze.

Jeszcze jedno opuszczone, źle traktowane dziecko, które zamknięto w zimnym miejscu pełnym nieszczęść.

Czy świat wie, co święta Irlandia robi swoim niewinnym dzieciom od tak wielu lat?

Odkąd udało mi się wyrwać z zakładu w wieku osiemnastu lat, rozpaczliwie próbowałam zostawić przeszłość za sobą. Jakaś część mnie jednak nie potrafiła zapomnieć o przyjaźniach, które nawiązałam, znajdując się pod „opieką” państwowych instytucji. Gdy dorastałam, koleżanki zastępowały mi rodzinę, a wszystko, co razem przeszłyśmy, wytworzyło między nami nierozwalne więzi. Z koleżankami, którym także udało się wyrwać, jakoś straciłam kontakt. Pewnie tak musiało być. Ale niektóre dziewczyny nadal były więzione: albo miały się za murami ośrodków dla umysłowo chorych, albo wciąż harowały w pralniach magdalenek. Starłam się na bieżąco śledzić ich los i odwiedzać je, jak tylko było to możliwe.

Jedną z kobiet, które do dziś odwiedzam regularnie, jest

Molly. Poznałyśmy się na oddziale dziecięcego szpitala psychiatrycznego. Miałam wtedy dziesięć lat. Molly była ode mnie starsza i gdy nasze drogi się

zeszły, przebywała w szpitalu od kilku lat. Już wtedy było oczywiste, że terapia elektrowstrząsowa, której poddawano ją regularnie, przynosiła opłakane rezultaty. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, siedziała na wózku inwalidzkim, całkowicie ignorowana przez personel i pozostałych pacjentów. Było to wkrótce po przyjęciu mnie na oddział; widok Molly ze wzrokiem wbitym w ścianę zwyczajnie mnie przerażał. Wkrótce jednak przywykłam do niej i przekonałam się, że miewa też dobre dni; wtedy rozmawiała ze mną o przeszłości. W ten sposób poznałam przygnębiającą historię, która znalazła zakończenie w szpitalu dla umysłowo chorych.

Matka Molly zmarła młodo, a ojciec szybko ożenił się ponownie. Jednak nowa żona nie chciała się zajmować czwórką jego dzieci z poprzedniego małżeństwa. W ten sposób Molly wraz z rodzeństwem wylądowała w ośrodku opiekuńczym.

Tam ich rozdzielono, zabierając dziewczęta do szkoły poprawczej, a chłopców do szkół przemysłowych. Po kilku latach wysłano Molly do pracy w pralni magdalenek. Podobnie jak ja i wiele innych dziewcząt, była wykorzystywana seksualnie, a gdy postanowiła poskarżyć się zakonnicom, została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym. Opowiedziałam jej także swoją historię. Razem płakałyśmy nad naszym losem, zastanawiając się, dlaczego nikt nie przyszedł nam z pomocą.

Kiedy Molly źle przyjęła zaaplikowaną jej kurację, nafaszerowali ją prochami i wystawili na korytarz. Przestano zupełnie o nią dbać; gdyśmy się lepiej poznały, starałam się nią zajmować i pilnowałam, żeby zawsze miała co pić i jeść.

Niestety, Molly pozostała w szpitalu psychiatrycznym jeszcze przez wiele lat po moim odejściu. Przebywa w zakładzie dla umysłowo chorych do dziś. Staram się jak najczęściej ją odwiedzać. Ilekroć mnie widzi, rozjaśnia jej się twarz.

Obie mamy wrażenie, że znów jesteśmy dziewczynkami starającymi się

wyprowadzić w pole szpitalny personel. Przynoszę jej słodycze i papierosy, bo nigdy nie prosi o nic innego.

Opowiada mi, jak jest traktowana przez personel i jakie ma kłopoty z innymi pacjentami. Często wraca do przeszłości; przyznaję, że z trudem znoszę jej wspomnienia o tych okropnościach, które nas spotkały, gdy byliśmy dziećmi. Nie mogę powstrzymać łez, kiedy powtarza:

- Przecież nie zrobiłyśmy nic złego, Kathy! Dlaczego wszyscy byli dla nas tacy źli?

Wtedy bezradnie opuszczam głowę, bo sama nie znam odpowiedzi.

Molly jest schorowana i wygląda staro jak na swoje lata.

Cała powykrzywiana, kaszle, bo wdychane w pralni chemikalia zniszczyły jej płuca. Ilekroć ją zostawiam w tej instytucji, mam przeraźliwe wyrzuty sumienia. Czuję się winna i jest mi smutno. Żałuję, że nie mogę jej zabrać ze sobą do domu.

Marzę o zakupieniu dużego domu gdzieś na wsi. Zabrałabym do niego wszystkie swoje koleżanki z pralni magdalenek, zamknięte w różnych zakładach i gnijące w nich jak w więzieniu. W moim domu znalazłyby się pod troskliwą opieką, z ludźmi, którym naprawdę by na nich zależało. Mogłyby robić, co im się podoba. Już nigdy nie musiałyby pytać, czy wolno im wyjść do ogrodu albo czy mogą zapalić. Także wyspałyby się wreszcie do woli - w wygodnych łóżkach przykrytych piękną pościelą. Dostawałyby posiłki na życzenie i nie zebrałyby o filiżankę herbaty. Bardzo żałuję, że nie mogę zaoferować im takiego zwyczajnego życia. Ze nie mogę ich uwolnić, nim będzie za późno.

Dla innej mojej przyjaciółki już jest, niestety, za późno. Pocieszam się tylko, że w końcu znalazła spokój. Po raz pierwszy spotkałam Liz w szkole poprawczej, do której posłano mnie w wieku ośmiu lat. Była ode mnie starsza, ale też bardzo drobna. Miała włosy w kolorze mysim i duże niebieskie oczy. Malutka, ale pełna życia i humoru, zawsze umiała mnie rozweselić. Wspaniale recytowała wiersze i śpiewała jak anioł. Byłam wstrząśnięta, kiedy zabrano ją ze

szkoły, ale niczego nie mogłam się dowiedzieć. Szybko jednak spotkałyśmy się znowu na oddziale dziecięcym szpitala psychiatrycznego; wydawało się, że kroczenie po tej samej ścieżce jest naszym przeznaczeniem.

Kiedyś podczas zabawy na łąkach przylegających do budynków szpitalnych Liz opowiedziała mi swoją historię. Moja była istnym horrorem, ale wysłuchanie tego, co złego wydarzyło się w jej życiu, było nawet dla mnie nie do zniesienia.

Z szacunku dla żyjącej rodziny Liz nie przytoczę szczegółów. Wystarczy, jeśli powiem, że od momentu przyjścia na świat otoczona była prawdziwym koszmarem. I koszmar towarzyszył jej aż do śmierci.

Po opuszczeniu szpitala psychiatrycznego znów wpadłyśmy na siebie w pralni magdalenek, a potem jeszcze w zakładzie wychowawczym dla dziewcząt. Lubiłam przebywać w towarzystwie Liz i myślałam, że tak będzie zawsze, ale nasz kontakt się urwał, kiedy przeniesiono ją gdzieś z zakładu wychowawczego. Jak się okazało, rozłąka trwała czternaście lat.

W 1992 roku dostałam list od byłej podopiecznej siostr magdalenek, która przypadkiem się dowiedziała, że po tym, kiedy nas rozdzielono, Liz została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym w Dublinie, a teraz jest bardzo chora. Była współtowarzyszka niedoli poinformowała mnie o tym, ponieważ słusznie przypuszczała, że będę się chciała z Liz zobaczyć.

Natychmiast zatelefonowałam do szpitala i umówiłam się na odwiedzinę następnego dnia. Na samą myśl o wejściu do zamkniętego szpitala psychiatrycznego robiło mi się niedobrze, czułam jednak, że Liz mnie potrzebuje i za nic nie chciałam jej zawieść.

Załamalam się, widząc, w jak opłakanym stanie jest moja kochana mała przyjaciółka, tak kiedyś radosna i pełna życia.

Była przeraźliwie wychudzona i musiała straszliwie cierpieć, a jednak, gdy tylko mnie zobaczyła, pobiegła w moim kierunku i mocno mnie objęła.

- Wiedziałam, że przyjdiesz tu po mnie - powiedziała. - Kocham cię,

Kathy

Przeszłyśmy zaraz do niewielkiej palarni i gdy zostałyśmy same, Liz wybuchnęła płaczem.

- Ja chcę tylko normalnie żyć. Chcę się stąd wydostać, chcę być wolna i szczęśliwa - łkała.

Jej widok wywołał we mnie lawinę wspomnień. Powróciło do mnie to wszystko, przez co obydwie przeszłyśmy od wczesnego dzieciństwa, i także się rozpłakałam.

Potem Liz podniosła bluzkę i pokazała mi brzuch. Widok był przerażający. Pod skórą miała wielkie guzy. Zapytałam, co się, do cholery, stało, przekonana, że cierpi na jakąś poważną chorobę. I wtedy się dowiedziałam, że lekarka, psychiatra, kazała jej wszyć do brzucha drucianą siatkę, która teraz powodowała dolegliwości i okropny ból. Chciałam wiedzieć, do czego to miało służyć. Wytłumaczyła mi, że często połykała różne przedmioty, na przykład baterie, i musieli ją potem rozcinać, by wyjąć je z wnętrza. Zaszycie w brzuchu drucianej siatki miało ją przed tym powstrzymać.

Wiem, że komuś zachowanie Liz może się wydawać nienormalne, ale ja doskonale rozumiem, co chciała osiągnąć.

Każda ofiara gwałtu i molestowania inaczej reaguje na to, co ją spotyka. Wiele wykorzystywanych seksualnie kobiet przejawia silne skłonności do autodestrukcji. Liz czuła się tak zbrukana potwornymi czynami innych, że jedynym sposobem oczyszczenia wydawała się jej operacja. Myślała, że jeśli ją otworzą, to „wyjmą z niej cały brud”.

Tak czy owak, nie miałam wątpliwości, że w związku z zaszyciem drucianej siatki dzieje się z nią coś niedobrego.

Jednak personel szpitala nie podzielił mojego przekonania, że konieczna jest wizyta u internisty. Liz pilnie potrzebowała pomocy lekarskiej. Wiedziałam, że nie otrzymam zgody na przewiezienie jej do szpitala miejskiego, ale nie mogłam zostawić jej tam w takim stanie. Postanowiłam posłużyć się fortelem.

Zapytałam jedną z pielęgniarek, czy mogę pospacerować z Liz po ogrodzie przyszpitalnym. Zgodziła się. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, udałyśmy się w kierunku głównej bramy i najzwyczajniej w świecie przeszłyśmy obok strażnika, który nawet nie zwrócił na nas uwagi. Zatrzymałam taksówkę i pojechałyśmy do szpitala.

Umieszczono ją na oddziale nagłych wypadków. Po serii badań i zdjęć rentgenowskich lekarze byli przerażeni. Drut zaczął przebijać organy wewnętrzne i wdała się poważna infekcja. Dali jej zastrzyk przeciwbólowy, podłączyli kroplówkę i postanowili zostawić u siebie na obserwacji. Kiedy się upewniłam, że nic nie zagraża w tej chwili jej życiu, chciałam wrócić do domu, żeby się przespać; następnego dnia zamierzałam ponownie przyjechać do szpitala.

Przed wyjściem podałam jednej z pielęgniarek nazwę szpitala psychiatrycznego, z którego ją porwałam. Żegnając się z Liz, obiecałam, że odwiedzę ją nazajutrz. Nie zobaczyłam się z nią jednak następnego dnia, bo kiedy zjawiłam się w szpitalu, jej łóżko było puste. Nogi się pode mną ugięły. Pomyślałam, że stało się coś strasznego. Czyżby umarła w nocy? Wpadłam w panikę. Pobiełam do dyżurki pielęgniarek i tam się dowiedziałam, że Liz została odwieziona z powrotem do szpitala psychiatrycznego.

Wściekłam się i pojechałam prosto tam; zażądałam spotkania z Liz. Wyszła mi na spotkanie jej lekarka prowadząca i na wstępie objechała za wyprowadzenie Liz z budynku szpitala. Oskarżyła mnie nawet o narażenie życia pacjentki.

Pieniąc się z wściekłości, zwróciłam jej uwagę, że usiłowałam pomóc przyjaciółce, której dolegliwości zupełnie lekceważył personel szpitala. Dodałam, że owszem, liczę się z kłopotami, ale są one niczym w porównaniu z tymi, na które ona byłaby narażona, gdyby Liz zmarła w szpitalu psychiatrycznym w następstwie zaniedbania personelu.

Lekarka zlekceważyła moje wywody. Stwierdziła, że nie ma mowy o

zaniedbania, ponieważ Liz otoczona jest fachową opieką. Ostrzegła, że nie zezwoli na moje wizyty u Liz, jeśli jeszcze raz narobię kłopotów. Dodała groźnie, że nie jestem nawet krewną pacjentki. Elizabeth została powierzona jej opiece, i to ona decyduje, jakie leczenie jest właściwe.

Wiedziałam, że jeśli się nie zamknę, ta kobieta też się nie zawaha i wyrzuci mnie stąd, uniemożliwiając mi kontakt z Liz.

Na razie więc postanowiłam odpuścić.

Po tej awanturze odwiedzałam Liz jeszcze kilkakrotnie, ale nie odnosiłam wrażenia, że wygląda lepiej. Zasugerowałam pielęgniarce, że może trzeba usunąć tę siatkę z jej wnętrzości. Ponownie do akcji włączyła się pani psychiatra; tym razem oświadczyła, że to nie do mnie należy decyzja, co jest dla Liz najlepsze. Napomknęła też, że powinnam ograniczyć do minimum swoje wizyty u Liz. Przeżywałam wtedy bardzo ciężkie chwile i po prostu nie miałam siły podejmować walki. Wyszłam więc i nie widziałam Liz przez dziesięć lat, choć przez cały ten czas często o niej myślałam.

Latem 2004 roku poczułam niespodziewanie nieodpartą potrzebę zobaczenia przyjaciółki. Wybierałam się tego dnia na cmentarz w Glasnevin, zmieniłam jednak plany i udałam się do szpitala psychiatrycznego. Choć od naszego ostatniego spotkania upłynęło sporo czasu, Liz poznała mnie natychmiast i objęła bardzo mocno ramionami.

- Wiedziałam, że to ty Słyszałam twój głos na korytarzu.

Wciąż wyglądała tak samo. Maleńki ptaszek z wielkimi oczami. Było w niej coś naprawdę wyjątkowego: po prostu iskrzyła. W dzieciństwie zawsze była pełna energii i radośnie podniecona. Odkąd pamiętam, okazywała uczucia uściskami i pocałunkami. Tego dnia była blada i mizerna. Spodnie od dresu i kurtka na misiu wisiały na niej jak na wieszaku.

Kiedy przeszliśmy do pokoju odwiedzin, powiedziała:

- Wiedziałam, że wrócisz. Zawsze opiekowałaś się mną jak matka.

To prawda, choć przecież byłam od niej młodsza. Ilekroć w sali zjawiała

się jedna z pielęgniarek, Liz przedstawiała mnie i z dumą mówiła, że razem dorastałyśmy.

Od tego momentu odwiedzałam ją regularnie. Chciałam jej przynieść jakieś ubrania i dać w prezencie, bo nigdy nie miała nic własnego. Kiedy zapytałam, co jej kupić, poprosiła o biustonosz. Liz nigdy nie miała własnego biustonosza.

Prawdę mówiąc, nie był jej potrzebny, ponieważ była bardzo chuda. Ileż radości sprawił jej prosty bawełniany biustonosz!

Omam nie popłakałam się ze śmiechu, jak paradowała po pokoju, dumnie wypinając piersi w swoim pierwszym biustonoszu. Zaraz jednak poczułam złość, gdyż zdałam sobie sprawę, jak niewiele było trzeba, by uszczęśliwić Liz, a mimo to całe jej życie było jednym wielkim pasmem nieszczęść.

Ilekróć rozmawiałyśmy o przeszłości, Liz zasmucona mówiła:

- Nigdy w życiu nie zrobiłam nic złego. Ci ludzie mnie zniszczyli, choć naprawdę nie zrobiłam nic złego.

Nie lubiła, gdy ja się smuciłam. Kiedyś podczas rozmowy z nią zaczęłam płakać, a ona powiedziała:

- Nie płacz, Kathy. Nie chcę, żebyś płakała.

Brzuch wciąż ją bolał. Miała założony opatrunek, któregoś dnia jednak go zdjęła, żeby mi pokazać, co się dzieje. Omam nie zwymiotowałam. Z rany natychmiast rozszedł się obrzydliwy mdławy smród. Zdawało mi się, że sączy się z niej ropa. Mogłam sobie wyobrazić, jak przykre było to dla

Liz, która zawsze tak dbała o czystość.

Podczas jednej z kolejnych wizyt Liz zaczęła nagle mówić, gdzie chce zostać pochowana. Jakby czuła, że zostało jej niewiele czasu i chciała uporządkować swoje ziemskie sprawy

Przed naszym spotkaniem zapytała któregoś z pracowników szpitala, co stanie się z jej ciałem po śmierci, i dowiedziała się, że zostanie pochowana w zbiorowym grobie przeznaczonym dla zmarłych pacjentów szpitala. Bardzo ją to

martwiło, ponieważ chciała spocząć u boku matki w grobie rodzinnym. Obiecałam zrobić, co w mojej mocy, żeby tak właśnie się stało, Liz jednak nadal była niespokojna. Oświadczyła, że chciałaby też bardzo, by ludzie dowiedzieli się o tym, co jej zrobiono.

Rozmawialiśmy już po publikacji w czasopiśmie „Irish Crime” artykułu, w którym opisałam moją historię. Liz chciała też podzielić się z ludźmi swoimi przeżyciami. Nie chciałam jej w tej sprawie nic doradzać; powiedziałam, że musi sama podjąć decyzję, czy ujawnić całą tę sprawę. Mnie decyzja przyszła z trudem i nie pozbędę się chyba wątpliwości, czy mówiąc o wszystkim publicznie, postąpiłam słusznie.

Dlatego musi się sama skontaktować z redakcją. Odparła, że zamierza powiedzieć o wszystkim głośno, i napisała list do redakcji „Irish Crime”. Tekst listu zamieszczam bez poprawek:

Drogi Miku!

Cathy odnalazła mnie w końcu po dwudziestu siedmiu latach.

Rozdzielono nas, kiedy wyjechałyśmy [z zakładu dla dziewcząt].

Mnie wysłano do... szpitala psychiatrycznego i ciągle tu jestem.

Oni chcą sprawić, żebym nic nie mówiła, co mi się stało w przeszłości. Kiedy byłam zamknięta [w szkole poprawczej], tamtejszy ksiądz molestował większość z nas, w tym także Cathy. Byłam jeszcze dzieckiem, kiedy on molestował mnie pierwszy raz. Przychodził do kościoła w niedzielę. Zabierał nas do tej części kościoła, w której się to działo. Zawsze będę pamiętała, jak z tylnej kieszeni spodni wyciąga białą chustkę, żeby się wytrzeć po molestowaniu mnie i niektórych innych, w tym mojej przyjaciółki Cathy.

Powiedziałam jednej z zakonnicy, że nie chcę więcej chodzić do kościoła, ale ona mi kazała, a ja bardzo się bałam. Potem też byłam zamknięta [wpralni zakonu magdalenek] i molestowali mnie różni ludzie świeccy, i grozili różnymi rzeczami, gdybym komuś o tym powiedziała. Ale to tylko część mojej historii. Chcę, żebyś mi pomógł, tak jak pomagasz mojej przyjaciółce Cathy a może

ktokolwiek inny zechce mi pomóc, bo mam dopiero czterdziesty szósty rok życia. Jestem zamknięta [w szpitalu psychiatrycznym], odkąd skończyłam dziewiętnaście lat. Proszę, pomóż mi się stąd wydostać.

Podpisała

Liz Keegan

Dnia 29.07.2Aodhan Madden, dziennikarz z „Irish Crime”, zgodził się spotkać z Liz we wrześniu. Do ponurego budynku szpitala weszliśmy razem. Aby przedostać się na miejsce, musieliśmy przejść przez kilkoro metalowych drzwi. Niektóre z nich otwierano elektronicznie, a inne staromodnymi kluczami. Z zewnątrz budynek szpitala wydaje się obskurny i ponury, ale dopiero wewnątrz wilgotne sale i mroczne korytarze przyprawiają naprawdę o gęsią skórę i depresję. Przygnębiającą atmosferę pogłębia widok snujących się samotnie i zupełnie zdezorientowanych pacjentów.

Liz spodziewała się naszego przybycia, ponieważ rano uprzedziłam ją telefonicznie, że wybieramy się do niej. Wyszła nam na spotkanie i prosto z korytarza weszliśmy do palarni. Tam przedstawiłam jej Aodhana. Przez chwilę gawędziliśmy na tematy ogólne. Dziennikarz przyniósł jej w prezencie papierosy oraz słodycze, co bardzo ją uradowało. Wydaje mi się, że był zaskoczony, widząc, jak Liz jest serdeczna i otwarta.

Postanowiliśmy przejść do wywiadu i Aodhan zapytał, czy moglibyśmy przenieść się do ogrodu na tyłach budynku i znaleźć jakieś spokojne miejsce. Do ogrodu poszła z nami jednak pielęgniarka, która utrzymywała, że to z powodu stanu zdrowia Liz. Tłumaczyłam jej, że spotkanie ma charakter prywatny i że odbywa się na prośbę Liz, powinna więc nas zostawić w spokoju. Ona jednak otrzymała polecenie od przełożonej i miała obowiązek z nami zostać. Muszę jej jednak oddać sprawiedliwość: trzymała się trochę z boku, aby zapewnić nam choćby odrobinę prywatności.

Aodhan odchrząknął i zaczął rozmowę:

- Dobrze, Elizabeth. Rozumiem, że życzysz sobie opowiedzieć mi swoją

historię.

- Tak, tak - przytaknęła bardzo podniecona Liz. - Tak właśnie jest. Prawda, Kathy? Przecież mówiłam ci o tym już dawno.

- W takim razie zaczynamy - powiedział.

Siedzieliśmy w milczeniu, a Liz opowiadała o swoim życiu. Obydwoje z Aodhanem byliśmy wstrząśnięci tą naprawdę przerażającą historią. Aodhan bardziej ode mnie, ponieważ wcześniej nie przyszło mu nawet do głowy, że taki horror mógł się przydarzyć małemu dziecku powierzonemu opiece państwa i Kościoła. Powód moich emocji był trochę inny. Wiele z tego, o czym mówiła Liz, zepchnęłam gdzieś w najgłębsze zakamarki umysłu, a jej opowieść wyciągnęła to z powrotem na powierzchnię, przywołując wspomnienia z mojego własnego, równie okropnego dzieciństwa.

Liz była bardzo mała, kiedy odebrano ją rodzicom i skierowano do pralni magdalenek. Uciekła z niej, została jednak złapana i umieszczona w szkole poprawczej; tam właśnie się poznałyśmy. Była molestowana seksualnie przez tego samego księdza, który mnie zgwałcił, a kiedy próbowała opowiedzieć o tym, co się stało, odesłano ją do szpitala psychiatrycznego.

Mnie udało się wyrwać z tego potwornego systemu w wieku osiemnastu lat. Liz nie uwolniła się nigdy. Przez cały ten czas była ofiarą tego obrzydliwego procederu - molestowano ją również w szpitalu psychiatrycznym. Tu zaspokajała chuci pacjentów szpitala, chorych psychicznie mężczyzn, którzy dokonywali na niej zbiorowych gwałtów.

- Zaciągali mnie siłą na łąkę, w wysoką trawę, i tam zaczęli swoje - opowiadała. - Nie mogłam nikomu powiedzieć, co mi robią. Zresztą... i tak nikt by mi nie uwierzył.

To niesłychane, że agresywni pacjenci psychiatryczni mieli tak łatwy dostęp do młodej kobiety i gwałcili ją, nie narażając się na żadne konsekwencje.

W związku z tymi gwałtami Liz regularnie dostawała napadów panicznego lęku. W tygodniu poprzedzającym naszą wizytę była w tak kiepskim

stanie, że na trzy dni zamknięto ją w pokoju ze ścianami wyłożonymi gąbką. Tylko pogorszyło to jej stan; waliła w drzwi tak mocno, że złamała sobie rękę. Pokazywała nam gips na jednej ręce oraz blizny po ranach na drugiej. Pocięła ją celowo, żeby choć na chwilę wyrwać się z zamknięcia.

- Nie robiłabym sobie tego, gdybym nie chciała się stąd wydostać - oświadczyła. Popatrzyła na Aodhana i cichym, wystraszonego głosem zapytała: - Czy ja jestem czysta? - Mężczyzna niemal ze łzami w oczach zapewnił ją, że jest czysta. Wtedy uniosła bluzkę, żeby pokazać nam obydwójgu brzuch. Kawalek drucianej siatki przebił już ciało i wystawał na zewnątrz. - Boję się, że jeśli nie pomogą mi dobrzy ludzie spoza szpitala, to niebawem umrę - powiedziała.

Zapytał rozgniewany, dlaczego władze nic nie robią, żeby pomóc Liz.

- Nie zależy im na tym - odparłam. - Liz jest tylko pacjentką szpitala psychiatrycznego. W dodatku była praczką od magdalenek. Nie ma nikogo, kto by się za nią ujął.

Nasza wizyta dobiegła końca. Zanim wyszliśmy, Liz błagała, żebyśmy pomogli jej się stamtąd wydostać. Tak jak podczas każdego pożegnania, żalowałam, że nie mogę jej ze sobą zabrać i czułam się winna, że zostawiam ją w szpitalu. Cóż jednak mogłam zrobić? Aodhan i ja opuściliśmy szpital, a Liz została w nim, żeby dalej odsiadywać dożywocie.

Po tej wizycie zrozpaczona postanowiłam napisać do pani prezydent Irlandii Mary McAleese z prośbą o interwencję w sprawie Liz i spowodowanie, by przeniesiono ją do szpitala, w którym otrzyma rzetelną opiekę lekarską. Wyjaśniłam, jak bardzo moja przyjaciółka jest chora i napisałam wprost, że boję się o jej życie. W odpowiedzi otrzymałam następujący list:

Droga Pani OBeirne!

Bardzo dziękuję za list, który 13 września 2004 roku skierowała Pani do prezydent McAleese.

Okoliczności opisane przez Panią w tym liście są istotnie, bardzo przykre.

Zechce Pani jednak zrozumieć, że funkcje prezydenta nie są wykonawcze, a zatem nie może się angażować w sprawy takie jak poruszona przez Panią. Niestety, pani prezydent nie może także pozytywnie odpowiedzieć na Pani prośbę o spotkanie.

Jednocześnie pragnę poinformować, że przesyłam Pani list do Komisji Zadośćuczynienia Ofiarom Instytucji Opiekuńczych, która działa przy Departamencie Nauki i Edukacji, mieszczącym się na Marlborough Street w Dublinie.

Pani prezydent wyraża nadzieję, że zrozumie Pani motywy jej postępowania, i przesyła wyrazy szacunku oraz życzenia pomyślności.

Zpoważaniem

Orla Murray

Sekretariat

I

Kilka dni później Liz zatelefonowała do mnie, pytając, kiedy ją odwiedzę. Był poniedziałek. Przeprosiłam ją, że nie mogę przyjść tego samego dnia, ponieważ moja kuzynka umiera na raka w szpitalu św. Jakuba i muszę ją odwiedzić. Kilka godzin później zadzwoniła znowu. Akurat stałam na schodach szpitala św. Jakuba i paliłam papierosa. Powiedziała, że czuje się bardzo źle, ale personel szpitala nie chce jej przenieść na oddział internistyczny.

- Myślą, że udaję - poskarżyła się żałośnie. Po chwili zadzwoniła po raz trzeci, żeby mi powiedzieć, że mnie kocha.

We wtorek telefonowała z informacją, że czuje się jeszcze gorzej. Podczas rozmowy wspominała czasy, kiedy razem mieszkaliśmy w różnych zakładach i trzymając się za ręce, biegałyśmy po terenie za pawilonem oddziału dziecięcego.

- Bardzo mnie wtedy kochałaś. I opiekowałaś się mną.

A pamiętasz, jak razem śpiewałyśmy i grały na pianinie? - zapytała w pewnej chwili.

Myślałam, że mi serce pęknie. Była taka niewinna, nawet po latach spędzonych w tym piekle! Raz jeszcze poprosiła, żebym do niej przyszła. Zapytała, czy mogę ofiarować jej dwadzieścia euro, bo chciałaby zrobić prezenty swoim bratankom kupić im pluszowego misia i paczkę żelków oraz butelkę coca-coli. Marzyła też o tanim aparacie fotograficznym, żebyśmy mogły sobie zrobić wspólne zdjęcie. Kilka razy powtórzyła, że mnie kocha, i odłożyła słuchawkę.

Kupiłam wszystko, o co prosiła, i jeszcze tego dnia wieczorem wybrałam się do niej z wizytą. Zawiozła mnie do szpitala moja koleżanka Margo. Zajechałyśmy około siódmej.

Wysiadając z samochodu, zauważyłam Liz stojącą w oknie z boku budynku. Zawsze tam na mnie czekała, gdy spodziewała się mojej wizyty. Pomachałam do niej radośnie. Przed wejściem do środka postanowiłyśmy zapalić jeszcze papierosa. Odwiedziny w szpitalu psychiatrycznym kosztowały mnie sporo nerwów, potrzebowałam więc paru dymków, żeby się uspokoić.

Skończyłyśmy palić i spojrzałam w okno, ale Liz już tam nie było. Zadzwoniłam do drzwi; nikt nam nie otworzył. Czasem się to zdarzało, jeśli personel był zajęty, postanowiłyśmy więc chwilę poczekać. Zapaliłyśmy kolejnego papierosa. Niebawem otworzono nam drzwi. Oświadczyłam, że przyszłyśmy w odwiedziny do Elizabeth Keegan, i usłyszałam, że nie możemy teraz wejść. Pomyślałam, że bawią się z nami w kotka i myszkę. Wróciłyśmy do samochodu na jeszcze jednego papierosa. W aucie usłyszałyśmy dźwięk syreny, po czym pojawiła się karetka na sygnale i błyskając światłami, podjechała pod wejście do szpitala.

Opanowało mnie koszmarne przeczucie; byłam pewna, że Liz stało się coś złego. Nadal nie chcieli nas wpuścić do szpitala, a po mniej więcej czterdziestu pięciu minutach z budynku wyniesiono kogoś na noszach i karetka szybko odjechała.

W końcu wpuszczono nas do budynku. Natychmiast pobiegłam tam,

gdzie zwykle widywałam się z Liz, nigdzie jej jednak nie znalazłam. Zaczepiłam przechodzącą pielęgniarkę i zapytałam, czy nie wie, gdzie jest Elizabeth Keegan. Popatrzyła na mnie zaskoczona i powiedziała:

- Właśnie zabrało ją pogotowie.

Okazało się, że kiedy Liz wyglądała przez okno, nagle straciła przytomność. Byłam tak wstrząśnięta, że upuściłam na podłogę wszystkie przyniesione prezenty i wybiegłam z budynku.

Razem z Margo pojechałyśmy od razu do szpitala, który wydał mi się najbardziej prawdopodobnym miejscem pobytu Liz. Znalazłyśmy ją tam rzeczywiście. Zespół intensywnej terapii zajmował się nią przez kilka godzin, ale bez rezultatu. Podłączono ją do respiratora, by rodzina i bliscy mogli się z nią pożegnać. Gdy w końcu pozwolono mi wejść do sali, Liz była ledwie widoczna zza płataniny rurek i przewodów, które do niej przyłączono. Usiadłam obok i wzięłam ją za rękę. Zdawało mi się, że drgnęła jej powieka. Uwierzyłam, że to dobry znak i że za chwilę się obudzi, ale pielęgniarka mi wyjaśniła, że to coś w rodzaju tiku. Po tygodniu respirator odłączono, Liz jednak trzymała się życia jeszcze przez kilka dni. Odeszła w piątek 1 października 2004 roku, w dniu swoich czterdziestych ósmych urodzin. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, wyszeptałam jej do ucha:

- Dzięki Bogu, nigdy już nie wrócisz do tego piekła, Liz.

W końcu jesteś wolna.

Liz odnalazła spokój, wiele jednak byłych niewolnic z pralni sióstr magdalenek dalej przebywa w zakładach zamkniętych. Irlandia ukrywa je przed światem. W izolacji żyją tak długo, że już same nie potrafiłyby poradzić sobie na wolności. Nie przetrwałyby bez pomocy. Niektóre zostały z zakonnkami i pracowały dla nich całe życie. Inne, jak Liz, zamknięto bezdusznie w klatkach szpitali psychiatrycznych, z których dopiero śmierć je uwolni.

23 września 2004 roku

Moja Kochana Przyjaciółko Elizabeth!

Siedzę tutaj samotna, bezradna i zagubiona, nie wiedząc, co mam robić. Czuję, że części mnie już nie ma. Kawałka mnie zabrakło.

Patrzę wstecz na nasze życie i zastanawiam się, jakie by było, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. Byłyśmy źle traktowane przez wszystkich. Zawiodło nas państwo i zawiodły kolejne instytucje, które miały się nami opiekować.

A przecież jedynym grzechem, jaki popełniłyśmy, było to, że się urodziłyśmy.

Zabrali nam wszystko. Odarli ze wszystkiego, co posiadałyśmy zostawiając nagie. Nie liczyli się z nami, bośmy nic nie znaczyły. Ale nie udało im się złamać w nas ducha, moja najdroższa przyjaciółko!

Codziennie znosiłyśmy swój wielki ciężar, ból i smutek. Ale miałyśmy coś, czego oni nie mieli i nigdy mieć nie będą. Bóg dał nam wielki dar: współczucie, miłość i troskę o innych. Dał nam też mądrość, żebyśmy uwierzyły, że On jest tam dla nas, że towarzyszy nam w cierpieniu, chociaż się do nas nie odzywa.

Miałaś bardzo niewielkie potrzeby. Prosiłaś mnie tylko o pluszowego misia i podarunki dla innych. Zawsze marzyłam o wolności dla ciebie i miałam nadzieję, że ją odzyskasz. Przecież było? to także twoje marzenie. I oto jesteś wolna. Wolna od bólu i cierpienia, które niesłusznie i niesprawiedliwie ci zadano.

Zajmij więc teraz miejsce, które ci się należy. Znajdziesz tam spokój, za którym zawsze tęskniłaś. Noś tę koronę, na którą prawdziwie zasłużyłaś.

Na zawsze zostaniesz w moim sercu.

Kocham cię

Kathy?

Rozdział jedenasty

Za życia nie znaczyliśmy nic, po śmierci jeszcze mniej

To znowu ja, Panie, Kathy.

Stoję tu przed tobą. Stoję sama.

Tak ciężko walczę, by przetrwać!

Walczę samotnie.

Próbuję zrozumieć, dlaczego uczyniono mi to wszystko.

Dlaczego ja? Dlaczego tak wiele innych? Dlaczego, Panie?

Bardzo zabiegany jest nasz świat, bardzo zajęty.

Pomóż, Panie, tym wszystkim, co mijają się obojętnie!

Spraw, żeby przystanęli na chwilę; by w wypełnionych terminarzach znaleźli miejsce na cudzy ból i cierpienie. Aby dostrzegli.

Bezdomni.

Alkoholicy.

Narkomani.

Powiedz, Panie, czy ktokolwiek zadaje sobie trud, żeby zrozumieć?

Żeby usłyszeć, jakie cierpienia spychają na margines życia?

A przecież czasem kilka minut rozmowy wystarczy, żeby uratować ludzkie istnienie.

Proszę więc, Panie, pomóż wszystkim tym zajęтым ludziom, którzy myślą tylko o sobie!

Pozwól im przystanąć, popatrzeć, posłuchać i pomyśleć.

Pięć minut dobroci może przynieść cały dzień szczęścia komuś, kto doznaje wielkiego smutku i bólu.

A nawet uratować życie.

Gdyby ktoś poświęcił mi kiedyś czas i uwagę, może ocaliłby mnie od

męczarni i poniżenia, które cierpiąc, znosiłam przez lata.

Jakże wielu innych ludzi także mogło ich uniknąć! Pod koniec lat dziewięćdziesiątych rozpoczęłam kampanię medialną Poszukiwanie Przyjaciółek z Przeszłości i w ten sposób odnalazłam czterdzieści trzy kobiety, które razem ze mną harowały dla zakonnice w pralniach. Wtedy się przyjaźniłyśmy, lecz później urwały się nasze kontakty. Zaczęłam także zbierać dokumenty związane z moim własnym pobytom w różnych instytucjach wychowawczych i opiekuńczych.

Chciałam poskładać moją przeszłość w całość, żeby się dowiedzieć, jak w ogóle mogło do tego dojść. Zawsze miałam przekonanie, choć czasem podświadome, że to nie była moja wina, i chciałam znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego nikt nie spróbował mi pomóc. Moje poszukiwania miały się okazać długie i także bolesne. Od początku powinnam była wiedzieć, że nikt nawet nie spróbuje udzielić mi odpowiedzi.

Zaczęłam telefonować do różnych instytucji, w których spędzałam dzieciństwo, oraz je odwiedzać. Na pewnym etapie włączyła się w moje poszukiwania pracownica opieki społecznej, która pomogła mi zdobyć dokumenty z pierwszej szkoły poprawczej, do której wysłano mnie w wieku ośmiu lat. Nie było to łatwe, bo szkoła została zlikwidowana. Mówiono mi, że bardzo trudno będzie odnaleźć archiwa, a zresztą i tak większość dokumentów uległa zniszczeniu kilka lat temu podczas powodzi.

Kiedy skontaktowałam się z pralnią magdalenek, usłyszałam, że moje dokumenty spłonęły w pożarze, a gdy pytałam o inne kobiety, które pracowały u nich w tym samym czasie, zakonnice odpowiadały mniej więcej tak: „Przejrzałam księgi i nie ma w nich śladu osoby o takim nazwisku wśród rezydentek zakładu”. Na moje zapewnienie, że taka osoba na pewno pracowała razem ze mną, słyszałam z kolei najczęściej, iż być może nie jest to jej prawdziwe imię i nazwisko.

Wielu dziewczętom, także przecież i mnie w pierwszej szkole

poprawczej, z udawaną pobożnością nadawano imiona świętych podczas przyjmowania do pracy w pralni. A skoro rejestrowano je pod tymi fałszywymi imionami, jak można było je odnaleźć i ustalić, gdzie przebywają obecnie?

Wiele razy, po długim kręceniu się w kółko, kończyłam poszukiwania, natrafiając na mur nie do przebiccia. Było to bardzo przygnębiające i przywoływało wiele złych wspomnień. Chwilami czułam się tak samo bezsilna jak podczas pobytu w domach opieki, a to z kolei wzbudzało gorycz i złość. Wreszcie w 1993 roku afera związana z pralniami trafiła do mediów, co sprawiło, że z większą determinacją zaczęłam zbierać świadectwa mojej przeszłości, by podać do publicznej wiadomości wszystko to, co ja i moje koleżanki przeszłyśmy, powierzone opiece zakonnice.

W tym bowiem czasie jeden z największych ośrodków sióstr magdalenek wbrew ich życzeniu stał się przedmiotem zainteresowania dziennikarzy. Sama pralnia była już wtedy nieczynna i za pieniądze nagromadzone przez lata jej funkcjonowania zakonnice zaczęły grać na giełdzie. Ponoć wykonały jakieś nieprzemyślane posunięcie i straciły ponad sto tysięcy funtów po załamaniu się cen akcji stanowiących podstawę ich portfela. Aby polepszyć własną sytuację finansową, postanowiły sprzedać część gruntów otaczających zabudowania klasztorne. Znajdowała się jednak na tym terenie masowa mogiła praczek zmarłych podczas pracy u magdalenek. Ekshumacja i przeniesienie ciał na cmentarz w Glasnevin wymagało specjalnej zgody.

Zakonnice zdobyły w Departamencie Środowiska, odpowiedzialnym za tego typu sprawy, pozwolenie na ekshumację stu trzydziestu trzech ciał, które zgodnie z ich doII kumentacją spoczywały w masowym grobie na terenach przyklasztornych, i zleciły to zadanie firmie Massey's Undertakers z Dublina. Spodziewano się, że cała sprawa zajmie najwyżej kilka dni i obejdzie się bez żadnych problemów, ale pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego Massey'a odkryli, że w grobie znajdują się oprócz tego dwadzieścia dwa ciała, na których ekshumację zakonnice nie uzyskały pozwolenia. Zainteresowały się tym media i

wtedy wyszło na jaw, że w dokumentacji dotyczącej pochówku tych stu trzydziestu trzech kobiet zakonnice przedstawiły zaledwie siedemdziesiąt pięć aktów zgonu; w pozostałych pięćdziesięciu ośmiu przypadkach nieznane były ani nazwiska, ani przyczyna śmierci kobiet pogrzebanych w masowym grobie. Natomiast na temat tych dwudziestu dwóch dodatkowych ciał zakonnice nie wiedziały kompletnie nic, nie miały żadnych dokumentów.

Należało wtedy natychmiast przerwać prace ekshumacyjne, ku powszechnemu jednak zaskoczeniu władze - zamiast zarządzić śledztwo w sprawie śmierci tych dwudziestu dwóch kobiet - po prostu wydały dodatkowe pozwolenie na ekshumację ich ciał. Kolejnym niezrozumiałym posunięciem była decyzja o kremacji stu pięćdziesięciu czterech, a więc wszystkich zwłok z wyjątkiem jednych. A to raz na zawsze uniemożliwiło ewentualną identyfikację zmarłych kobiet w przyszłości.

Popioły złożono do trzech urn i pewnego chłodnego sobotniego poranka zimą pochowano w masowej mogile. W ceremonii uczestniczyła grupka zakonnice otoczona wianuszkami kobiet i młodych dziewcząt z kilku pralni magdalenek.

Zapewne nigdy się nie dowiem, jak zakonnicom uszło to wszystko bezkarnie. Jeśli mi dobrze wiadomo, pochowanie kogokolwiek bez aktu zgonu, na którym widnieje nazwisko zmarłego oraz przyczyna jego śmierci, jest przestępstwem.

Tymczasem nic się w tej sprawie nie dzieje, jakby nikt nie zauważył niedopełnienia tego podstawowego warunku. Odniosłam wrażenie, że nikomu nie zależało na losach tych kobiet, ponieważ były tylko praczkami u magdalenek - i jeszcze bardziej mnie to rozwścieczyło. Zakonnice utrzymują, że prowadziły ewidencję wszystkich dziewcząt, które przewinęły się przez ich pralnie, zapisując skrupulatnie datę przyjęcia i datę zwolnienia. Jak więc to możliwe, że dwadzieścia dwie kobiety przepadają nagle w tej ewidencji, umierają i zostają pochowane bez żadnej adnotacji, co się z nimi stało? Ale może nie powinnam

się dziwić, pamiętając, przez co musiałam przejść, kiedy usiłowałam wydobyć własne akta od magdalenek.

Kiedy dziennikarka Mary Raftery zapytała zakonnice wprost o sprawę pochówku zmarłych kobiet, odpowiedziały, że „ekshumacja i przeniesienie ciał odbyło się za pozwoleniem kompetentnych władz i - z jednym wyjątkiem - rodziny zmarłych kobiet nie kontaktowały się z nami w tej sprawie. Krewni tej jednej kobiety zabrali zwłoki i pochowali je w rodzinnym grobowcu, natomiast szczątki pozostałych stu pięćdziesięciu czterech kobiet zostały z należnym szacunkiem poddane kremacji i pochowane podczas otwartej dla wszystkich ceremonii na cmentarzu Glasnevin”.

Po ujawnieniu całej sprawy zapanowało powszechne oburzenie. Zorganizowano wiele kampanii, a premier Bertie

Ahern otrzymał setki listów i kartek pocztowych z żądaniem publicznego ujawnienia kulisów afery. Sama wysłałam dwadzieścia osiem listów, w których domagałam się odpowiedzi na pytania nurtujące mnie w związku z tą sprawą. Pralnia, w której wszystko to się zdarzyło, znajduje się w okręgu wyborczym pana Aherna. Jedyłą jego reakcją było pismo podpisane przez sekretarza, informujące wszystkie zainteresowane strony, że korespondencja dotycząca magdalenek została przekazana zgodnie z kompetencjami do Departamentu Sprawiedliwości. Policja natomiast na późniejsze zapytania odpowiadała, że rozważano wszczęcie postępowania w tej sprawie, ostatecznie jednak zrezygnowano.

Z prośbą o interwencję zwróciłam się do pani Mary Robinson, prezydenta Irlandii, ale w odpowiedzi otrzymałam jedynie uprzejmy list, w którym stwierdzała, że choć bardzo zasmuciła ją historia mojego życia, nie może podjąć w tej sprawie żadnych działań.

Swoimi listami trafiałam więc jak kulą w płot. Najwyraźniej w tym katolickim społeczeństwie nikogo to nie obchodziło. A trzeba pamiętać, że w tej konkretnej sprawie szło tylko o dwadzieścia dwie kobiety, o których

społeczeństwo się dowiedziało. Jestem głęboko przekonana, że magdalenki złożyły bezprawnie do ziemi znacznie więcej ciał, których dotychczas nikt nie odkrył.

Nie mogłam zrobić wiele dla tych kobiet, które pozbawiono tożsamości nawet po śmierci, postanowiłam więc przynajmniej zadbać o wygląd grobowca na cmentarzu Glasnevin, w którym je złożono. Chciałam, aby chociaż miejsce ich ostatniego spoczynku było godne. Często przychodziłam na cmentarz i widok kwater magdalenek sprawiał mi zawsze przykrość. Niedobrze robiło mi się zwłaszcza na widok napisu na kamiennym krzyżu, który jednoznacznie sugerował, że spoczywają tam pokutnice, a więc kobiety grzeszne:

Z MIŁOŚCI BLIŹNIEGO

MÓDLICIE SIĘ ZA SPOKÓJ DUSZY

POKUTNIC Z ZAKONU MAGDALENEK

Postanowiłam doprowadzić do tego, aby zastąpiono ten napis innym, upamiętniającym zmarłe kobiety w bardziej odpowiedni sposób. Przecież pochowano tam niewinne ludzkie istoty, bezlitośnie oderwane od rodzin i przez większość życia zmuszane w pralniach magdalenek do niewolniczej pracy, za którą nie otrzymywały żadnego wynagrodzenia. Wyrycie na grobowcu tych kobiet słowa „pokutnice” to obraza w świetle tego, co zrobiono z ich życiem; w dodatku usprawiedliwienie ich potu, krwi i łez, ich cierpień ponoszonych przecież wyłącznie dla pomnożenia majątku Kościoła. Na innym grobowcu wypisano nazwiska kilku pochowanych w nim kobiet, ale lekceważenie uwidoczniło się także i tutaj.

Gdy się dokładnie tej liście przyjrzałam, okazało się, że Alice

Bolger zmarła 31 kwietnia 1948 roku - a przecież kwiecień ma trzydzieści dni! Natomiast groby samych zakonnic stanowią całkowite przeciwieństwo masowych mogił ich podopiecznych. Są zadbane, a nad każdym góruje biały krzyż z wyrytym literami „I.H.S.”, stanowiącymi pierwsze litery dewizy tych rzekomych świętoszek: „I Have Suffered (Cierpiałam)”. Aż się wszystko we

mnie przewraca z powodu takiej bezprzykładnej hipokryzji!

Przez wiele lat starałam się o spotkanie z arcybiskupem

Dublina, kardynałem Desmondem Connellem. Chciałam przedyskutować kwestię grobów oraz nakłonić go do przyznania, że członkowie kierowanej przez niego społeczności katolickiej wyrządzili mi wielką krzywdę. Aby go zmusić do rozmowy ze mną, zaczęłam odwiedzać pałac arcybiskupi w dublińskiej Drumcondrze. Dowiedziałam się, że w każdą sobotę kardynał spaceruje po parku pałacowym, poszłam więc tam, licząc, że uda mi się jakoś zwrócić na siebie jego uwagę. Deptałam mu dosłownie po piętach, opowiadając o krzywdach, których doznałam w kościelnych instytucjach, oraz o kobietach, które do dziś pozostają na ich wniosek w szpitalach psychiatrycznych. Jednak nie wydawało się to robić na nim wrażenia i jestem pewna, że dzisiaj by zaprzeczył, iż mnie sobie przypomina i wie o czymkolwiek. Z taką samą bezdusnością spotykałam się ze strony zakonnic opiekujących się kwaterami na cmentarzu Glasnevin. Mimo to postanowiłam się nie poddawać. Stoczyłam także inne bitwy z bardzo podobnym rezultatem.

W 1999 roku przerażający rekord molestowania i zaniedbywania dzieci w prowadzonych przez państwo irlandzkich instytucjach wychowawczych i opiekuńczych stał się głównym tematem w mediach po serii filmów dokumentalnych

States of Fear (Stany strachu). O emisji dowiedziałam się od przyjaciół, w tamtym okresie jednak nie mogłam się zdobyć, by włączyć telewizor i oglądać to wszystko. Bałam się wpływu, jaki filmy te mogłyby na mnie wywrzeć, gdyż i bez nich miałam wówczas kłopoty z nawiedzającymi mnie duchami przeszłości. Jednak starałam się śledzić reakcje społeczne w nadziei, że może w końcu ktoś jakoś zareaguje i nasze cierpienie zostanie usankcjonowane.

Przed emisją ostatniego odcinka States of Fear, 11 maja premier Bertie Ahern wydał oświadczenie, które wydawało mi się odpowiedzią na wszystkie moje modlitwy:

W imieniu państwa i wszystkich jego obywateli rząd pragnie wyrazić szczerą, choć znacznie spóźnioną przeprosiną wszystkim ofiarom molestowania w dzieciństwie. Ponosimy odpowiedzialność za to, że nie podjęliśmy żadnych działań, że nie zauważaliśmy ich cierpienia, że nie udzieliliśmy im pomocy.

Nie wierzyłam własnym uszom! Nareszcie ktoś poczuwał się do odpowiedzialności za to, co zrobiono mnie i innym ofiarom zinstytucjonalizowanego molestowania. Czy teraz nadal będą odmawiać mi odpowiedzi na moje pytania?

Po tych przeprosinach powołano Komisję ds. Zbadania

Przypadków Wykorzystywania i Molestowania Dzieci, której przewodniczyć miała sędzia Mary Laffoy z Sądu Najwyższego. Za cel postawiono komisji: wysłuchanie osób wykorzystywanych i molestowanych w dzieciństwie, które zechcą opowiedzieć o swoich doświadczeniach życzliwym i pełnym zrozumienia członkom komisji; staranne zbadanie wszystkich oskarżeń o molestowanie i wykorzystywanie dzieci, z wyjątkiem przypadków, gdy ofiara nie będzie sobie tego życzyła; podanie do wiadomości publicznej wyników prac komisji.

Również ta wiadomość bardzo mnie ucieszyła, i w tym wypadku jednak zbyt wiele sobie nie obiecywałam. Doświadczenie nauczyło mnie boleśnie, że obietnice i ich realizacja to dwie zupełnie różne sprawy.

Mijały miesiące. Wiele koleżanek opowiadało mi o swoich zeznaniach przed komisją i namawiało, żebym także się zgłosiła. Konsultowałam się w tej sprawie ze swoim adwokatem, doszłam jednak do wniosku, że nie jestem jeszcze gotowa na postawienie kolejnego kroku. Korzystałam z konsultacji adwokackich zaoferowanych przez środowisko prawnicze ofiarom instytucji wychowawczych i opiekuńczych. Rozmowa o przeszłości w cztery oczy nie była dla mnie niczym nowym, ponieważ od wielu lat korzystałam z pomocy psychiatry, obawiałam się jednak własnej reakcji, gdy przyjdzie mi stanąć przed grupą całkowicie obcych ludzi i szczegółowo opowiadać im o wszystkim, co mi

zrobiono w tamtych latach. Szczerze mówiąc, ta sytuacja mnie onieśmiewała. Podczas pobytu w zakładach wychowawczych nie otrzymałam odpowiedniego wykształcenia i prawniczy żargon towarzyszący przesłuchaniom wprawiał mnie w zakłopotanie. Gdybym zgłosiła się na przesłuchanie, musiałabym przejść wiele różnych procedur, a wszystkie one wydawały mi się niezbyt zrozumiałe.

Z upływem czasu w mediach pojawiało się coraz więcej nieprzychylnych komentarzy na temat prac komisji, krytykujących głównie przewlekłe postępowanie oraz brak porozumienia między komisją a Departamentem Edukacji, znacznie utrudniający postępy prac. Powstały specjalne grupy, których zadaniem było udzielanie pomocy ofiarom molestowania; ich przedstawiciele bardzo krytycznie oceniali pracę komisji. Pojawiać się też zaczęły głosy osób zastanawiających się, ile lat zajmie jeszcze komisji ustalenie stanu faktycznego i jakie okażą się koszty jej funkcjonowania.

W końcu zdecydowałam się zgłosić do komisji i opowiedzieć jej swoją historię. Chciałam wyrzucić z siebie to wszystko oraz podać nazwiska, by moi oprawcy stanęli pod pręgierzem opinii publicznej. Decyzja przyszła mi z trudem.

Zęby zacząć całą procedurę, musiałam jeszcze raz opowiedzieć pani adwokat szczegółowo swoją historię. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, zdołałam się jednak przemóc, ona zaś wszystko skrupulatnie zapisała. Następnie zostałam skierowana do biegłego psychiatry na badanie. W tym samym czasie ciągle próbowałam wydobyć z różnych instytucji własne akta. Wymagała ich komisja, dlatego uzyskałam je w końcu na mocy ustawy o swobodnym dostępie do informacji.

Pewnego dnia usłyszałam w radiu wywiad z aktorem i dramatopisarzem Mannixem Flynnem. Mówił o tym, co sam przeszedł w różnych szkołach przemysłowych oraz o swojej nowej sztuce. Jej bohater, James X., zamierza wytoczyć państwu proces za molestowanie i prześladowania, których padł ofiarą, gdy jako dziecko wychowywany był w państwowych instytucjach

opiekuńczych. Tuż przed złożeniem pozwu zapoznaje się z opiniami na swój temat sporządzonymi przez różne instytucje, w których był zamknięty, i doznaje szoku. Choć Mannix Flynn podkreślał, że nie jest to sztuka autobiograficzna, to miałam wrażenie, że inspirowały go jednak osobiste doświadczenia. Postanowiłam zatelefonować do radia i poprosić go o radę dotyczącą mnie samej.

Wyjaśniłam, że właśnie jestem na etapie zbierania dotyczących mnie dokumentów. Uprzedził mnie, że kiedy je wreszcie zdobędę, mogę w nich znaleźć bulwersujące informacje o sobie.

Wysłuchałam jego ostrzeżeń, doskonale jednak wiedziałam, że nie ma już odwrotu. Informacje sływały powoli do mojej przedstawicielki prawnej i w końcu się dowiedziałam, że akta zostały skompletowane i przekazane do biura w Dublinie. Zażądałam przesłania ich kopii do mnie, podpowiedziano mi jednak, że lepiej będzie, jeśli zapoznam się z nimi w obecności urzędnika, ponieważ zawierają bardzo wiele bardzo różnych dokumentów. Przystałam na to, po przybyciu do biura podziękowałam jednak za pomoc urzędnikom i oznajmiłam, że zapoznam się z aktami tylko w obecności mojej pani mecenas, która mi towarzyszyła.

Urzednicy przystali na moje warunki i udostępnili mi akta; wreszcie miałam w ręku dokumenty, których szukałam tak długo. Cała drżałam, otwierając pierwszą papierową teczkę. Zdołałam przejrzeć jedynie niewielką ich część, po czym zabrakło mi sił. W jednej z kopert znajdowały się zdjęcia moje i moich koleżanek ze szkoły poprawczej. Na widok tych niewinnych dziecięcych twarzączek wydarzenia z przeszłości zwały się na mnie istną lawiną.

Byłam koszmarnie roztrzęsiona i musiałam przerwać lekturę. Chociaż mi odradzano, uparłam się, że zabiorę je do domu. Do przystanku autobusowego na OConnell Street doszłam jak automat. Była szósta po południu, kończył się chłodny zimowy dzień, a ja ścisnęłam w rękach historię mego zrujnowanego dzieciństwa. Czułam się samotna i zagubiona; byłam smutna. Miałam wrażenie,

że ktoś wrzucił mnie w sam środek labiryntu, a ja nie mam pojęcia, którą drogą pójść, żeby się z niego wydostać.

Dotarłam do domu i usiadłam, wpatrując się w wielką brązową kopertę. Byłam jednak zbyt wyczerpana emocjonalnie i psychicznie, by zająć się jej zawartością. Otworzyłam szufladę, schowałam do niej dokumenty i zamknęłam starannie, jakbym chciała ukryć wszystkie sekrety przeszłości. Nie mogły jednak pozostać w zamknięciu na zawsze. Musiałam w końcu się z nimi zmierzyć, a to okazało się najtrudniejszym zadaniem w całym moim życiu.

Jednym z wymogów komisji było badanie psychiatryczne, podczas którego musiałam w obecności lekarza zapoznać się ze swoimi aktami. Pani doktor odczytywała na głos każdy dokument, a ja miałam powiedzieć, co jest moim zdaniem nieprawdziwe albo nieścisle; ona sporządzała na ten temat notatkę. Gdy odczytywała wszystkie te papiery, znów stanęło mi przed oczami dzieciństwo. Doprowadziło mnie to niemał do kresu wytrzymałości. Aby jednak doszło do zeznań przed komisją, musiałam odwiedzać gabinet psychiatryczny raz w tygodniu przez wiele miesięcy.

Niektóre zawarte w aktach opinie całkowicie mnie odczłowieczają; opisano moje zachowania, nawet nie próbując poszukać ich wytłumaczenia. Przedstawiano mnie jako dziewczynkę agresywną, wymagającą ciągłego nadzoru, skłoną do krzyku i płaczu. W jednym z dokumentów opisano scenę, w której wychyłam się przez okno, wyrzucam strzępki podartych papierów i wrzeszczę: „To miejsce jest takie samo jak wszystkie inne!”. W tych papierach nie ma Kathy O’Beirne, dziecka molestowanego i torturowanego przez dorosłych. Jest w nich za to jakaś mała wariatka, bez powodu wydzierająca się na całe gardło i robiąca dzikie sceny.

Oto przykład:

Kathy sprawiała trudności już w ósmym roku życia, wtedy bowiem zaczęła prezentować zachowania agresywne i chimeryczne. Nie mogąc sobie poradzić z dziewczynką, rodzice oddali ją za radą nauczycielki do [tu pada

nazwa ośrodka].

Agresywne i roszczeniowe zachowania Kathy nie ustępowały pojawiły się jednak także zachowania bardziej dojrzałe, świadczące o rozwoju. W nadziei na aprobatę i wsparcie ze strony rodziny dziewczynka zaprzestała części nagannych zachowań, w tym niewłaściwego odnoszenia się do innych. Kiedy mimo to rodzina jej nie zaakceptowała, straciła motywację i nie podejmowała żadnych wysiłków w celu poprawy. Nigdy nie zaakceptowała stosunku rodziny do siebie.

A więc tak wyglądało oficjalne podsumowanie moich najwcześniejszych problemów. Żadnej wzmianki o biciu, torturowaniu i gwałceniu. Ani słowa o instytucjach, w których byłam zamknięta. W dokumentach znajdują się też bezczelne kłamstwa, jak choćby stwierdzenie, że podczas pobytu w jednej z instytucji przedawkowałam lekarstwa.

Wizyty w gabinecie psychiatrycznym były bardzo stresujące i wyczerpujące. Wiem, że pani doktor chciała jak najlepiej i zmierzała do wydania korzystnej dla mnie opinii na potrzeby komisji, różniłyśmy się jednak charakterami i w pewnym momencie po prostu nie mogłam z nią dłużej wytrzymać. Gdy stwierdziła, że chce raz jeszcze przejrzeć ze mną wszystkie akta, by się upewnić, że niczego nie pominęłyśmy, wiedziałam, że tego już nie zniosę. Mniej więcej w tym samym czasie zmieniłam kancelarię adwokacką.

Moi nowi prawnicy doszli do wniosku, że skoro postępowanie przed Komisją ds. Zbadania Przypadków Wykorzystywania i Molestowania Dzieci odbywa się kosztem mojego zdrowia i psychiki, powinnam się wycofać i skierować sprawę do Komisji Zadośćuczynienia, którą ustanowiono w 2002 roku, aby: przyznać uczciwe i rozsądne odszkodowanie osobom, które jako dzieci były wykorzystywane i molestowane w szkołach przemysłowych, szkołach poprawczych i innych instytucjach podległych państwu.

Dotychczas nie wiązałam zadośćuczynienia z pieniędzmi, po dłuższym namyśle jednak uznałam, że ta droga może się okazać dla mnie mniej

wyniszczająca. Pieniądze nie zablźnią duchowych ran ani nie sprawią, że poczuję się oczyszczona. Nie da się chyba wycenić krzywd, które wyrządzono mi w dzieciństwie, i otrzymanie odszkodowania nie rozwiąże moich problemów. Wtedy jednak doszłam do przekonania, że to jedyny sposób, który pozwoli mi posunąć się choć trochę do przodu. Niestety, nie wolno mi ujawnić żadnych szczegółów postępowania, ograniczę się więc do stwierdzenia, że droga ta też okazała się trudna i wyboista.

Rozdział dwunasty

Ciągła walka

Wczoraj było wczoraj.

Dzisiaj jest dzisiaj.

Bałam się.

Ból był zbyt wielki.

Cierpienie ogromne.

Miałam mętlik w głowie.

Byłam taka smutna.

Ale przetrwałam.

To dobrze.

Dzisiaj jest dzisiaj.

Nowy dzień, by się nim cieszyć.

Ból skrywany głęboko kiedyś odejdzie.

Wtedy znajdę jaśniejsze jeszcze, szczęśliwsze nowe dni.

Mam nadzieję.

W 2003 roku przypadała dziesiąta rocznica ekshumacji zwłok z grobowca znajdującego się na terenie przyklasztornym sióstr magdalenek w Drumcondrze. Media podniosły znowu wrzawę wokół zakonnic i niezidentyfikowanych ciał kobiet. W sierpniu tego roku Krajowa Rada Kobiet Irlandii wezwała Departament Sprawiedliwości do wszczęcia oficjalnego dochodzenia w sprawie ekshumacji i kremacji ciał kobiet zmarłych podczas pracy w pralni. Przewodnicząca rady

Mary Kelly oświadczyła: „To wstyd, że te kobiety, tak haniebnie traktowane przez nasze społeczeństwo za życia, nie są nawet wymienione z nazwiska w miejscu, w którym spoczęły ich ziemskie szczątki”.

Krajowa Rada Kobiet Irlandii postawiła konkretne pytania dotyczące wydarzeń z 1993 roku:

Dlaczego Departament Środowiska wydał pozwolenie na ekshumację zwłok kobiet mimo braku aktów zgonu?

Dlaczego Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia nie dysponowało aktami zgonu niektórych kobiet, choć przepisy tego wymagają?

Czy po śmierci kobiet pracujących w pralni sióstr magdalenek wzywani byli lekarze? Jeśli tak, czy nie wystawiali oni świadectw zgonu stwierdzających jego przyczynę?

Czy skontaktowano się z biurem koronera po ujawnieniu, że wśród ekshumowanych ciał znajdują się zwłoki niewymienione w dokumentacji?

Jakie konsekwencje dla osób poszukujących swoich biologicznych matek oraz dla rodzin kobiet pochowanych przez zakonnice niesie ze sobą fakt, że nie ustalono ich nazwisk?

Do chwili, w której piszę te słowa, Krajowa Rada Kobiet Irlandii nie otrzymała odpowiedzi na żadne z powyższych pytań.

W kwietniu 2004 roku miejsce kardynała Connella zajął arcybiskup Diarmuid Martin. Uznałam, że to świetna okazja, aby się przypomnieć kurii, i natychmiast zatelefonowałam do pałacu arcybiskupiego, chcąc się umówić na spotkanie z arcybiskupem. Upierałam się, że chcę rozmawiać z nim samym i nie dałam się zbyć. O dziwo, w końcu podszedł do telefonu i po mniej więcej dziesięciominutowej rozmowie zgodził się wysłuchać mnie osobiście. Kilka dni później spotkał mnie zaszczyt tyleż wielki, co niespodziewany: otrzymałam zaproszenie na przyjęcie z okazji jego ingresu.

Nie mogłam uwierzyć, że tamtej nocy razem z moją panią mecenas jadę do sali Kolegium Wszystkich Świętych. Zaproszono najbardziej znaczące osobistości, a wśród nich mnie, Kathy O Beirne, była praczką od magdalenek.

Był to wspaniały wieczór. Udało mi się porozmawiać z arcybiskupem Martinem i nawet zrobiono mi z nim zdjęcie.

Potwierdził, że zamierza się ze mną spotkać oficjalnie, żebym mogła opowiedzieć mu swoją historię. I rzeczywiście, mniej więcej tydzień później znów zawitałam w pałacu arcybiskupim.

Przeszłam przez główne wejście i zaprowadzono mnie do poczekalni ozdobionej portretami wszystkich poprzednich arcybiskupów Dublina. Były tam też inne religijne pamiątki. Gdy nadeszła pora spotkania, jakiś duchowny zaprowadził mnie do gabinetu tak wysokiego, że aż zakręciło mi się w głowie, kiedy spojrzałam w górę na sufit. Na ścianach wisiały półki z tysiącem książek, a pośrodku stał długi stół.

Razem z panią mecenas, która towarzyszyła mi podczas tego spotkania, usiadłyśmy za nim. Po krótkiej chwili zjawił się arcybiskup i zaproponował nam kawę albo herbatę.

Raz jeszcze wyjaśniłam arcybiskupowi cel mojej wizyty. Chciałam mianowicie, żeby osobiście zajął się skargami na molestowanie seksualne, które przez wszystkie lata bezskutecznie usiłowałam przedstawić kardynałowi Connellowi nie tylko we własnym imieniu, ale także jako reprezentantka tych spośród moich przyjaciółek, które nie mogły się same poskarżyć. Zaprezentowałam mu niedawno zrobione zdjęcia i nagrane na taśmę wypowiedzi kobiet, które wciąż są więzione w zakładach psychiatrycznych, wiele lat temu wysłane tam prosto z pralni. Prosiłam go także o pomoc w sprawie grobowca na cmentarzu Glasnevin i przedstawiłam materiały dotyczące ekshumacji z 1993 roku.

Arcybiskup Martin bardzo uważnie wysłuchał tego, co miałam do powiedzenia, i zapoznał się ze wszystkimi materiałami. Mniej więcej po godzinie kościelny dostojnik złożył dłonie, pochylił się w moją stronę i zaczął mówić o własnych doświadczeniach sprzed czterdziestu lat, kiedy pracował w zakładzie opiekuńczym dla chłopców, w szkole przemysłowej. Mówił, że już wtedy miał zastrzeżenia do systemu opieki nad chłopcami; wydawało mi się, że uwierzył we wszystko, co mówiłam. Wyszłam z tego spotkania przekonana, że

arcybiskup naprawdę mi pomoże oraz wesprze finansowo sprawę grobów. Miałam też jego obietnicę, że przyjmie mnie ponownie za dwa tygodnie.

Opuszczałam pałac wyczerpana, ale ogromnie uradowana, ponieważ znalazłam wreszcie kogoś, kto mnie wysłuchał oraz zamierza udzielić pomocy. Miałam wrażenie, jakby wreszcie otworzyły się wielkie stalowe drzwi i nie będę już musiała walić w nie pięściami.

Byłam tak podekscytowana, że następnego dnia zatelefonowałam do przedsiębiorstwa pogrzebowego Maseya. Tuż po ekshumacji z 1993 roku nawiązałam kontakt z jednym z pracowników firmy i podtrzymywałam tę znajomość przez cały czas. Ten człowiek bardzo mi pomógł w zbieraniu informacji na temat grobów i cmentarzy. Deklarował też pomoc w przedsięwzięciu budowy nowego grobowca dla kobiet z pralni magdalenek. Po spotkaniu w pałacu arcybiskupim mogłam mu powiedzieć, że teraz już chyba projekt ruszy z miejsca, albowiem mamy nowego sojusznika.

Dwa dni po rozmowie z arcybiskupem znów wybrałam się do pałacu, tym razem na spotkanie z Philem Garlandem, który w archidiecezji dublińskiej kieruje Zespołem ds. Ochrony Dzieci. Arcybiskup polecił mu kontaktowanie się ze mną w imieniu archidiecezji; to właśnie on miał przez najbliższe miesiące być moim współpracownikiem. Policja na mój wniosek podjęła śledztwo na nowo, a to oznaczało, że znów musiałam przechodzić przez męczarnie opowiadania bolesnej historii, podobnie jak przedtem w związku z pracami komisji Laffoy i Komisji Zadośćuczynienia.

Nie mogę niczego zarzucić Philowi Garlandowi ani członkom jego zespołu z pałacu arcybiskupiego. Udostępniali mi pomieszczenia na spotkania z policją, pracownikami opieki społecznej, zakonnicami i księżmi, przyznali mi limit na przejazdy taksówką do pałacu arcybiskupiego oraz płacili moje rachunki za telefon komórkowy. Jednak mimo ich pomocy, za którą jestem ogromnie wdzięczna, nie było mi wtedy łatwo.

Chyba trzeba znaleźć się w podobnej sytuacji, aby zrozumieć, jak trudno

jest ofiarom molestowania i przemocy mówić o tym, czego doświadczyły. Opowiadając przedstawicielom wymiaru sprawiedliwości o molestowaniu seksualnym w dzieciństwie, musiałam szczegółowo opisać pomieszczenia, w których dochodziło do gwałtu - od koloru dywanu po kolor ścian. Czy wyłącznik światła znajdował się po lewej stronie drzwi, czy po prawej? Musiałam dokładnie opowiedzieć, jak były ustawione meble, i przypomnieć sobie liczbę stojących w tym pomieszczeniu krzeseł. Czy wisiały tam jakieś półki? Może coś jeszcze rzuciło mi się w oczy? Czy okno było za mną, czy przede mną i na którą stronę świata wychodziło? Czy klamka w drzwiach była okrągła, czy podłużna? Jak wyglądały schody prowadzące do tego pomieszczenia? Czy leżał na nich jakiś dywan? Jaki kolor miały skarpetki i buty napastnika? W co był ubrany? Zegarek nosił na lewym czy na prawym ręku? A może było w nim coś niezwykłego? Jakiś specyficzny zapach? Był duży, gruby, mały, wysoki czy chudy? Co dokładnie zrobił? Dotknął? Gdzie?

Z przodu czy z tyłu?

Odtwarzanie sceny gwałtu jest bardzo bolesne i krępujące, a w dodatku zeznania ciągną się tygodniami, a nawet miesiącami. Po ich złożeniu trzeba za każdym razem przeczytać protokół i potwierdzić, że wszystko zapisano w nim jak należy, co oznacza, że te bolesne sceny przeżywa się wciąż od nowa - jakby rozdrapywało się ropiejącą ranę.

Tuż po spotkaniu z Garlandem moja historia została opisana we wszystkich chyba gazetach. Podawano sensacyjną informację, że ofiara przemocy i molestowania w kościelnych instytucjach spotkała się z nowym arcybiskupem. Wszyscy komentujący to spotkanie dziennikarze uznali je za przejaw pozytywnej zmiany. W irlandzkim wydaniu „Sunday Times” notka o naszym spotkaniu została zatytułowana Arcybiskup, który słucha, to dobry początek; natomiast w „Irish Independent” z 17 maja napisano:

Nowy arcybiskup Dublina Diarmuid Martin odbył w ubiegłym tygodniu dwugodzinne spotkanie z kobietą, która opowiadała mu o gwałtach i torturach,

jakie przeżyła mniej więcej trzydzieści lat temu...

Arcybiskup Martin nie ma obowiązku wszczynania dochodzenia w tej sprawie, ponieważ zarzuty nie dotyczą księży. Jednak Zespół ds. Ochrony Dzieci w kurii nie odtrąci pokrzywdzonej kobiety. „Ktoś musi się zainteresować jej historią” - powiadają jego przedstawiciele.

Arcybiskup obiecał także wesprzeć tę kobietę w jeszcze jednej sprawie, a mianowicie zmiany kamienia nagrobnego na zbiorowej mogile kobiet pracujących dla zakonu magdalenek, które pochowano na cmentarzu Glasnevin. Obecnie napis na grobowcu głosi, że spoczywają w nim „pokutnice”.

Niektóre z tych dziennikarskich relacji doprowadzały mnie do szału, ponieważ sugerowano w nich, że arcybiskup wyświadczył mi wielką łaskę. „Zarzuty”, które stawiałam, oczywiście dotyczyły kleru i dlatego uważałam, że przeprowadzenie dochodzenia jest obowiązkiem biskupa. Jednak wtedy nie chciałam robić zbyt wiele zamieszania, ponieważ jeszcze wierzyłam, że prałat naprawdę chce się zaangażować w sprawę grobowca. Nie mogłam się doczekać naszego kolejnego spotkania, na którym miałam nadzieję usłyszeć, co się w tej kwestii dzieje.

Jedną z przykrych konsekwencji upublicznienia całej sprawy były telefony z żądaniem, żebym „zakończyła brewerie”.

Kiedy zaczęłam je otrzymywać, nie martwiły mnie zbytnio, z czasem jednak zaczęły mnie przytłaczać. Kiedyś w środku nocy zadzwonił jakiś mężczyzna, grożąc, że zginę, jeśli nie przestanę zajmować się zakonnicami i grobami. Wystraszyła mnie nie tyle sama groźba, ile fakt, że znał mój numer telefonu. Czy oznaczało to, że wie także, gdzie mieszkam?

Przejęłam się i zgłosiłam sprawę policji, ale mimo policyjnej interwencji i czterokrotnej zmiany numeru telefonu z pogrózkami nie ustały. Otrzymywałam ich nawet więcej.

Kilka razy o piątej nad ranem budzili mnie telefonicznie ci sami ludzie - dwóch mężczyzn i kobieta. Grozili, że mnie skrzywdzą, jeśli nie przestanę

„kołysać łodzią”. Postanowiłam, że nie dam się zastraszyć. Byłam zdecydowana przeprowadzić sprawę do końca i nie dopuścić do tego, by znowu odsunięto mnie w cień.

Dalej składałam zeznania na policji; moje drugie spotkanie z arcybiskupem nie doszło jednak do skutku. Nie mogłam się pogodzić z faktem, że ja przechodziłam przez piekło ponownego opowiadania wszystkiego na policji i otrzymywałam telefony z pogrózkami, a tymczasem on najwyraźniej zignorował prośbę dotyczącą nowego nagrobka dla kobiet, z których przecież wiele molestowano podobnie jak mnie.

Nie mogłam znieść tej myśli i uznałam, że czas posunąć się do bardziej drastycznych środków - może wreszcie przestanę być ignorowana.

Najpierw nie bardzo wiedziałam, czym przykuć powszechną uwagę. Potem przypomniałam sobie historię Toma

Sweeneya, który jako mały chłopiec padł ofiarą molestowania i przemocy w Artane Industrial School i w szkole pod wezwaniem św. Józefa w Galway. Tom zwrócił się do Komisji Zadośćuczynienia o odszkodowanie i po przejściu wstępnej procedury przyznano mu sto trzysta tysięcy euro. Następnie zdecydował się na przeprowadzenie pełnej procedury, co skończyło się obniżeniem odszkodowania do sześćdziesięciu siedmiu tysięcy euro. Odmówił przyjęcia odszkodowania w zmniejszonym wymiarze. Nie przyjął też kwoty podniesionej później do siedemdziesięciu trzech tysięcy. Aby zaprotestować przeciw niesprawiedliwości, zdecydował się na dwudziestodwudniową głodówkę. Skończyła się poważnymi komplikacjami zdrowotnymi, ale rząd ostatecznie zgodził się spełnić jego żądanie i wszczął pełną procedurę przesłuchań przed Komisją Zadośćuczynienia. Po tych przesłuchaniach otrzymał sto pięćdziesiąt tysięcy euro odszkodowania: sto trzysta od państwa i trzydzieści siedem od Christian

Brothers, organizacji katolickiej prowadzącej szkołę, w której go molestowano. Co istotne, wywalczył też publiczne przeprosiny.

Uznałam, że tylko taka droga mi pozostała. Pukałam do wszystkich drzwi z prośbą o pomoc, pisałam pod każdy adres, który przyszedł mi do głowy, i nic z tego nie wyszło. Mogłam rozpocząć głodówkę i skazać się na nędzną śmierć albo nie robić nic i prowadzić nędzne życie. Nie miałam wielkiego wyboru.

O swoim postanowieniu poinformowałam rodzinę i przyjaciół. Wszyscy byli przerażeni. Moja lekarka ostrzegała, że głodówka jest zagrożeniem dla życia z uwagi na obecny stan mojego zdrowia. Już jednak się zdecydowałam i nic nie mogło mnie od tego odwieść. Przygotowując się na najgorsze, porządkowałam swoje sprawy. Sporządziłam testament i napisałam listy pożegnalne do najbliższych. Zadbłam nawet o to, by ktoś zajął się moim kotem i psem, jeśli umrę.

Postanowiłam, że rozpocznę głodówkę przed pałacem arcybiskupim, a potem przeniosę się pod siedzibę magdalenek i zostanę tam, dopóki ktoś się moją akcją nie zajmie albo do śmierci. O swoich planach powiadomiłam telefonicznie sekretarza arcybiskupa.

O moich przygotowaniach do głodówki przyjaciele powiadomili media. Jak z rękawa posypały się zaproszenia na wywiady i propozycje uczestniczenia w różnych programach telewizyjnych. Kiedy dziennikarze próbowali uzyskać komentarz w pałacu arcybiskupim i u sióstr magdalenek, okazało się, że arcybiskupa Martina nie ma w kraju, a zakonnicom nie chcą rozmawiać z prasą.

Po opublikowaniu wiadomości o głodówce zostałam zasypana listami od osób nakłaniających mnie do zrezygnowania. Odwiedzały mnie były pensjonariuszki magdalenek i błagały, żebym miała wzgląd na własne zdrowie. Dowodziły, że jeśli wskutek tej kampanii umrę, to zakonnice i księża zwyciężą po raz kolejny. Bardzo mnie wzruszała ich troska, nie widziałam jednak innej drogi. Chociaż (co chyba naturalne) bardzo się bałam, to żywiłam nadzieję, że głodówka przyniesie w końcu jakieś rezultaty.

Tydzień przed planowanym rozpoczęciem głodówki, ja i życzliwi mi ludzie odetchnęliśmy z ulgą. Otrzymałam telefon od Phila Garlanda, który

poinformował, że zakonnice zgodziły się na spotkanie ze mną, by omówić kwestię grobów.

Byłam bardzo zdenerwowana i przejęta. W końcu je zmusiłam, żeby zareagowały na moje żądania!

W okresie poprzedzającym spotkanie sfilmowałam kamerą wideo groby i okolicę. Zrobiłam też zdjęcia. Zgromadziłam materiały na temat pochówku, w tym listę nazwisk pochowanych kobiet; dysponowałam kompletem dokumentów.

Chciałam mieć wszystko uporządkowane. W końcu przecież miałam osiągnąć cel, o który tak długo walczyłam.

Spotkanie odbyło się na terenie pałacu arcybiskupiego

23 lipca 2004 roku. Uczestniczyli w nim Phil Garland i dwie zakonnice. Jedną z nich pamiętałam z zakładu wychowawczego, w którym mnie zamknięto, gdy byłam już trochę starsza - nie tego, w którym byłam molestowana. Kiedy weszłam do pokoju, znajoma zakonnica wstała, podeszła do mnie, objęła mnie ramieniem i przyjaźnie powitała. Jej obecność trochę mnie zaskoczyła, ponieważ nie była z klasztoru, który opiekował się grobami.

Spotkanie zaczęło się o dziesiątej trzydzieści. Najpierw rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach i artykułach, które pojawiły się w prasie. Potem zaczęła się rozmowa o grobach.

Wyraziłam opinię, że w obecnych czasach zbiorowe mogiły to prostu hańba. Podczas rozmowy o nagrobku jedna z zakonnice próbowała mnie przekonać, że nie jest on oznaczeniem kwatery cmentarnej; rzekomo został tam postawiony po prostu jako pomnik. Wtedy przedstawiłam zebrane przez siebie materiały, w tym pismo zarządcy cmentarza, w którym stwierdza, że kamienny krzyż stoi dokładnie nad miejscem, w którym pogrzebane zostały prochy ponad setki kobiet. Zakonnice wydawały się zaskoczone, że tak solidnie odrobiłam pracę domową. Naciskałam, żeby nie usuwać starego kamienia (który z czasem zaczęłam postrzegać jako piętno dla Kościoła - dowodził, jak traktowano jego

zmarłe wyrobnice), lecz obok postawić nowy z krótką historią pralni magdalenek, wyliczający z imienia i nazwiska wszystkie pochowane tam kobiety. Poinformowałam nawet, że firma Massey'a jest gotowa postawić taki pomnik za dwadzieścia pięć tysięcy euro, choć normalnie kosztowałby pięćdziesiąt tysięcy.

Zakonnica entuzjastycznie przyjęła moją propozycję; oświadczyła nawet, że jest „bardzo wrażliwa i mądra”. Kiedy już zaczynałam myśleć, że dopięłam swego, zasunęła bombę:

- Muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć, Kathy - oświadczyła. - Otóż mam tu ze sobą część twoich dokumentów ze szkoły poprawczej, a wśród nich listy od twojej matki.

Poczułam, jak krew uderza mi do głowy; cały mój świat zadrżał w posadach.

- Jak to: listy od mojej matki? Skąd siostra ma listy od mojej matki? - wyjąkałam, nie mogąc wydusić z siebie więcej.

Byłam całkowicie oszołomiona. Matka nie żyła od dwóch i pół roku, skąd więc miała jakieś listy od niej? I skąd wzięła moje akta ze szkoły poprawczej, skoro wyraźnie mi powiedziano, że przepadły podczas powodzi wiele lat temu?

Zapytałam, kiedy moja matka przysłała te listy. Podała datę. W głowie mi się kręciło i nie potrafiłam usytuować tej daty w czasie. Popatrzyłam więc na Phila Garlanda.

- Kiedy to było, Phil? - zapytałam bezradnie.

- Odbierała je matka przełożona w szkole poprawczej - odpowiedział ze łzami w oczach. - To było trzydzieści pięć lat temu, Kathy.

Zamilkłam na chwilę, próbując obliczyć, ile lat miałam trzydzieści pięć lat temu. Dotarło do mnie, że byłam wtedy dziewięcioletnią dziewczynką; rozplakałam się. Zakonnica spojrzała na mnie chłodno i powiedziała:

- Ależ, Kathy! To przecież pełne miłości listy od kochającej matki do córki.

Nie mogłam tego dłużej słuchać. Za bardzo mnie ta wiadomość przygniotła. Wypadłam z sali i biegłam korytarzem, chcąc jak najprędzej wydostać się z budynku. Kiedy położyłam dłoń na gałce klamki, żeby ją przekręcić, wydawało mi się, że znów jestem małą dziewczynką i próbuję uciec ze szkoły poprawczej, z płaczem przyzywając na pomoc matkę. Złapana w pułapkę czasu, wyłam, znękana psychicznie i fizycznie, obolała do granic wytrzymałości. Wróciłam znów do tamtego piekła: do dorosłej kobiety przywiązano dziecko jakby nową pępowiną. Po głowie kołatały mi się różne myśli:

Co się stanie, jeśli powiem?

Co się ze mną stanie?

Czy ta mała dziewczynka umrze?

Czy przydarzą jej się wszystkie te rzeczy?

Czy nadal będzie tak strasznie cierpiała?

I jak poradzi sobie z całym tym bólem, który wycierpiała?

Czy rany się zagoją?

A może się rozjątrzą?

Może przyjaciele mają rację.

Nie powinnam się tym wszystkim zajmować.

Nie dlatego, że nie chcę.

Ale jeśli podejmę działanie, będę musiała sama przed sobą przyznać, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Ze nie miałam szczęśliwego dzieciństwa ani szczęśliwego życia.

I zawali się wszystko, o czym marzyłam.

Przecież zawsze udawałam, że jest świetnie, że wszyscy mamy wspaniałe życie, bo takiego właśnie życia zawsze chciałam.

Stałam na schodach wejściowych do pałacu. Przedemną rozciągała się aleja, podobna do tej prowadzącej ze szkoły poprawczej. Czułam, że wokół dominuje taka sama pustynia emocjonalna. Byłam zagubiona i samotna, bardzo

samotna.

Nie wiedziałam, co myśleć. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam przestać płakać.

Próbowałam sobie wyobrazić, co matka pisała w listach do mnie, dziewięcioletniej dziewczynki, tak bardzo dawno temu. Te listy nadeszły jakby z nieba. Nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Bardzo chciałam natychmiast znaleźć się nad grobem matki, wyjąć ją spod ziemi i mocno przytulić. Powiedzieć jej, jak bardzo mi przykro, że przez wszystkie te lata źle ją osądzałam: myślałam, że nigdy nie zadała sobie trudu, żeby do mnie napisać.

Bezlitosne zakonnice ukryły przede mną listy od matki, pozwalając mi sądzić, że o mnie zapomniała. Okradły mnie z matczynej miłości i dobroci! Trzymały zamkniętą w tym piekle na ziemi, nazywając grzesznicą i córką szatana. Przyglądały się, jak byłam gwałcona, maltretowana i bita, zamiast zwrócić mnie mojej mamie, by się mną zaopiekowała. I nigdy nawet mi nie powiedziały, że nadchodziły od niej jakieś listy!

Był to chyba najsmutniejszy i najboleśniejszy dzień w całym moim życiu. Spoglądałam na jasny błękit nieba i po policzkach spływały mi łzy. Płakałam, płakałam i płakałam. Nad tamtymi latami molestowania, w których okrutne zakonnice biły mnie swoimi wielkimi i czarnymi skórzanymi pasami i kazały mi siedzieć w wannie z lodowatą wodą. Płakałam nad utraconym dzieciństwem, nad wszystkim, co mi zabrano, i nad moją mamą, która mnie kochała. Po raz pierwszy w życiu płakałam także nad sobą.

Po jakimś czasie dołączył do mnie Phil Garland i został ze mną przez chwilę. Później skonsultowałam się telefonicznie z moją prawniczką Olive. Po tych krótkich rozmowach postanowiłam wziąć się w garść, wrócić na spotkanie i stawić wszystkiemu czoło. Pomyślałam, że jestem to winna przede wszystkim mamie, a także sobie i wszystkim tym niewinnym dziewczynom, które zmarły w kościelnych więzieniach. Dla nich musiałam tam wrócić i pokazać zakonnicom, że nie zdołały mnie jednak pokonać.

Wróciłam i jeszcze przez dwie i pół godziny uczestniczyłam w spotkaniu. Jasno powiedziałam, co sędzę o przetrzymywaniu przez nie listów, po czym kontynuowaliśmy dyskusję na temat grobowca. Raz jeszcze zyskałam aprobatę dla projektu, zwłaszcza kiedy powtórzyłam, że firma pogrzebowa wykona pomnik za naprawdę niewielką cenę oraz że arcybiskup Martin obiecał częściowo sfinansować to przedsięwzięcie. Nie poprosiłam nawet o złamanego funta. Potrzebne pieniądze udało mi się jakoś zorganizować. Chciałam tylko zgody na podjęcie działań. Ustaliliśmy, że spotkamy się ponownie za dwa tygodnie i wtedy zakonnice poinformują, czy mogę działać.

Wyszłam ze spotkania, trzymając pod pachą swoje własne akta i listy od matki. Wciąż jeszcze w szoku, dotarłam do domu. Jakaś częśćka mnie pragnęła natychmiast rozedrzeć kopertę i przeczytać listy od mamy. Dopominała się o to z desperacją głodnego, który walczy o jedzenie. Jednak inna częśćka obawiała się skutków tej lektury. Dwa dni później wybrałam się na cmentarz Palmerstone na grób mamy. Długo z nią wtedy rozmawiałam; mimo to nie zdobyłam się na otwarcie koperty.

Stojąc nad grobem mamy, wspominałam ostatnie lata jej życia. Zmarła na raka. Opiekowałam się nią przez czas choroby i próbowałyśmy obie nadrobić stracone lata. Najpierw szło to nam bardzo trudno, ponieważ żył jeszcze ojciec. On do końca pozostał tyranem, okrutnym i despotycznie rządzącym wszystkimi bliskimi. Chociaż ze wszech miar starał się mi to utrudniać, opiekowałam się także nim przez trzy lata przed śmiercią. Przez ten czas nie zdobył się na to, by mnie przeprosić za krzywdy, które mi wyrządził. Nigdy też nie przyznał, że się mylił. A ja, podobnie jak w dzieciństwie, czekałam na najdrobniejszy znak, że jednak mnie kocha. Nie doczekałam się.

Po jego śmierci opiekowałam się nadal mamą, której choroba gwałtownie postępowała. Ulżyło mi, gdyż nie musiałam już przechodzić na paluszkach koło ojca, który w każdej chwili mógł wpaść w furję. Zaczęłyśmy poznawać się z mamą na nowo i jestem szczęśliwa, że w końcu znalazłyśmy dla siebie trochę

czasu, zanim odeszła. Z radością wykonywałyśmy razem proste czynności, na które ojciec nigdy by nam nie pozwolił: chodziłyśmy wspólnie na zakupy albo jadłyśmy na mieście. Śmiałyśmy się razem i razem płakały nad tym, co przyniósł nam los. Mamę zżerało poczucie winy i bardzo cierpiała z powodu mojego zrujnowanego życia.

Była zamężna przez pięćdziesiąt lat i przez cały ten okres bardzo cierpiała. Kochała nas wszystkich i nigdy w życiu nie wyrządziła nam krzywdy. Chroniła dzieci jak mogła, ale też bała się ojca; nigdy się nie zdobyła na to, by otwarcie stanąć po naszej stronie. Przez ostatnie miesiące życia bardzo cierpiała, ponieważ rak opanował różne organy, ale nigdy się nie poskarżyła. Bolało mnie to, bo widziałam, że bardzo cierpi.

W końcu nie wytrzymałam.

- Nie musisz się powstrzymywać, mamó - powiedziałam. - Możesz wziąć jakąś tabletkę albo zastrzyk przeciwbólowy.

- Ból nie jest wielki; nie cierpię aż tak bardzo - odpowiedziała, patrząc na mnie. - Pomyśl o Matce Boskiej. Czy możesz sobie wyobrazić, jak Ona cierpiała, widząc syna umierającego na krzyżu? W porównaniu z Najświętszą Panią nie mam powodów do narzekania.

Bardzo kochałam mamę, a ona odwzajemniała tę miłość.

Przed śmiercią spełniło się jej życzenie: byłyśmy razem. Wróciłam do matki, którą tak bardzo kochałam i za którą tak bardzo tęskniłam w dzieciństwie. Ona przyjęła z powrotem córkę, którą jej zabrano. Połączyłyśmy się po latach rozłąki.

Pamiętam, że rankiem tego dnia, kiedy umarła w szpitalu

Tallaght, przez okno wpadały przepiękne promienie światła.

Wiedziałam, że kurczowo trzyma się życia, bo nie chce mnie znowu opuścić. A była taka obolała! Poprzedniego wieczoru ksiądz powiedział:

- Kathy, twoje rodzeństwo już pożegnało się z matką. Już jej powiedzieli, że dozna ulgi w cierpieniach, jeśli odejdzie.

Dodał, że ja też powinnam to zrobić, bo matka trzyma się życia już tylko ze względu na mnie.

Spędziłam z nią całą noc, podobnie zresztą jak przez ostatnie sześć tygodni jej pobytu w szpitalu. Rano pielęgniarka stwierdziła, że mama jest bardzo słaba i powinnam wezwać bliskich. Wiedziała, jak bardzo jestem z nią związana, dodała więc:

- I powiedz jej, że ją kochasz. Ona nie chce odejść z twojego powodu.

Jednak ani pielęgniarka, ani ksiądz nie mieli pojęcia, czego ode mnie żądają. Nie mogłam po raz wtóry jej pozwolić, by mnie opuściła. Przecież już raz ją straciłam jako małe dziecko. Znowu byliśmy razem i nie miałam siły tak po prostu powiedzieć jej, żeby odeszła.

Z każdą minutą tego poranka stawała się słabsza. Wyraźnie to widziałam. Siadłam obok i chwyciłam ją za rękę. Patrzyłam na matkę, którą kochałam i za którą tęskniłam przez wszystkie te lata; w końcu musiałam się pogodzić z tym, że ona umiera.

Poprosiłam pielęgniarkę, żeby wyszła z sali, usiadłam na łóżku i z całych sił ścisnęłam matczyną dłoń. Nie chciałam pozwolić jej odejść przekonanej, że się na to godzę. Ale wiedziałam, że dość w życiu wycierpiała i przedłużanie bólu byłoby niesprawiedliwe.

Wzięłam głęboki oddech i ze łzami w oczach powiedziałam:

- Kocham cię, mamo. Ale możesz odejść. Poradzę sobie.

Otworzyła oczy, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się słabo. Z prawego oka spłynęła jej jedna łza. Wzięła głęboki oddech, jakby zamierzała mi podziękować, po czym zamknęła oczy i spokojnie odeszła. Uwolniła się od bólu i cierpienia.

Siedząc obok niej, poczułam się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Po raz drugi straciłam moją kochaną mamę. Tym razem na zawsze. Czułam się, jakbym znów miała osiem lat, jakby znów zawieziono mnie do szkoły poprawczej; zawładnęło mną to samo poczucie osamotnienia. Ale przecież

przynajmniej ten ostatni okres przed jej śmiercią spędziłyśmy razem i wspólnie cieszyłyśmy się naszym szczęściem. Przez te wszystkie stracone lata mama zawsze miała miejsce w moim sercu i nadal je tam ma. W najgorszych nawet chwilach wiem, że nade mną czuwa. Bez jej miłości nigdy nie przetrwałabym okropności mojego dzieciństwa i lat dojrzałych.

Dwa tygodnie po wizycie na cmentarzu otworzyłam kopertę otrzymaną od zakonnic. Pamiętam, że był to niedzielny wieczór. Usiadłam na kanapie i chyba ze dwadzieścia razy wyjmowałam pierwszy list z koperty, po czym wkładałam go z powrotem. Za każdym razem widziałam odręczne pismo mamy. Wypiłam niezliczone ilości kawy i wypaliłam ze dwadzieścia papierosów, zanim w końcu zebrałam się na odwagę, by zacząć czytać. I znów napłynęły mi do oczu łzy.

Płakałam i czytałam, czytałam i płakałam, aż do całkowitego wycieńczenia.

O drugiej nad ranem siedziałam na kanapie, wciąż od początku czytając te same listy, choć każdy mieścił się na jednej stronie. Nie mogłam się nimi nasycić. Nie potrafiłam ich odłożyć. Czułam bliskość mamy bardziej niż kiedykolwiek w życiu i nie chciałam uronić ani chwili. Czułam jej obecność w pokoju, tuż obok mnie.

Oto, co wiele, wiele lat temu napisała do mnie moja mama. To przesłanie miłości, której w dzieciństwie tak bardzo mi brakowało:

Moja kochana Kathy!

Piszę do ciebie ten krótki list, żeby cię poinformować, że Tatus i ja znów odwiedzimy cię w niedzielę. Pamiętaj, żebyś do tego czasu dbała o swoją dużą lalkę, ponieważ szyję dla niej piękną sukienkę i płaszczyk, a Jean zrobi jej do kompletu kapelusz. Czy nie będzie wyglądała pięknie w nowym stroju? Jak się mają twoje dwie małe koleżanki? Powiedz im, że o nie pytałam. Cieszę się, że jesteś grzeczna. Jeśli chcesz, żeby ci coś przywieźć, cokolwiek, zrób listę i powiedz mi o tym. Muszę już kończyć, bo zaraz przyjdzie listonosz.

Niedługo się zobaczymy. Niech cię Bóg błogosławi, moje kochanie.

Mnóstwo serdeczności od Tatusia i Mamusi.

Drugi list był zaadresowany do wielebnej matki (przełożone):

Szanowna Matko!

Przesyłam krótki list do Kathy, mając nadzieję, że wolno mi to zrobić. Jeśli jednak uzna Matka, że tak będzie lepiej, proszę jej go nie przekazywać, a ja będę wiedziała, bo wtedy nie odpisze. Ufam, że jest już teraz spokojniejsza, po tym, jak się wyplakała. Proszę, żeby kazała Matka komuś odczytać jej ten list, bo ona sama nie umie czytać.

Dziękuję.

Ann OBeirne

Tamtej nocy poczułam, że moja mama w końcu zaznała całkowitego spokoju, a ja mogę iść dalej. Do tamtej chwili nie potrafiłam pogodzić się z jej śmiercią i nie pozwalałam jej odejść na dobre. Mama kochała mnie, a ja kochałam ją.

Noszę ją w sercu i czuję jej pełną miłości obecność. Dzięki

Bogu, nie złamali mi całkiem ducha i jestem jeszcze zdolna do miłości.

Jednak jeśli idzie o zakonnice, nigdy nie wybaczę im tego, co mi zrobiły i czego mnie pozbawiły. Nawet teraz stosują te swoje gierki. Sądziłam, że precyzyjnie uzgodniłyśmy kilka rzeczy podczas spotkania w pałacu. Wciąż czekam na spotkanie, na które wtedy się umówiłyśmy. Choć upłynęło jedenaście lat, odkąd zaczęłam swoją kampanię, czekam nadal na ich zgodę, by podjąć prace na cmentarzu i godnie wynagrodzić cierpienia setek kobiet, które tam w końcu spoczęły.

Nadal czekam też na odpowiedź arcybiskupa Martina, choć dawno już zamilkły fanfary towarzyszące naszemu pierwszemu spotkaniu.

Po trzech tygodniach oczekiwania na odpowiedź zakonnice zaczęłam kolejną frustrującą rundę wysyłania listów i telefonów, która do dziś nie przyniosła żadnych rezultatów. Oprócz decyzji w sprawie grobów domagam się

teraz zwrotu oryginalnych listów od mojej mamy, ponieważ podczas spotkania wręczono mi ich kserokopie. Poprosiłam także o zwrot srebrnej bransoletki, którą miałam na rękę w chwili przybycia do szkoły poprawczej. Dotychczas nie uzyskałam odpowiedzi, nawet po interwencji mojej pani adwokat.

Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wszystko utknęło w miejscu. Cóż przeszkadza w spełnieniu moich postulatów? Nie prosiłam o pieniądze ani nie żądałam, żeby one podjęły jakiegokolwiek działania. Chciałam tylko usłyszeć proste „tak”, by sama zabrać się pracy. Jedyne powód tego milczenia, który przychodzi mi do głowy, to ten, że godząc się na podjęcie prac na cmentarzu, przyznałyby, że przez cały czas postępowały niegodnie. Ale przecież tak właśnie było.

Być może wspomniane osoby przeczytają tę książkę i odpowiedzą wreszcie na moje listy. Może któryś z czytelników zechce mi pomóc? A może przedstawiciele rządu zrobią wreszcie coś, by w praktyce dowieść szczerości ogłoszonych sześć lat temu przeprosin?

Teraz pozostaje mi tylko czekać. I odwiedzać zbiorowe mogiły, utrzymując na nich jakiś taki porządek. Nie zrezygnowałam też z poszukiwania kobiet, z którymi byłyśmy niewolnicami w różnych zakładach i ośrodkach. Dotychczas znalazłam około dwudziestu w Dublinie i kilka w Stanach

Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii. Będę również odwiedzała moje przyjaciółki do dziś zamknięte w szpitalach psychiatrycznych Dublina, przynosząc im papierosy, słodycze, pluszowe misie i nadzieję, że świat za murami o nich nie zapomni.

Wierzę w słońce, nawet kiedy nie świeci.

Wierzę w słońce, nawet kiedy nie czuję jego ciepła.

I wierzę w Boga, choć milczy.

Wierzę i dzięki temu przez to wszystko przeszedłam.

Epilog

Przerwane milczenie

Oto dlaczego postanowiłam publicznie opowiedzieć moją historię. Byłam gwałcona, maltretowana i bita. Łamano mi kości. Aplikowano elektrowstrząsy i testowano na mnie, niewinnym dziecku, różne lekarstwa. Nierzadko wskutek pobicia nie miałam siły chodzić. A przecież nie zrobiłam nic złego. Byłam dzieckiem molestowanym seksualnie od piątego roku życia, a od siódmego gwałconym i wykorzystywanym seksualnie. I tak przez całe lata. Niektórzy prześladowcy mi grozili. Kładli mi na ustach swoje ohydne łapy, żebym nie mogła krzyczeć. I myślałam wtedy, że mnie uduszą. Topili mnie w morzu i zastraszali na wiele innych sposobów. Byłam przerażona i bardzo samotna! Jako mała dziewczynka bałam się o tym mówić. Teraz głębokie i ciągle jątrzące się rany które przez tyle lat ukrywałam przed światem, przestały mnie przerażać. Już się nie boję. To prawda, jestem zniszczona, a rany pewnie nigdy się nie zagoją, ale jakoś funkcjonuję, bo wiem, że byłam niewinna, bezsilna i przerażona.

Nadużywanie władzy prowadzi do zła. Moja historia zasługuje na to, by wydobyć ją na światło dzienne. To wulkan, który w każdej chwili może wybuchnąć. Wyrządzono mi tak wiele złego, że coś we mnie nie przestaje domagać się zadośćuczynienia. Nie tylko dla mnie, ale dla wielu, wielu innych kobiet.

Odwracanie wzroku nie jest już sposobem na życie. Trzeba wreszcie głośno powiedzieć prawdę o złych ludziach i ich okrucieństwie, które zniszczyło mnie i tak wielu innych.

A wszystko to w naszej świątobliwej katolickiej Irlandii. Już dość! Nie będzie więcej tajemnic. Tajemnice się wydały!

I wreszcie jestem wolna.

Choć wiele napisałam listów do Bertie'ego Aherna i prezydent McAleese, nigdy nie zechcieli się ze mną spotkać.

Gdybym miała okazję z nimi porozmawiać, żądałabym wszczęcia śledztwa w sprawie przeprowadzonej w 1993 roku ekshumacji ciał kobiet

pracujących w pralni magdalenek.

Kilka lat temu tego żądano, ale władze odmówiły. Ciekawe, z jakiego powodu. Chciałabym też, by wyjaśniono, dlaczego na moje błagania o życie Elizabeth, podobnie jak na zapytania w sprawie ekshumacji, dostawałam powielane rutynowe odpowiedzi, informujące mnie o przekazaniu sprawy innym urzędom. Tak samo dobry sposób na oganianie się ode mnie jak inne. Niestety, Elizabeth zmarła 1 października 2004 roku, przez cały czas zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, do którego trafiła, niemal całe życie pozostając pod opieką zakonnice.

Premier Bertie Ahern zdobył się na odwagę i publicznie przeprosił mnie oraz inne ofiary systemu. Przeprosił za gwałty, bicie, maltretowanie oraz psychiczne i fizyczne znęcanie się nad tysiącami młodych dziewcząt i chłopców powierzonych opiece państwa. Jednak czyny przemówiłyby głośniej niż słowa. Strasznieśmy dostali od życia, Panie Premierze, chciałabym więc zobaczyć jakieś Pańskie konkretne działania. Sądzę, że podobnie jak ja powinien Pan pozbyć się strachu, w końcu się od niego uwolnić! Czy Pan się tego boi?

Aneks

Moim zamiarem nie było opisanie pralni zakonu magdalenek ani systemu szkół przemysłowych w Irlandii. Posiadane przygotowanie pozwala mi pisać jedynie o własnych doświadczeniach z miejsc, w których byłam zamknięta. Tak więc aneks ma na celu poinformowanie o źródłach, w których znaleźć można więcej informacji o tym wstydlwym aspekcie współczesnej irlandzkiej historii.

Podczas poszukiwań dokumentów udało mi się jednak ustalić, że w dwudziestym wieku przez pralnie magdalenek przewinęło się około trzydziestu tysięcy kobiet. Zastanawiam się często, czy to dokładna liczba, zważywszy sposób prowadzenia przez zakonnice dokumentacji.

Zaskakująca jest także informacja, że ostatnią pralnię zamknięto dopiero w 1996 roku. Wiele kobiet wykonujących w nich niewolniczą pracę bez żadnego wynagrodzenia do dziś pozostaje w mackach zakonu magdalenek,

których przez tak wiele lat były dosłownie niewolnicami. Teraz są stare, niedołężne i pozostają bez środków do życia. Zresztą nawet gdyby je miały, nie potrafiłyby samodzielnie funkcjonować w społeczeństwie. Inne, o czym pisałam, znoszą w całkowitym zapomnieniu opiekę różnych państwowych zakładów psychiatrycznych bez nadziei na uwolnienie.

Pralnie stanowiły tylko część systemu szkół przemysłowych w Irlandii. Setki tysięcy dzieci przeraźliwie cierpiały, molestowane i zaniedbywane. Wiele ofiar tego systemu już nie żyje. Ci, którzy przetrwali, mogą zgłaszać roszczenia do specjalnie powołanych komisji. Z danych opublikowanych przez „Irish Times” we wrześniu 2004 roku wynika, że przed

Komisją ds. Zbadania Przypadków Wykorzystywania i Molestowania Dzieci stanęło tysiąc osób, a o odszkodowanie do Komisji Zadośćuczynienia wystąpiły cztery tysiące spośród przewidywanych sześciu i pół do siedmiu tysięcy ludzi; podobno wnioski ciągle są składane, średnio pięćdziesiąt tygodniowo.

Do 2004 roku działalność Komisji kosztowała ponad siedemnaście milionów euro (osiem milionów trzysta tysięcy to koszty prawne i dziewięć milionów - administracyjne), a całkowita kwota wypłat w ramach odszkodowań przyznawanych przez Komisję Zadośćuczynienia sięgnie ośmuset milionów euro.

W moim przypadku procedura przed komisjami okazała się długa i bolesna. Jednak gdyby ktoś chciał na tę drogę wejść, by opowiedzieć własną historię oraz przedstawić żądania, podaję także adresy obydwu komisji:

The Commission to Inquire into Child Abuse (Ireland)

St Stephens Green House

Earlsfort Terrace

Dublin 2

Ireland